

Prok. R 58.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/104

1956



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

Cz. MIŁOSZ :

TRAKTAT POETYCKI

A. BOBKOWSKI :

PO TRZĘSIENIU SPODNIAMI

M. BORWICZ :

POLSKI POPRZEDNIK MALRAUX

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz :	<i>Traktat poetycki</i>	3
Michał Borwicz :	<i>Polski poprzednik Malraux (I.)</i> ...	27
Zbigniew Jordan :	<i>Genealogia i perspektywy odwilży</i> ..	35
Witold Gombrowicz :	<i>Fragmenty z dziennika</i>	58
Andrzej Bobkowski :	<i>Po trzęsieniu spodniami</i>	69

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	<i>Materiały do refleksji (3)</i>	74
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	80

KRONIKA UKRAIŃSKA

Iwan Łysiak-Rudnycki :	<i>Nowy Perejasław (I)</i>	85
------------------------	----------------------------------	----

SPRAWY I TROSKI

Zofia Romanowiczowa :	<i>Witamina „P”</i>	94
Marian Pankowski :	<i>„Chuligani”</i>	101

KRONIKA KULTURALNA

Adam Kozłowski :	<i>Balak klasyczny</i>	109
Szymon Szyszman :	<i>Dalsze losy rękopisów znad Morza</i> <i>Martwego</i>	116
Jerzy S. Sito :	<i>Polska sztuka ludowa</i>	120

K S I A Ż K I

Michał Sokolnicki :	<i>Z problemów polsko-niemieckich</i> ..	123
J. Cz. :	<i>Słowa poranne</i>	131
Jan Kowalik :	<i>Polonia zagraniczna</i>	133
B. Brodziński :	<i>Wydawnictwa emigracyjne o Polsce</i> ..	136
A. V. :	<i>Slavistica</i>	138
Witold Leitgeber :	<i>Daleka droga</i>	141
—	<i>Wydawnictwa krajowe</i>	143

W.A. Zbyszewski, Z. Grabowski, A. Czerniawski, G. Greene, M. Pankowski, T. Felsztyn, K. Iranek-Osmecki, J. Klonowicz :	<i>Listy do Redakcji</i>	145
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Czerwiec-Juin

1956

INSTYTUT



LITERACKI

DALSZE WPLĄTY NA DOM "KULTURY"

W. Darmochwał, West Orange, N.J. (USA)	1.500 fr.
Manès Sperber, Paryż	6.000 "
W. Malinowski, Yaraka, Qld', (Australia)	11.600 "
Zenon Lorc, Chicago, Ill. (USA)	1.500 "
H. Kunowska, Elisabeth, N.J. (USA)	1.750 "

DZIEKUJEMY

Traktat poetycki

WSTĘP

Mowa rodzinna niechaj będzie prosta.
Ażeby każdy, kto usłyszy słowo
Widział jabłonie, rzekę, zakręt drogi,
Tak jak się widzi w letniej błyskawicy.

Nie może jednak mowa być obrazem
I niczym więcej. Wabi ją od wieków
Rozkołysanie rymu, sen, melodia.
Bezbronną mija suchy, ostry świat.

Niejeden pyta dzisiaj co to znaczy
Ten wstyd, jeżeli czyta księgę wierszy,
Jakby do gorszej natury w nim samym
Zwracał się autor w niejasnym zamiarze
Myśl odsuwając i myśl oszukując.

Z przyprawą żartu, błazeństwa, satyry,
Jeszcze się umie podobać poezja.
Jej znakomitość wtedy się docenia.
Ale te walki, gdzie stawką jest życie
Toczy się w prozie. Nie zawsze tak było.

I niewyznany dotychczas jest żal.
Służą, nie trwają, romanse, traktaty.
Bo więcej waży jedna dobra strofa
Niż ciężar wielu pracowitych stronic.

PIĘKNE CZASY

Fiakry drzemały pod Mariacką Wieżą.
 Kraków malutki jak jajko w listowiu
 Wyjęte z rondla farby na Wielkanoc.
 I w pelerynach kroczyli poeci.
 Nazwisk ich dzisiaj już się nie pamięta.
 Ale ich ręce były rzeczywiste,
 Spinki, mankiety nad blatem stolika.
 Dziennik na kiju niósł Ober i kawę
 Aż minął, tak jak oni, bez imienia.
 Muzy, Rachele w powłóczystym szalu,
 Zwilżały usta, warkocz upinając
 Szpilką co leży z popiołem ich córek
 Albo w gablotce, przy konchach bez dźwięku
 I szklanej lilii. Anioły secesji
 W ciemnych wygodkach rodzicielskich domów
 Rozmyślające o związku płci z duszą,
 Leczące w Wiedniu smutki i migreny
 (Docent Freud, słyszę, z Galicji jest rodem).
 I Annie Csilag rosły, rosły włosy,
 Szamerowana była pierś huzarów.
 Po górskich wioskach szła wieść o Cesarzu
 Którego powóz widział ktoś w dolinie.

Tam nasz początek. Na próżno się bronić,
 Próżno wspominać daleki Wiek Złoty.
 Nam raczej przyjąć i uznać za swoje
 Wąsik z pomadą, melonik na bakier
 I tombakowej brzękanie dewizki.

Za swoją uznać pieśń przy kuflu piwa
 W czarnych jak sukno fabrycznych osadach.
 Zapalką trzasnąć, na dwanaście godzin
 Iść, tworzyć w dymach postęp i bogactwo.

Płacz, Europo, i czekaj szyfkarty.
 W grudniowy wieczór, w porcie Rotterdamu
 Milczący stanie okręt emigrantów.
 W zamazłe maszty, jak w śnieżne chojary
 Z dołu uderzy litaniiny chór
 W chłopskim, słoweńskim czy polskim, narzeczu.

Trafiona z pistoletu gra pianola.
 Kadryl po knajpach goni dzikie pary.
 I ruda, tłusta, prztykając w podwiązkę,
 Z rozwalonymi udami na tronie,
 W pantoflach z puszką, czeka tajemnica
 Na domokrażców gum i salwarsanu.

Tam nasz początek. Już miga iluzjon:
 Max Linder krowę prowadzi i pada.
 W ogródkach świecą przez zieleń lampiony.
 Zeńska orkiestra w puzon, w puzon dmie.

Aż z rąk, pierścieni, gorsetów liliowych,
 Z popiołu cygar, wiję się, rozwija
 Przez bory, lasy, góry i równiny
 Komenda: „Vorwärts!” „En avant!” „Allez!”

To nasze serca, wapnem przysypane,
 Na pustych polach które zliżał płomień.

I nikt nie wiedział czemu się skończyło
 — Grała pianola — postęp i bogactwo.

Styl nasz, choć to jest przykre, tam się rodzi.
 Bzyka pokorna lira wcześniej rano
 W mansardzie nad grzechotką tingel-tanglu.
 Pieśń eteryczna niby chrobot gwiazd,
 Handlarzom i ich żonom niepotrzebna
 I ludziom z górskich wiosek niepotrzebna.
 Czysta naprzekór smutnym sprawom ziemi.
 Czysta. Nie wolno jej użyć wyrazów:
 Telefon, pociąg, bidet, rzyć i pieniądź.

Uczy się czytać długowłosa Muza
 W ciemnych wygodkach rodzicielskich domów
 I wie już odtąd, co poezja nie jest.
 A jest nią tylko wzruszenie i powiew
 Który w trzech kropkach mieszka, za przecinkiem.

Płynie, faluje nieprzetłumaczalne,
 Ersatz modlitwy. Tak odtąd zostanie.
 Wzbroniony będzie oddech zwykłej składni.
 „Phi, publicystyka. Niech mówi prozą.”
 Aż kiedyś, w szkołach nowej awangardy,
 Odkryciem nazwą postarzały zakaz.

Nie wszyscy giną bez śladu poeci.
 Kasprowicz ryczał, rwał jedwabne pęta.
 A zerwać nie mógł, bo są niewidoczne.
 A to nie pęta, raczej nietoperze,
 Wypijające z mowy sok w przelocie.
 Staff, niewątpliwie, był koloru miodu
 I czarownice, gnomy, deszcz wiosenny
 Sławił na niby dla świata na niby.
 Co do Leśmiana, ten wyciągnął wnioski:
 Jeżeli ma być sen, to sen aż do dna.

Mała uliczka jest w małym Krakowie.
 Dwuch kiedyś chłopców tam obok mieszkało.
 Jeżeli jeden szedł z gimnazjum Anny
 Widział drugiego jak bawił się w piasku.
 Różny im dany los i różna sława.

Olbrzymie morza, niepojęte kraje,
 Wyspy na których za rafą koralu
 W rogata muszlę dmą nagie plemiona
 Poznał marynarz. Trwa dotychczas chwila
 Kiedy w bezludnym upale Brukseli
 Wstępował wolno na schody z marmuru
 I dzwonek, tam gdzie S akcyjnej spółki
 Przycisnął, długo wsłuchując się w ciszę.
 Wszedł. Dwie kobiety plotły nić na drutach.
 Jemu zdawało się, że to są Parki.
 Zwijając pasmo w stronę drzwi skinęły.
 Anonimową dłoń podał dyrektor.

Tak Józef Conrad został kapitanem
 Statku na rzece Kongo, bo sądzone.
 Głos ostrzeżenia, dla tych, co słyszeli
 Ukrył w powiatce znad tej rzeki Kongo:
 Cywilizator, oszalały Kurz,
 Miał kość słoniową ze śladami krwi,
 Na memoriale o światłach kultury
 Pisał „ohyda” a więc już wstępował
 W dwudziesty wiek.

Tymczasem dziś-dziś,
 Podkówki, wstażki i taniec nad ranem
 Pod wtór basetli w podkrakowskiej wiosce
 I od stuleci grały się jasełka.

Nieprzemóżonej woli był Wyspiański.
 Teatr narodu widział jak u Greków.
 Ale sprzeczności zwyciężyć nie zdołał —
 Ona przełamała mowę i widzenie,
 Ona oddaje nas w niewolę dziejów,
 Aż nie jesteśmy osoby, mniej, ślady,
 Pieczęcie w których odcisnął się styl.
 Nam nie zostawił Wyspiański pomocy.

W spadku nie takie wzięto monumentum.
 Żartem poczęte, nie dla każdej chwały,
 Zgodne z językiem jak śpiewka przedmieścia
 I niecielesnej myśli ku nauce,
 Szkoda że fraszka — tylko „Słówka” Boya.

Dzień ten przygasa. Świece zapalono.
 Na Oleandrach zamek karabinu
 Nie szczeka więcej i błonia są puste.
 W piechurskich butach odeszli esteci.
 Włosy ich zamiótł chłopak u fryzjera.
 Stoi na polach mgła i zapach dymu.

A ona, ona ma woalkę lila.
 Przy świecach palce kładzie na klawisze.
 I, kiedy doktor kieliszki nalewa,
 Pieśń, co jest dla nas wieścią znikąd, śpiewa:

*Szumiały mu echa kawiarni
 Całunem się kładły na skroni.*

II. STOLICA

Ty, obce miasto na sypkiej równinie,
 Pod prawosławną kopułą Soboru,
 Dla ciebie muzyką piszczałka rotty,
 Kawalergard, żołdat wszech wysze
 Tobie z dorożki rzy Ałlawerdy.

Tak trzeba odę zaczynać, Warszawo,
 Do twego żalu, nędzy i rozpusty.
 Przekupień, ręką zgrabiałą od chłodu,
 Szklanką odmierza pestki słonecznika.
 Praporszczyk wiezie kolejarską córę.
 Księżnę z niej robi w Elizawetgradzie.

Na Czerniakowskiej, Górnej i na Woli
Już Czarna Mańka, szumiąc falbankami,
Na piętro idzie, robi perskie oko.

A tobą włada, miasto, Cytadela.
Uszami strzyże kabardyński koń
Jeżeli echo niesie „Ponad troony”.

Na gubernialną dosyć masz stolicę,
Ty, luna-parku prywislanskich krajów.
Więc tobie teraz być stolicą państwa
Kiedy się tłoczą zbiegowie z Ukrainy
Sprzedając brylant z dworu pod Odessą?

Szabla, francuska strzelba z demobilu
Niechaj wystarczą za broń w twoich bitwach.
Przeciwko tobie, śmieszna, wybuchł strajk
I w świetle Pradze i w dokach Londynu.

Więc ochotnicy w biurach propagandy
Piszą nocami o wschodniej nawale,
Nie wiedząc, że im będzie grzmieć nad grobem
Z chrapliwej miedzi trąb Internacjonał.

A jednak jesteś. Z czarnym twoim ghettem,
Z bezrobotnymi których gniew jest senny,
Ze łzami kobiet w przedwojennej chustce.

Latami będzie chodzić w Belwederze.
Piłsudski nigdy nie uwierzy w trwałość.
I będzie mrużyć: „Oni nas napadną”.
Kto? I pokaże na zachód, na wschód.
„Koło historii wstrzymałem na chwilę”.

Powój wyrośnie z plam zeschniętej krwi.
Gdzie żyto klęka, tam wstaną bulwary.
I pokolenie pyta: jak to było?

Aż żaden, miasto, nie zostanie kamień
W miejscu na którym leżał i przeminiesz.
Płomień rozgryzie malowane dzieje.
Jak wykopany grosik będzie pamięć.
Za twoje klęski dostaniesz nagrodę.
Na znak, że tylko mowa jest ojczyzną
Mur twój obronny u twoich poetów.

Poeta musiał być z dobrej rodziny.
Świątobliwego cadyka wziął w rodzinie.
Ojcowie jego czytali Lassalle'a,
Wierzyli w Postęp i w berlińską Lied.
Powoli wdzięk się zwykł był destylować.
Byli i z gorszych, szlachetków czy łyków,
Czy nawet z Niemca w wełnianej szlafmycy.

„Pod Pikadorem” huczac nie odgadli
Że gorzki w smaku bywa liść wawrzynu.
Rozdymał nozdrza recytując Tuwim,
„Ča ira!” wołał w Grodnie, Tykocinie,
I drżała sala tubylczej młodości
Na dźwięk spóźniony górą o sto lat,
Aż entuzjastów, tych którzy przeżyli,
Spotkać miał Tuwim na balu UB
Żeby zamknęło się ogniste koło
I trwał, jak zawsze, Bal u Senatora.

Wiosnę, nie Polskę, chciał widzieć na wiosnę
Depczący przeszłość Lechoń-Herostrates.
Ale rozmyślać miał przez całe życie
O słuckich pasach i o karmazynie
Czy o religii, choć nie katolickiej
A tylko polskiej, na mszy narodowej
Kapłanem w komży mianując Or-Ota.

A cóż Słonimski, smutny i szlachetny?
Jutru powierzał się i Jutro' głosił.
Władztwa Rozumu co dzień oczekiwał
Na sposób Wells'a czy na inny sposób.
Niebo Rozumu cięży krwawe pręgi,
Więc już na starość przekazywał wnukom
Dawną nadzieję, że oni zobaczą
Jak Prometeusz schodzi z gór Kaukazu.

Z barwnych kamieni składał gospodarstwo
Publicznym sprawom obcy lwaskiewicz,
Mówca późniejszy, tudzież obywatel
Pod naciskami twardej konieczności.
Za względne uznać wszystko, no bo mija,
Potem słowiańskie wskazać ludziom cnoty
Żeby nam chłopska zagrała kapela —
Jest melancholia przecie w takiej doli.

Nie lepsza wcale, tylko bardziej dumna
 Samotność w bieli zim amerykańskich.
 Ślad nóżek ptaka ten sam co od wieków.
 Czas już nie rani i nie daje siły.
 Niebieska sółka, podkarpackiej krewna,
 Będzie zaglądać w okno Wierzyńskiego.
 Och, cena, cena jaką się zapłaci
 Za radość chłopca, za wiosnę i wino!

Nigdy nie było tak pięknej plejady.
 A jednak w mowie ich błyszczała skaza,
 Skaza harmonii, ta, co u ich mistrzów.
 I przemieniony chór nie był podobny
 Do bezładnego chóru zwykłych rzeczy.

A tam się częło, tam fermentowało
 Głębiej niż sięga utoczone słowo.
 W grozie żył Tuwim, milknął, grał palcami,
 Na jego twarzy hektyczne wypieki.
 I, rzec by można, wojewodów łudził
 Jak później łudził dobrych komunistów.
 Krztusił się. W krzyku drugi był zawarty,
 Zamaskowany: że społeczność ludzka
 Sama już w sobie jest dziwem nad dziwy,
 Że my chodzimy, jemy i mówimy
 A wiekiśta światłość już nam świeci.

Jak ci, co w hożej, uśmiechniętej pannie
 Widzieli szkielet z pierścieniem na kości
 Był Julian Tuwim. Żądał poematów.
 Ale myśl jego jest konwencjonalna
 I tak użyta, jak rym i asonans.
 Przykrył nią wizje, których się zawstydził.

Ktokolwiek białą ręką w tym stuleciu
 Prowadzi rządki liter na papierze
 Słyszysz stukania, głosy biednych duchów
 Zamkniętych w stole, w ścianie, w wazie kwiatów.
 Dać znać próbują, że ich właśnie ręka
 Z materii przedmiot każdy wydobyła.
 Godziny męki, nudy, beznadziei
 W nim zamieszkały i zniknąć nie mogą.
 Płoszy się wtedy ten, co trzyma pióro.
 Niejasną w sobie czuje obrzydliwość.
 Dziecka niewinność odzyskać próbuje
 Ale daremny przepis i zakłęcie.

Oto dlaczego młode pokolenie
 Tamtych poetów polubiło w miarę,
 Hołd im oddając, ale nie bez gniewu.
 Jakać się chciało odtąd programowo
 Bo treść wyrażać zdaje się jąkała.

Broniewski też nie znalazł u nich łaski
 Choć coś — podziemne i nieujarzmione —
 Układał w strofy dla proletariatu.
 A jednak Wiosna Ludów po raz drugi
 To ostatecznie też było Bell'Canto.

Oni by chcieli nowego Whitmana.
 Ten by im w tłumie woźniców i drwali
 Codzienne czyny zamieniał na słońce.
 Ten by im w heblach, obcęгах i dłutach
 Lśnił i wibrował, obiegając Kosmos.

Awangardzistów było bardzo wielu.
 Podziwu godny z nich jest tylko Przyboś.
 W sól, w popiół padły narody i kraje
 A Przyboś został, tak jak był, Przybosiem.
 Żadne szaleństwo serca mu nie zżarło.
 Ludzkie — więc łatwiej takich się rozumie.
 W czym jego sekret? Już w Anglii Szekspira
 Kierunek powstał, tak zwany euphuism:
 Pisać doradzał tylko metaforą.
 Pod spodem Przyboś był racjonalistą.
 Uczucia miewał, jakie są wskazane
 Dla rozsądnego członka społeczeństwa.
 Równie mu obcy i smutek i humor.
 On chciał w ruch puścić statyczne obrazy.

Awangardziści raczej się mylili.
 Wskrzeszali stary krakowski obrządek,
 Więcej powagi przypisując słowom
 Niż słowa unieść mogą bez śmieszności.
 Czuli, że z mocno zaciśniętej szczęki
 Głos im wychodzi jakimś sztucznym basem,
 I że wybiegiem zalęknionej sztuki
 Jest ich marzenie o ludowej sile.

Siegnijmy głębiej. Był czas wielkiej schizmy.
 „Bóg i Ojczyzna” już nęcić przestało.
 I nienawidził poeta ułana

Mocniej niż niegdyś bohema filistra.
Drwił ze sztandarów, gardził amarantem
I spluwał, kiedy wrzeszcząc, rój młodzieży
Gonił z laskami za kupcem w chałacie.

Finał za wczasu był przygotowany
Nie przez brak armat i pancерnej broni.
Bo jest poeta w Polsce barometrem
Drukując nawet w „Linii” czy „Kwadrydze”.
Pękł, tak nazwijmy, kolektywny walor
I wspólna wiara ludzi nie łączyła.

Świadomy wtedy w ironię się chronił
I jak na wyspie żył między swoimi.
Bardziej świadomy, przed sobą udawał
Że głośnym bóstwom składa cześć z narodem.

Gałczyński pragnął padać na kolana.
Głębokiej prawdy pełne jego dzieje:
Tej, że poeta bez ludzkiej wspólnoty
Jest jak szum wiatru w suchych trawach grudnia.
Nie jemu zwyczaj podawać w wątpliwość,
Chyba, że piętno zdrajcy zechce dostać.
Niech tutaj będzie wreszcie powiedziane:
Jest ONR'u spadkobiercą Partia.
A poza nimi nic nigdy nie było
Prócz buntu godnych pogardy jednostek.
Któż miecz Chrobrego wydobywał z pleśni?
Któż wbijał myślą słupy aż w dno Odry?
I któż namiętność uznał narodową
Za cement wielkich budowli przyszłości?

Gałczyński związał wszystkie elementy:
Kpinę z burżuazji, polską pieśń Horst Wessel
I dumę, że się jest plemieniem Scytów.
Przez dwie epoki biegła jego sława.

Zupełnie inna swojskość Czechowicza.
Słomiane dachy, grzędy kopru, marchwi,
I na Powiślu ranek jak z lusterka.
Po rosach echo niesie kujawiaczek
Tych kijanek, tych praczek u potoczka.
Kochał co małe, zebrał sielski sen
Apolitycznej i bezbronnej ziemi.
Bądźcie mu dobre, wy, ptaki i drzewa.
Od czasu chrońcie grób Józka w Lublinie.

Nie jeden naród, ale sto narodów
Chciał dostać Szenwald. A, choć stalinista,
Umiął zaczerpnąć i z Marksa i z Greków.
Wierszem, jak gdyby narzędziem chirurga
Sięgał pomiędzy zasklepione tkanki.
A więc malował scenę przy strumieniu.
Szkoła wycieczka tam nagle spotyka
Bose, kradnące opał chłopskie dzieci.
Czy pokazywał, jak chłopcu z baraków
Wystarczy rower za cud i natchnienie.
Poezja nie jest kwestią moralności
Jak dowiódł Szenwald, lejtnant Krasnoj Armii.
Kiedy w obozach dalekiej północy
W szkło zastygały trupy stu narodów
On pisał odę do Matki-Syberii.
Jeden z piękniejszych, tak jest, polskich wierszy.

Tymczasem uczeń, stromym gdzieś chodnikiem
Z wypożyczalni wraca, książkę niesie.
A książka jest to „Puszcza wodna w lesie”
Palcami pilnych Indian zatłuszczona.
Nad Amazonką w lianach skośny promień.
Leżą na nurcie rozpostarte liście,
Wielkie, że stanąć na nich może człowiek.
On po tych liściach wędruje, fantasta.
Małpy, brunatne jak kosmaty orzech,
W mosty wiszące splotły się nad głową.

Nie widzi, przyszedł czytelnik poetów,
Ni krzywych płotów ani wron pod chmurą,
Gotów już odtąd mieszkać w kraju czarów.

To on, jeżeli oszczędzi go zguba,
Zachowa czułość dla tych, co go wiedli.
A Iwaszkiewicz, Lechoń i Słonimski,
Wierzyński, Tuwim na zawsze zostaną
Tak, jak spotkała ich młodziutka pamięć.
Kto większy a kto mniejszy nie zapyta.
Za barwą będzie gonił w każdym inną
Prowadząc czołno Amazonką planet.

Tam Wittlin ciągle wkłada łyżkę zupy
W zarosłe usta człowieczego głodu,
Baliński słyszy dzwoneczki karawan
W różowo-szare zmierzchy Ispahanu,

Tytus Czyżewski powtarza zaklęcie
 Pasterzy dmących w dudki Jezusowi,
 Ważyk ogląda okręt na wystawie,
 Iskrzy się fala u Apollinaire'a.
 Tam się rozlega trel polskiej Safony
 Jakiej nie było nigdy w naszej mowie,
 Orszuli weszłej po czterech stuleciach.
 Życie się zetrze, wirująca płyta
 Dłużej niżeli aksamit Carusa
 Grać będzie skargę Marii Pawlikowskiej,
 Znad brzegów śmierci jej „Per che? Per che?”

Więc nie daremna była krew ułana
 Zakrzepła w gwiazdki dla mrówek pod brzoza?
 Może nie całkiem godzin potępienia
 Piłsudski, chociaż troszczyć się nie umiał
 O nic prócz granic? Dwadzieścia lat kupił,
 Na sobie nosił delię krzywd i win
 Ażeby miało czas dojrzewać piękno.
 Podobno piękno to jest bardzo mało?

Nie, czytelniku, nie zamieszkasz w róży:
 Ten kraj ma swoje planety i rzeki
 Ale jest kruchy jak rąbek poranku.
 To my tworzymy go co dzień na nowo,
 Więcej szanując to, co rzeczywiste
 Niż to, co w nazwie i dźwięku zastygło.
 I tak, przemocą, świata jest wydarty
 Albo, za łatwy, wcale nie istnieje.
 Żegnaj minione. Jeszcze wzywa echo.
 A nam przemawiać brzydko i chropawo.

Ostatni wiersz epoki był w druku.
 A jego autor, Władysław Sebyła,
 Lubił wieczorem wyjąć z szafy skrzypce
 Kładąc futerał przy tomach Norwida.
 Haftki munduru wtedy miał rozpięte
 (Bo na kolei pracował, na Pradze)
 W tym swoim wierszu, jakby testamentie,
 Do Światowida przyrównał ojczyznę.
 Zbliża się do niej świst i werbli trzask
 Od równin wschodu i równin zachodu
 A ona śni o brzęku swoich pszczoł,
 O popołudniach w hesperyjskich sadach.

Czy za to strzelą w tył głowy Sebyle
 I pochowają go w smoleńskim lesie?

Noc taka piękna. Wielki, jasny księżyc
 Napęnia przestrzeń tym blaskiem co bywa
 Tylko we wrześniu. Nadranne godziny.
 Cisza w powietrzu nad miastem Warszawą
 I zaporowe balony-owoce
 Stoją srebrnawe w świtającym niebie.

Od Tamki stuka obcasem dziewczyna,
 Wabi półgłosem, na zarosłe place
 Idą i łowi ucho dyżurnego
 (On, niewidoczny, milczy w plamie cienia)
 Ich słabe śmiechy na pościeli mroku.

Dyżurny nie wie, jak unieść tę litość.
 Wspólnej ich doli nie umie wyrazić.
 Mała kurewka i robotnik z Tamki.
 Przed nimi terror wschodzącego słońca.

I będzie może myśleć później nieraz
 Co się z tym dwojgiem w dniach i wiekach stało.

III. DUCH DZIEJÓW

Kiedy pozłota z ramion rzeźb opada,
 Kiedy litera z ksiąg prawa opada,
 Naga jak oko zostaje świadomość.

Kiedy na metal i strzaskane liście
 Ogniami lecą z tomów suche liście,
 Nie ma okrycia drzewo zła i dobra.

Kiedy w kartoflach gaśnie skrzydło z płótna,
 Kiedy rozdziera się żelazo z płótna,
 Jest tylko słoma chat i nawóz krwi.

Po igłach ścieżek, w mazowieckich laskach,
 Pomiędzy Reichem i Gouvernement,
 Pracują w piachu płaskie pięty chłopki.
 Przystaje, brzemień o sosnę opiera
 I cierń wyjmuje z zakurzonej stopy.

Osełka masła w wilgotnym gałganie
 Odciska formę muzealną pleców.
 A u przeprawy bój, gdakanie kur,
 Gęsi z koszyków wyciągają szyje.
 I żłobi w miastach kula suchy ślad
 Na płytach, koło woreczków tytoniu.
 Przez całą noc umiera na przedmieściu
 Wrzucony do glinianki stary Żyd,
 Ryk jego cichnie dopiero nad ranem.
 Szara jest Wisła, obmywa łożyny
 I zwiry kłębi tocząc się szeroko.
 Pluszcze kołami statek obciążony
 Na który siedli z workami szmuglerzy.
 Dno tyką maca Stasiek albo Heniek:
 „Meter!” Chlup. „Meter!” Chlup. „Meter
 [dwadzieścia!”

Gdzie wiatr zawiewa dymem z krematorium
 I dzwoni w wioskach dzwon na Anioł Pański
 Przechadza się Duch Dziejów, poświstuje.
 Lubi te kraje obmyte potopem,
 Bezkształtne odtąd i odtąd gotowe.
 Mile mu błyska w opłotkach spódnica
 Ta sama w Polsce, w Indiach i Arabii.

Rozkłada w niebie grube swoje palce.
 Pod jego dłonią jedzie na rowerze
 Organizator siatki bezpieczeństwa,
 Delegat partii wojskowej w Londynie.
 Topole, małe jak żyto w przepaści,
 Odprowadzają do lasu dach dworu
 A tam w jadalni zasiedli za stołem
 Zmęczeni chłopcy w oficerskich butach.
 Z krzaków pył prószą na wąsy fornali.

Już go zobaczył i poznał poeta,
 Gorszego boga, któremu poddany
 I czas, i losy jednodniowych królestw.
 Twarz jego wielka jak dziesięć księżyców,
 Na szyi łańcuch z nieobeschłych głów.
 Kto go nie uzna, dotknięty pałeczką,
 Bełkotać zacznie i utraci rozum.
 Kto mu się skłoni będzie tylko sługą.
 Gardzić nim będzie jego nowy pan.

Lutnie i gaje i wieńce laurowe!
 Damy, książęta z mitrą, gdzie jesteście!
 Was można było ucieszyć pochlebstwem,
 Zręcznie w podskoku złapać worek złota.
 On żąda więcej. Żąda krwi i ciała.

Kim jesteś, Możny? Długie są te noce.
 Czy znamy ciebie jako Ducha Ziemi
 Który z jabłoni strząsa gąsiennice
 Ażeby łatwiej karmiły się kosy?
 Który gromadzi nogi martwych żuków
 Na pulchną ściółkę co wyda hiacynt?

Czy ty i on, to jedno, Tępiciele?
 On, nieodstępny, on, wierny towarzysz
 Ileż to razy prowadził nam rękę
 Po gładkich plecach i szyi dziewczyny
 Kiedy w lipcowym zmierzchu schodzą pary
 W zapachu sosen łąką nad jezioro
 I gra harmonia melodię niebyłą
 O kwiatach cytryn, o wyspie kochanków,
 Aż, utraconą, przypomnieć nam straszno.
 Ileż to razy, on, piękno i chwała,
 Przepych i krzyki miłosne cietrzewi,
 Ironią umiał wykrzywić nam usta,
 Szepcząc do ucha, że kolory wiosny,
 Trele słowika i nasze natchnienie
 Są tylko jego rozrzućną przynętą
 Żeby spełniało się prawo gatunku.
 Że krew ostygnie i rdzą porażeni,
 Ubrani w płaszcze z gnijącej purpury,
 Spadać będziemy w proch sprzed lat miliona
 Gdzie czeka pradziad nasz, Pithecanthropus.

Czy ty, co nosisz rozsądny frak Hegla
 I lubisz dzikie, wiatrom dane, strony,
 Przybrałeś sobie tylko nowe imię?

W zielonej torbie tajne biuletyny.
 Poeta słyszy jego śmiech potężny:
 Ja im za karę odebrałem rozum.
 Nikt nie powstanie przeciw mojej woli.

Jakim wyrazem sięgnąć w to, co będzie,
 Jakim wyrazem bronić szczęścia ludzi
 — Ono ma zapach ziarnistego chleba —
 Jeżeli nie zna poetycka mowa
 Miar, jakie późnym potomkom przypadły?
 Nas nie uczono. My wcale nie wiemy
 Jak w jedno złączyć Wolność i Konieczność.

Dwa ostre brzegi we śnie zwiedza umysł.
 Zguba nieziemskich, zguba promienistych,
 Niebo szturmując, materią wzgardzili.
 W niej ciepło, radość i zwierzęca siła.
 Zguba rozważnych, zguba ociążałych.
 Gwiazdę zaranną kłamstwami ogłuszą.
 Dar, bardziej trwały niż śmierć i natura.

W zielonej torbie tajne biuletyny.
 Propagandowy kruszy się poemat.
 Dźwięczy fałszywie, bo jest niżej wiedzy.
 Za wiele czuje, więc milknie poezja.
 Jeszcze dalekie wezwania powtarza,
 Do uniesienia treści nie gotowa.

Dwudziestoletni poeci Warszawy
 Nie chcieli wiedzieć, że Coś w tym stuleciu
 Myślom ulega, nie Dawidom z procy.
 Byli jak człowiek na szpitalnej sali
 Który śmiech dzieci i zabawy ptaków
 Stara się pojąć raz tylko, ostatni,
 Zanim nie zamkną się kamienne wrota,
 I na przymierza z jutrem obojętny
 Dba tylko o to, jak być wiernym chwili.
 Nie ozdabiały starej barykady
 Zorze ludzkości, wieszczów obietnice.
 Zraniona mieczem stała Matka Boska
 Nad żółtym polem i wiankiem poległych.

W zdumieniu młodzi rano dotykali
 Stołu i krzesła, jakby w deszcz ulewny
 Znaleźli cały, okrągły dmuchawiec.
 Przedmioty dla nich łamały się w tęczę,
 Mgliste jak lata wcześniej pożegnane.
 Zapowiedź sławy, pokoju, mądrości
 Własną litanią musieli odrzucić.

Ich wiersze były modlitwą o męstwo:
 „Z życia, jak z miasta kiedy nas wysiedła
 Domie nasz złoty, w pościel z malachitu
 Na jedną tylko noc nas wieczną przyjm.”
 I żaden grecki antyczny bohater
 Do bitwy nie szedł tak zbyty nadziei,
 Z wyobrażeniem swojej białej czaszki
 Kopniętej butem obcego przechodnia.

Kopernik, posąg Niemca czy Polaka?
 Składając przed nim kwiaty padł Bojarski.
 Czysta, bez celu, winna być ofiara.
 Trzebiński, nowy jakiś polski Nietzsche,
 Nim umarł, usta miał zagipsowane,
 Mur i powolne chmury zapamiętał
 Sekundę patrząc czarnymi oczyma.
 Baczyński stuknął czołem o karabin.
 Dalej gołębie płoszyło Powstanie.
 Gajcy, Stroiński, byli podniesieni
 W czerwone niebo na tarczy eksplozji.

Na gęsich piórach maczanych w inkauscie
 Jeszcze pod lipą światło dzienne drżało.
 W księgach to samo rządziło prawidło
 Poczęte z wiary, że piękność widzialna
 Jest małym lustrem dla piękności bytu.

Polami wtedy żywi uciekali
 Od samych siebie, wiedząc, że wiek minie
 Zanim powrócą. Przed nimi ruchome
 Piaski, na których drzewo się zamienia
 W nic, w anty-drzewo, gdzie żadna granica
 Kształtu i kształtu nie dzieli a w gromach
 Zapada się dom złoty, słowo JEST,
 I STAJE SIĘ sprawuje odtąd władzę.

Każdy z nich dźwigał do końca dni swoich
 Pamięć tchórzostwa, bo umrzeć bez celu
 Nie chciał, a zwątpił, bo nie chciał umierać.
 I On, czekany, z dawna odgadniony,
 Dymił nad nimi tysiącem kadzielnic.
 Po grząskich ścieżkach pełzli mu do nóg.

„Królu stuleci, nieobjęty Ruchu,
Napełniający groty oceanu
Wrzawą bez dźwięku, zawarty w posoce
Rozdzieranego przez inne rekina,
W świstach obecny pół-ptaka, pół-ryby,
W szumie, w żelaznym bulgotaniu skał
Kiedy podnoszą się archipelagi”.

„Wre przybój twój, odnosi manele,
Perły nie oczy, kości z których sól
Zdjęła korony i suknie z brokatu.
O, Bez Początku, o, zawsze pomiędzy
Formą i formą, o, potoku, iskro,
O antytezo, co dojrzewasz w tezie.
Oto jesteśmy już jako bogowie
W tobie pojmując, że nie istniejemy.”

„Ty, gdzie się łączą przyczyna i skutek
Jak swoją falę z głębi nas wywiodłeś
Na jedno мгновение bezbrzeżnej odmiany.
Ból dwudziestego wieku nam odkryłeś,
Abyśmy wstąpić mogli na wysokość
Gdzie twoja ręka włada instrumentem.
Oszczędź nas, nie karz. Wielkie nasze winy.
Zapominaliśmy czym prawa twoje.
Zbaw od niewiedzy, uznaj naszą wierność”.

Tak przysięgali. A każdy zachował
Martwą nadzieję, że dzierżawom czasu
Kres wyznaczony. Że kiedyś, raz tylko,
Dane im będzie na gałąź kwitnącą
Patrzyć przez chwilę niepodobną chwili,
Uśpić ocean i zamknąć klepsydrę
I nasłuchiwać jak milkną zegary.

Kiedy owina mi szyję powrozem,
Kiedy zabiorą mi oddech powrozem,
Raz się obrócę w kółko i kim będę?

Kiedy ukłują mnie w piersi fenolem,
Kiedy odejdę pół kroku z fenolem,
Jakaż ja mądrość proroków zdobędzie?

Kiedy nasz uścisk jedyny rozerwą,
Kiedy nasz promień na wieczność rozerwą,
Złączyć go w niebie nie będzie już komu.

Prócz mego serca które się zatrzyma,
Prócz mego słowa które się zatrzyma,
Nie znam ni ojca, ni syna, ni domu.

Śpiewak obłokom groził w naszym ghetcie,
Rzucałem pieniądz ślepemu poecie,
Niechaj pieśń ze mną zostanie do końca.

Na murze celi złościłem noc całą
Słowo miłości, ażeby przetrwało,
Żeby z więzieniem biegło wokół słońca.

Do taktu pieśni w blaszankę dzwoniłem,
Ja, co nie jestem, ja, co tylko byłem,
Gdzie nasza droga skrzyżowała za druty.

Ślad mój, pamiętnik wmurowany w cegły.
Może go znajdą w jakiś dzień odległy,
Dzień przebaczenia, albo dzień pokuty.

Ziemia zagłady, ziemia nienawiści,
Żadne jej słowo nigdy nie oczyści,
Taki się na niej nie zrodzi poeta.

A gdyby nawet jeden był wezwany,
Z nami siedł razem do ostatniej bramy
Bo mógł być tylko między dziećmi z ghetta.

Niezdarna mowa słowiańskich rolników
Długo szeleszcząc rymem pracowała
Ażeby wydać śpiew anonimowy
Dotychczas w drżącym powietrzu słyszalny
I tam, gdzie palmom syczą białe piany
I tam, gdzie w zimne prądy Labradoru
Orzeł-rybołów spada pługiem blasku
Przy jodłach Maine. Prosty był ten śpiew.
Madrygał, dawniej z wtórowaniem wioli
Nucony pannom w pięknej porze roku
Brzmiał po raz pierwszy na odwrót. To wszystko.

Minie zima

Maszerujące żydowskie dziewczęta
Jedyną radość zemsty wyraziły.
Tak, wkrótce nocą żurawie pogonią,
Śnieg suchy ranić nie będzie już ręki.
Tak, u strumienia, różowy jak usta
Kamyk na żwirach zachrzęści pod stopą.

Przyjdzie wiosna

Tak, zielnym sokiem wzbiorą tulipany,
I chrabąszcz, hucząc o szybę uderzy.
Tak, narzeczony splecie narzeczonej
Wieniec na czoło z młodych liści dębu.

Będzie na nas

Na nas, bo teraz my jesteśmy jedno.
Kość, mięso, nerwy są nasze, nie moje.
Imiona Miriam, Soni i Racheli
Gasną i stygną powoli w powietrzu.

Trawa rosła

Ironią pieśni zwyciężona trawa.

Kisną ogórki w zapotniałym słoju
Z badylem kopru. Ogórki są wieczne.
I trzaska rano chróst na palenisku.
W misie drewniane łyżki i polewka.
Koszów i motyk szuka się pod ścianą
W sieni, gdzie kokosz stroszy się na grzędzie.
I miedzą, miedzą. Ni widu ni kresu.
Mglisto i płasko do samych Skierniewic.
Mglisto i płasko dalej, do Uralu.
Ej, nie ustawaj, nie prędko południe.

Lekkie nareszcie oblókłszy nankiny
Modnej młodzieży przywoływałam koło;
Stojem poranne zbywamy godziny
Albo rozmową bawim się wesołą.

Nad kartoflami i jesienną ziemią
Skrą, płatkami śniegu obróci samolot.
Kozły wywija wysoko za chmurą.

*Mówcie, komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie.*

Ziaren gorczycy więcej nie potrzeba.
Służą poezji ciepłe porcelany,
Grono czarownych służy jej Charytek,
Z greckich i rzymskich ziół ciągnięte treści.
Pykając lulkę, oblókłszy nankiny
Niechby pomarzył na nowo poeta.
Mógł dom być z drzewa, lecz podmurowany.

Leżał tam Fedon i żywot Katona.
Albo, jeżeli zapalano w piątek
Świece w jarzącym rodzinnym świeczniku,
Z rytmów Daniela, z rytmów Izajasza
Lekcję na zawsze zachowywał młody
Jak milczeć warto i jak wiersze składać.

Zamek na barkach nowogrodzkiej góry.

Pagórków leśnych, jasnych wód potrzeba.
Nigdy się tutaj nie obroni człowiek.
Bo kiedy pusty ogarnie horyzont
Że stoi w środku, nigdy nie uwierzy.
Doradcą będzie mu ruchomy cień.

Kto nie w tym polnym kraju urodzony
Morzem popłynie, powędruje lądem,
Pod jabłonią na brzegach Wezery,
Pod jodłą Maine ścigając odbicie
Czarno-zielonych rzek swojej ojczyzny,
Tak jak się w tłumie cudzoziemskich twarzy
Ściga twarz jedną, kiedyś ukochaną.

Za trudny dla nas chyba ten Mickiewicz.
Gdzież nam do pańskiej, żydowskiej nauki.
Za pługi, brona tylkośmy chodzili.
Grała nam w święto muzyka nie taka.

Ho la o la
 pastyrze łode pola
 du dy u dy
 pastyrze łode budy
 idźcie do stayenki
 do świętej Panienki
 i Grzegórz karbowy
 pisarz prowentowy

Bzyczą i buczą grubym brzuchem basy:

hudu- hudu - hu
 maju graju- u
 Panu Bogu Chrystu Panu
 gramy mu

Lipowe skrzypki cieniuśko piskają:

tiri, tiri, tili, tili
 zagrajmy se w tej to chwili
 wili li wili
 od o-zorzy do wilji

Dmucha i kobzę gniecie stary Grzela:

me-e -le - me
 kozu- be - kozu - me
 buli - wybuli mojej kozuli

Z nim na wyprzódki kłania się klarynet:

mula - ula u la la
 matulina matula

I ciągną basy, wtórujące basy:

Panu Bogu
 Chrystu Panu
 gramy mu

Wiele, tak wiele już spraw przeminęło
 I kiedy żadne nie wspomaga dzieło
 Tytus Czyżewski wrócił nam kolendą.
 Jako buczały basy, buczać będą.

Skręciłem tytoń, bibułkę śliniłem,
 Potem zapalka w małym domku dłoni.
 Czemu nie hubka? Czemu nie krzesiwo?
 Wiał wiatr. Siedziałem na miedzy w południe
 Myśląc i myśląc, a przy mnie kartofle.

Czesław MIŁOSZ

(Dalszy ciąg „Traktatu Poetyckiego” zamieścimy w jednym z najbliższych numerów).

JUŻ UKAZAŁA SIĘ W DRUKU KSIĄŻKA
KTÓREJ FRAGMENT ZAMIESCIŁA
W JEDNYM ZE SWYCH NUMERÓW „KULTURA”

ZOFIA ROMANOWICZ BAŚKA : BARBARA

Cena egzemplarza frs 500, sh. 10/., dol. 1,50.

Zamówienia prosimy kierować do :

„LIBELLA” — Składnica Książek Polskich

12, rue Saint-Louis-en-l’Île, Paris 4. (France)

Warunki sprzedaży :

We Francji książkę wysyłamy po wpłacie sumy frs 500 — na nasze konto pocztowe CC Paris 5651-50, lub za zaliczeniem pocztowym — płatne przy odbiorze.

Do Belgii, Włoch, Holandii, Niemiec, Szwecji, Szwajcarii, Luksemburga oraz Austrii, książkę wysyłamy za zaliczeniem pocztowym — płatne przy odbiorze, lub po otrzymaniu należności.

Do innych państw jak USA, Kanada, Brazylia itd., książkę wysyłamy DOPIERO po otrzymaniu należności, którą bez trudu można nam przesłać za pośrednictwem poczty — „international money order” — na nasze konto pocztowe CCP Paris 9709-46 lub czekiem bankowym wystawionym na „Libella”. Gdyby to było niemożliwe, należność można przesłać w dolarach — listem poleconym.

Książkę można również zamawiać we wszystkich polskich księgarniach oraz u przedstawicieli polskich pism, jak również w księgarniach „Hachette”, jeżeli takowe są w danym kraju — podając adres „Libelli” jako wydawcy.

Polski poprzednik Malraux (1)

KILKA PRZYPOMNIEN

Za swego życia Stanisław Brzozowski zdobył rozgłos u czytelników głównie pełnymi pasji wystąpieniami przeciw — cechującym według niego polską literaturę — duchowi „zaścianka” i zacofania, bezmyślnemu przywiązaniu do tradycji przestarzałych i wyjąłowionych z ich pierwotnych treści, oraz przeciw rzecznikom i piewcom tych nurtów (1). Podzielając kult wielkich romantyków z Mickiewiczem na czele, nie ustawał on równocześnie w zaciekłym „demaskowaniu” i potępianiu ich epigonów a swoich współczesnych, głosicieli i wyznawców neo-romantyzmu i neo-mesjanizmu: „Wielki romantyzm polski” — wywodził — „był wyrazem męczeństwa, Golgotą; utwory jego epigonów są tylko jasełkami: przedstawieniem w typie Oberammergau (2).

Przeciw „zatechłym wodom” tradycji (takiej jaką sam widział) i przeciw duchowi „szlachetczyzny”, propagował Brzozowski kolejno empiriokrytycyzm, myśl Nietzschego, Marxa, Fichtego itd., by — pod koniec krótkiego swego żywota — do trzeciej, poprzez Bergsona i Sorela, modernistów i Neumana, do katolicyzmu. Szczególnym uwielbieniem otaczał wszakże Karola Marxa, któremu poświęcił cały szereg studiów, interpretując przy tym jego myśl w sposób bardzo osobisty.

Działalność literacka Brzozowskiego przypada na pierwsze dziesięciolecie XX wieku, to jest dekadę nasyconą — w tej części Europy — rewolucją 1905 roku. Do burz, wstrząsających posadami carskiego imperium, dochodziła w Polsce krwawa wal-

(1) Głośne były zwłaszcza jego ataki przeciw H. Sienkiewiczowi.

(2) Sam nie był zresztą wolny od piętna romantyzmu, który potępiał. Sprzecznosc tę dzieli on z wielu innymi „pogromcami iluzji”.

ka, prowadzona — pod egidą Polskiej Partii Socjalistycznej — przeciw rosyjskiemu uciskowi w ogóle. Działała równocześnie „Socjal-Demokracja Królestwa Kongresowego i Litwy” (3).

Był to, krótko mówiąc, okres „ludzi podziemnych”, których literackimi rzecznikami, w piśmiennictwie polskim, byli Zeromski i Strug, Słoiński i Daniłowski.

Umierając, w 33-cim roku życia, zostawił Brzozowski około dwudziestu ważkich dzieł, między innymi *Legendę Młodej Polski*, zbiory rozpraw pn. *Kultura i życie*, *Idee i Głosy wśród nocy*, monografie o *Polskiej powieści współczesnej* i o *Polskiej krytyce współczesnej*, kilka utworów dramatycznych i kilka prac popularyzacyjnych (*Wstęp do filozofii*, dwa tomiki poświęcone Hipolitowi Taine'owi itd.). Pośmiertnie ukazał się jego *Pamiętnik*.

Mniej liczne są jego powieści (i upowieściowane sylwety): *Wiry*, seria szkiców satyrycznych pn. *Portrety moich współczesnych*, *Płomienie*, *Książka o starej kobiecie* i *Sam wśród ludzi*. Każda z tych książek wyraża odmienną postawę, w każdej z nich stosuje autor inną technikę opowiadania, rozwija inny temat, umiejscawia wypadki w innym czasie i środowisku.

OD MARKSIZMU DO METAFIZYKI

Stosunek krytyki komunistycznej do Malraux, w okresie gdy uważała go ona za „swojego”, przypominał znany aforyzm Boya-Zeleńskiego o sobie samym, jako o „tej dziwce, którą się szczyplie w udo w gabinecie, a nie poznaje na ulicy”, jednak w sensie odwrotnym: Malraux był dla niej taką „żoną uczoną” czy „wytworną”, którą zwykło się chlubić w towarzystwie, lecz nie wiadomo, jak samemu z nią wyżyć. Głośnym pochwałem wtórowały ciężkie zarzuty, a wyrazem zachwytu objawy zażenowania.

Zarzucano autorowi *Doli człowieczej*, że „pociąga go tylko problem jednostki”, natomiast „przemiany społeczne, losy kolektywu” nie zajmują go wcale. Jego bohaterowie — wywodzono — „są to ludzie w poszukiwaniu racji istnienia”, zaś dzieła Malraux „są nie tyle, jak je nazwano, powieściami moralisty, ile powieściami metafizyka”. I dalej: „Stworzony przez Malraux typ bohatera..., to typ człowieka zbuntowanego. ... Świat wydaje mu się cmentarzem idei, wartości, wier... Zamyka się zatem w okrutnym i twardym heroizmie, który wymaga panowania nad sobą, zdolnego stawić czoła cierpieniu i śmierci. Rewolucja jest dla niego tylko okazją działania, a działanie tylko środkiem ucieczki przed pesymizmem, rozpaczą, ideą śmierci. To opium w bardzo mocnych dawkach”. I konkluzja: „Tego

(3) Dodajmy, że skądinąd również partie prawicy były nielegalne.

rodzaju uczucia nie mogą prowadzić gdzie indziej, jak tylko do czystej anarchii”.

Z drugiej strony, ten właśnie metafizyczny charakter problematyki utworów Malraux najsilniej zastanawiał. Krytyka niemarksistowska dojrzała i widzi w nim dalej odrodzenie pierwiastka tragicznego, który znikł rzekomo w literaturze od kilku wieków: — Ludzie cywilizacji zachodniej dawno już — jak wywodził krytyk amerykański William Troy (4) — zaprzestali wysiłków, zmierzających do wyjaśnienia stosunku między ich wolą i ich pojęciami o miejscu i znaczeniu człowieka w kosmosie; wyrazem tego jest fakt, że bohaterowie powieści współczesnych poszukują zaledwie sprawy, której pragną służyć. Natomiast Malraux, w przeciwieństwie do innych pisarzy, za przedmiot swoich dzieł bierze konflikty osób, stojących silnie na gruncie wartości już istniejących; materiałem jego powieści nie jest rewolucja, lecz mocno zarysowane na jej tle charaktery.

Z uwag tych wynika, że pierwiastek „metafizyczny” nie jest tylko jednym z wielu elementów dzieł Malraux, lecz składnikiem najbardziej istotnym i warunkującym całą problematykę jego twórczości: etyczna postawa jego bohaterów wynika właśnie z ich „metafizycznych” konfliktów.

I oto dla tego to splotu znajdujemy zdumiewający odpowiednik w *Płomieniach* Brzozowskiego. Podobieństwo atmosfery panującej w twórczości tych pisarzy jest w istocie zadziwiające. Ta sama u obu odwaga i namietność doprowadzania każdego problemu do ostatecznych konsekwencji i ten sam u obu punkt wyjścia. Jeden i drugi jest entuzjastą marksizmu, ale jeden i drugi przeciąga linię marksizmu w sferę odwiecznych pytań o prawdę i o sens bytu. Obaj związali ontologiczne dociekania z etyczną postawą wobec świata, i obu wreszcie obdzielano z tego tytułu nazwami „metafizyków” i „moralistów”, lub — zapoznając organiczny związek objętych tymi nazwami funkcji u każdego z wymienionych pisarzy — przyklepiano naprzemian — zarówno Brzozowskiemu jak i Malraux — to jedną, to drugą etykietkę. Nie dosyć na tym: pokrewieństwo filozoficznych stanowisk prowadzi, na terenie powieści, i Brzozowskiego i Malraux do zdumiewająco podobnych rozwiązań artystycznych.

Brzozowski wyprzedził przy tym pisarza francuskiego o lat co najmniej dwadzieścia.

(4) Cytuję za J. Stempowskim.

BOHATEROWIE I PUNKT WYJSCIA

Plomienie (5) obejmują dzieje ruchu rewolucyjnego w Rosji: od spisku Nieczajewa, do upadku „Narodnej Woli” (6) i ujęte są w formę pamiętnika, pisanego przez byłego działacza rewolucyjnego — Polaka Michała Kaniowskiego. Na przestrzeni kilkuset stron dwutomowej powieści przewijają się (najczęściej epizodyczne) postacie spiskowców. Wszyscy oni, podobnie jak bohaterowie dużo później pisanych utworów Malraux, stoją silnie na gruncie wartości już istniejących, to jest socjalistycznych i populistycznych, o bardzo różnym zresztą zabarwieniu (7), wszyscy posiadają swój „świat wewnętrzny” i przeżywają swoje konflikty, a konflikty te rodzą się przeważnie z zagadnień, dotyczących sensu istnienia. Wreszcie, materiałem utworu Brzozowskiego, podobnie jak u Malraux, jest nie tyle rewolucja, ile mocno na jej tle zarysowane charaktery (8).

(5) Utwór ten ukazał się po raz pierwszy drukiem w roku 1909. Numeracja stron cytowana w niniejszym szkicu odnosi się do II. pośmiertnego wydania: *Lwów-Warszawa*, 1921. Odnośnie czterech głównych powieści Malraux, cytowana paginacja odpowiada: dla *Zdobywców* (*Conquerants*). — „Œuvres complètes”, Genève 1945; dla *Doli człowieka* (*La condition humaine*). Ed. Gallimard, 1946; dla *Czasów Pogardy* (*Le temps du mépris*). Ed. Gallimard, 1935; dla *Nadziei* (*l'Espoir*). Ed. Gallimard, 1944. Przy polczeniu cytowań korzystano z tłumaczeń A. Ważyka („Dola człowieka”, Warszawa, 1935) i Rogowicza („Czas Pogardy”), zachowując jednak paginację wymienionych wyżej oryginałów francuskich.

Odnośnie innych cytowanych dzieł, wydania wskazujemy w danym miejscu tekstu.

(6) Organizacja ta przejęła spadek po organizacji „Ziemia i Wola”, założonej w 1878. Punktem kulminacyjnym działalności „Narodnej Woli” był udany zamach na cara Aleksandra II, dokonany 1. III. 1881 (13. III. 1881, według kalendarza rosyjskiego) przez Polaka Hryniewieckiego.

(7) Co odpowiada prawdzie historycznej: cechą wymienionego ruchu było kłębienie się idei świeżych, niesztetywniały. Brzozowski nie omieszczał zresztą „podpowiadać” postaciom utworu swoich własnych poglądów. Wszystkie główne osoby powieści są skądinąd historyczne. Autor czerpał odnośną dokumentację głównie z emigracyjnego czasopisma rosyjskiego „*Byłoję*” (Przeszłość), które ogłosiło w owym czasie szereg dokumentów dotyczących „Narodnej Woli”. Pisarze rosyjscy — Pissarew, Dobroliubow, Michałowski i — przede wszystkim — ich mistrz Czernyszewski, uwielbiani przez postacie *Plomieni*, byli bliscy Brzozowskiemu z czasów jego własnej młodości, przy całym sentymencie dla nich zachował on do końca życia. Jeszcze w *Pamiętniku*, pisanym krótko przed śmiercią, notuje Brzozowski na przykład odnośnie Michałowskiego: „Jak pięknie byłem młody, gdy go czytałem. Nie zmieni już nic tego faktu, że dużo najświeższych moich wzruszeń, najświeższych, najszczerzych moich myśli, zrosło się z tymi nazwiskami”.

(8) W zajęciu takiej postawy, uznanej przez krytyków Malraux za rewelację, Emil Haecker, w pamflocie na Brzozowskiego, widział nawet pierwotny grzech artysty pisarza (por. E. Haecker: *Rzecz o „Plomieniach”* Stan. Brz., Kraków, 1909, str. 10). Była to przecież epoka, kiedy powieściopisarz winien był przedstawiać „rozwój ideologiczny” swoich „postaci a nie ich postawę już zajęta, już okrzepła, czyli „statyczna”.

— „Czy rozumiesz?” — mówi jedna z osób powieści — „od czasu jak człowiek istnieje, ludzie giną z tym przekonaniem, że to, co pozostawiają za sobą, to nie było życie; czują, że nie żyli, że zostali oszukani o życie całe. I cała historia to jest takie schodzenie w grób zamęczonych, oszukanych milionów” (*Plomienie*, I. 38). Motyw ten ustawicznie powraca: „Kto zdoła znieść nieustanny trzask kości, śmiertelne jęki serc konających, krzyk myśli zalewanej przez czarne wody zguby. Pomyśleć, że mówił o sobie ja każdy z tych ginących, ożywić znowu myślą dżingischanową piramidę czaszek, zrozumieć, że zdrowie, spokój, szczęście są wyjątkiem i że my bierzemy udział w tym nieustannym mordowaniu ludzi, i znosić to wszystko — jest niepodobieństwem (*Plomienie*, II, 164). Bohaterowie Brzozowskiego są tymi właśnie, którzy — jak później postacie dzieł Malraux — „posiadają zmysł absoliutu” i żadną miarą nie potrafią uspokoić sumienia przez „łatwy wybieg pomieszczenia pojęć i kompromisu”. „Ludzie ci” — charakteryzuje ich autor piórem Kaniowskiego — „żyli istotnie tylko poszukiwaniem prawdy. Prawdy żywej, przekształcającej samo życie, nie martwej wiedzy... Myśl ich nieustannie pracowała nad rozwiązaniem zagadnienia, czym jest człowiek... Była jakaś nieustraszonosc, w wykonywaniu wyroków sumienia i badaniu... Ich filozofia była życiem... (Pl., I. 95). Wstręt do zbrodni, dokonywanej na człowieku i świadomość mimowolnego w niej (w razie bierności) współudziału, cechuje nawet osoby, nie biorące udziału w działalności rewolucyjnej. Nauczyciel matematyki Wasyli Andrejewicz Kuźniecowa zwierza się: „...dajcie mi taki punkcik, aby na nim życie przetrwać było można, aby błoto rosyjskie na dusze nie kapalo. I z całą geometrią wykreślną i analityczną, z całą trygonometrią kulistą, na próżno szukać: nie znajdziecie. Zawsze się odnajdzie taka nić i za nią człowieka aż na dno ściągnie” (Pl., I. 71). Sens świata dyktuje przeto, że „nie powinien nigdy człowiek siebie samego oszczędzać”, albowiem z „geometrycznego punktu widzenia... i cóż ja jestem, mizerny punkcik, aby warto było o mnie dbać... Tamto właściwie jest to nieskończone, a nie ja” (Pl., I. 72). Nawet stary kasztelan, ojciec Kaniowskiego, uważa, że „siebie tylko nie powinien zdradzać człowiek”, ponieważ, nie powinno się być rozumniejszym od sumienia” (Pl., I. 80).

Rewolucjonistów cechuje jednak coś więcej. Oni nie tylko posiadają świadomość panującego zła, ale czynnie z nim walczą, a w walce ujawniają twardy heroizm. To są właśnie te silne, na tle rewolucji zarysowane charaktery. Brzozowski przedstawia całą galerię takich działaczy. Jest między nimi Hipolit Myszkina, „jeden z najdzielniejszych moralnie, największych ludzi”, i jest Sołowiew „urodzony rycerz”, o „cudnej duszy”, „rycerz asceta średniowiecznej legendy” (Pl., II. 92), jest Żelabow, należący do „rasy ludzi chwytających gwiazdy za szprychy i zatrzymujących je w biegu” (Pl., II. 136) i jest Kibalczyk, o którym mówi

się metaforycznie, że widziano go „ze złotym plugiem wśród szafiru nieba i gwiazd” (Pl., II. 155); jest stalowy Brenneisen ze swoją dewizą: „Żyję jak chcę i umieram jak chcę” (Pl., I. 104), nieugięty w swojej nienawiści Sergiusz Nieczajew i wielu innych. Istotę ich działalności wyjaśnia rewolucjonistka Olga: „Żyjemy już tylko jako momenty historii. I dlatego nie ma i nie może w nas być nic prócz tego nieustannego spalania się w świecie przyszłości” (Pl., II. 102).

Z podobnego przekonania o nicości i o bezmyślności więk-
szości żywotów oraz z przeświadczenia o zbrodni, tkwiącej
w biernym poddawaniu się systemowi, rodzi się także protest
bohaterów Malraux, albowiem „nie ma i nie może być ani god-
ności, ani życia realnego dla człowieka, który pracuje dwana-
ście godzin dziennie i nie wie, po co pracuje” (*Dola człowieka*,
80). — „Idzie nie tylko o brak pieniędzy” — mówi Klein w
Zdobywcach (str. 40) — ale i o to, „że ...zawsze są bogaci,
którzy żyją i są inni, którzy nie żyją”. W tym samym utworze
(str. 104) Hong podkreśla: „Dwie są tylko rasy, nę-dza-rze i ci
inni”. — „Biedak nie może się poważać... W nędzy widzi on
ckliwego demona zajętego ustawicznie dowodzeniem człowie-
kowi jego podłości, jego tchórzostwa, jego słabości, jego skłon-
ności do upadania się”. Jedną z postaci *Doli człowieka*, Hem-
merlich, posiada nawet bardzo soczystą defi-
nicję tego rodzaju bytów (str. 214): „K...a młodość!” mawiał
w ciągu dwudziestu lat. Ileż jeszcze pozostaje czasu, by rzec
„K...a starość” i przekazać (jego) nieszczęśliwemu dziecku te
dwa doskonałe określenia życia”.

Ludzie Malraux, w heroizmie swoim i w swoich dążeniach,
są bliskimi krewniakami postaci Brzozowskiego. To Sołowiew,
Myszkina, Żelabow, Kibalczyk, Nieczajew, Brenneisen, Olga, Ka-
tia przenieśli się do Chin, do Niemiec i do Hiszpanii, aby pod
postacią Czena, Kyo, Katowa, May, Hemmerlicha, Pei — wal-
czyć o chleb i godność chińskiego kulisa, pod postacią Kassne-
ra porać się z więziennym obłędem w lochach koncentracyjnego
obozu, pod postacią Lopeza, Shade’a Barca, Negusa, Ramosa,
Ping i tylu innych bronić „Apokalipsy braterstwa” hiszpańskie-
go ludu przeciw poniżeniu wracającemu z batalionami generała
Franco.

KONFLIKTY EROTYCZNE

Spośród zagadnień, nękających osoby *Plomieni*, osobną gru-
pę tworzą konflikty erotyczne. Nie chodzi tu jednak o powikła-
nia spotykane nagminnie w beletrystyce: rozterki nie wiąże się
ani z tak zwanym trójkątem, ani z inną geometryczną konfigu-
racją spraw małżeńskich. Ludzie *Plomieni* stoją również i w tym
wypadku mocno na gruncie wartości wyznawanych, chociaż nie-
przyjętych przez ogół. Równouprawnienie kobiety i wolność
związków jest dla nich rzeczą samą przez się zrozumiałą. Oczy-

wistość tego przekonania natrafia jednak w praktyce na sprze-
ciw instynktu i na tym właśnie, na konflikcie między rozumem
a odruchami, polega tragiczne rozdwojenie: Michał Kaniowski,
który późniejszą swoją przyjaciółką, Katię, widział w młodości
nagą, bitą przez męża-sadyście, nie może zrazu swobodnie o niej
myśleć; był w nim jakiś „pierwiastek zmysłowego rozstroju”
(Pl., I. 172). prostytutka Lia, którą spotkał w przytułku dla bez-
domnych i z którą żył kilka dni, odchodzi, przypominając mu
układ: „ty wolny i ja wolna”; lecz gdy potem Kaniowski
słyszysz za ścianą jej śmiech i pocałunki dzielone z robotnikiem
Paolem, „były noce, kiedy myślał, że wstanie, wbije w piersi
Paola sztylet i weźmie za włosy tę piękną, śmiejącą się zmiję”.
— „Nigdy, nigdy” — wyznaje w związku z tym — „nie nie-
nawidziłem tak gorąco siebie” (Pl., I. 212).

Konflikt ten z równą siłą występuje u kobiet. Olga wątpi
o swojej swobodzie ludzkiej i zapisuje: „A jeżeli ty się mylisz,
Michale, jeżeli ja nie twój świat, twoją myśl kocham, tylko cie-
bie, jeżeli ja tylko chcę widzieć twoje oczy, jeżeli ja tylko pra-
gnę, byś mnie wziął i był mną szczęśliwy, jeżeli ja tylko miłość
twoją kocham” (Pl., II. 10). Albo: „A jeżeli ty mnie nie znasz,
Michale, jeżeli mnie gryzie, szarpie ból, nie o to żeś ty tamte
kobiety kupował, ale że to nie byłam ja?... Ja nie chcę, nie
chcę tak czuć. A tak czuje ona, moja krew, tak czuje całe moje
nieoporne ciało” (Pl., II. 11). Podobny mniej więcej, chociaż
nierównie drastyczniejszy konflikt przerywa Katia: — „Do koń-
ca życia” — mówi — „będę już tym, czym jestem: kobietą,
którą bił jej mąż, nie, jej pan, jej właściciel; ona czepiała się
jego rąk, jego nóg, i całowała tę ohydne, włosem porośnięte ręce.
Słyszysz, czułam rozkosz w tym, że byłam jego ścierką, jego
rzeczą” (Pl., I. 183). Świadomość tego wyrzywa jej rozpaczliwy
okrzyk: „... mówicie o prawie, o urządzeniach, formach eko-
nomicznych i państwowych... Ale kto zmieni krew ludzkości?
Kto nam da nową krew?” (Pl., I. 184). Cytaty można mnożyć.

Zdumiewająco podobne w charakterze konflikty przeżywają
bohaterowie Malraux. I oni również stoją mocno na gruncie
przekonania o bezwzględnej wolności kobiety, ale i u nich tra-
gizm polega na rozdwojeniu między rozumem i instynktem. Ty-
powy pod tym względem jest epizod między Kyo i May w *Doli*
człowieczej: gdy May mówi, że „przespała się” z Langlenem
(59), Kyo — chociaż uznaje jej wolność (60) — odczuwa głuchy
ból i z „wielkim wysiłkiem odpychał nienawistne, nikczemne
myśli, które zbiegły się, aby usprawiedliwić i nakarmić jego
gniew” (61). „Cierpiał na skutek bólu najbardziej zawstydzają-
cego: takiego który sprawia iż gardzi się sobą, że się go
odczuwa” (62). — „Uznać swobodę kogoś innego” — mówi na
innym miejscu, wspominając ten wypadek — „to znaczy tyle,
co usprawiedliwić go wbrew własnemu cierpieniu” (tamże, 238).

Nie brak również męczącej świadomości o niepodobieństwie
całkowitego porozumienia się. Gdy bohater *Czasów pogardy*,

Kassner, po mękach obozu koncentracyjnego i po niebezpiecznym locie, wraca do domu, w przeogromnym szczęściu żony, że najukochańszy człowiek żyje, tkwi cierpienie, ból, że nie ona jest jedyną radością jego życia. „I choć aprobowała jego wyjazd duszą i sercem, choć była bojowniczką w miarę możliwości, nic nie zmieniało istoty rzeczy. Czasem zadawał sobie pytanie, czy w swej najelementarniejszej głębi nie wyrzucała mu tego życia, gdzie coś przechodziło do porządku dziennego nad jej bólem, którego nie uznawała, który zносиła z uczuciem upokorzenia i rozpacz. On wiedział dobrze, jaką sam miał do niej urazę o jej miłość” (*Czasy pogardy*, str. 174-175) (9).

(Dokończenie nastąpi)

Michał BORWICZ

Genealogia i perspektywy odwilży

Na łamach „Przeglądu Kulturalnego” toczyła się niedawno dyskusja o roli marksizmu-leninizmu w humanistyce. Jej głównymi protagonistami był Józef Chałasiński i Adam Schaff, przy współudziale antycznego chóru komentującego na dwa różne głosy wypowiedzi głównych bohaterów dramatu. W chórze występowali nielada soliści współczesnej publicystyki i „oficjalnej” nauki — Bieńkowski, Markiewicz, Kołakowski, Suchodolski, Kroński, Walicki, Ehrlich, Lange i Leśnodorski. W roli gońców, przynoszących relacje o rozwoju wydarzeń poza sceną, wystąpili Kijowski w „Twórczości”, Strzelecki w „Nowej Kulturze”, Szczepański w „Kronice”, Kurowski w „Dziś i Jutro” i — ku niezadowoleniu niektórych uczestników dyskusji — piszący te słowa w „Kulturze”. Jak należało tego oczekiwać, Ananke przemówiła w „Nowych Drogach” (12/55) i „Życiu Partii” (1/56) głosem Żółkiewskiego i Biura Politycznego K.C. P.Z.P.R.-u. Wkrótce potem zapadła kurtyna, niemal w przeddzień sukcesu, jakiego przeciw „terroretynom” (tak obecnie określa się w Polsce „myślicieli” którzy w nagłej potrzebie uzupełniają argumenty zastraszeniem i groźbą represji) dostarczył Chruszczow w tajnym przemówieniu na XX zjeździe K.P.Z.R.

Qui tacet consentire videtur, pisał Schaff w podsumowaniu dyskusji pod adresem Chałasińskiego, który po serii wymierzonych w niego artykułów nie podjął rękawicy na wybranym przez siebie terenie. To stwierdzenie zawiera pewną dozę słuszności. Na scenie i w życiu milczenie ma swoją wymowę. Kto lekceważy tę konwencję, stać się może jej ofiarą. Nie znaczy to jednak, iż Schaff istotnie wyszedł z dyskusji jako zwycięzca, a Chałasiński jako pokonany. Przebieg dyskusji okaże, że nominalni zwycięzcy musieli w niejednym ustąpić swym przeciwnikom.

(9) Zgodnie z ramami tego szkicu, cytujemy tu tylko elementy, dla których można znaleźć odpowiedniki w *Plomieniach*. W powieści Brzozowskiego *Sam wśród ludzi*, spotykamy jednak całą galerię osób i scen, uwy-puklających również inne aspekty, właściwe ujęciu zagadnień erotycznych przez Malraux: motywy „potwierdzania” się, „maskowania” się, kompensacji itd.

PROLOG

Nie ma potrzeby wracać do prologu dyskusji w „Przeglądzie Kulturalnym”, do sporu między Chałasińskim a Instytutem Badań Literackich, toczono na łamach „Nauki Polskiej” i „Pamiętnika Literackiego”, gdyż był on już omawiany w „Kulturze” (9/55). Trzeba jednak przypomnieć główne tezy Chałasińskiego, jakie on wówczas sformułował. Po pierwsze, stwierdzał Chałasiński, wyznawca materializmu historycznego nie jest zobowiązany do bezkrytycznego przyjęcia każdej tezy tak zwanych klasyków marksizmu. Uczony przekonany o słuszności podstawowego twierdzenia historycznego materializmu o „bycie określającym świadomość” może je rozwijać w sposób odpowiadający wymogom stawianym mu przez badaną dziedzinę zjawisk kulturalnych (1). O prawdziwości dodatkowych hipotez rozstrzygają tylko fakty, a nie zgodność z tym lub innym twierdzeniem jednego z klasyków marksizmu. Po wtóre, materializm historyczny wymaga uzupełniających hipotez, jeżeli ma być użytecznym narzędziem w rękach humanisty, stanowić podstawę pełnej teorii kultury obejmującej wszystkie dziedziny ludzkiej działalności i stać się wyczerpującym światopoglądem, dającym jednostce orientację w życiu. Taki światopogląd obejmować musi dziedzinę wartości, których nie można wyprowadzić ani z nauk przyrodniczych, ani z marksizmu-leninizmu. Wartości czerpiemy z doświadczenia historycznego i dorobku całej ludzkości, od których marksizm-leninizm odcina się i do których należy wrócić, jeżeli marksizm-leninizm ma dorosnąć do wyznaczonej mu roli.

W artykule „Zagadnienia Kultury Współczesnej w Humanistyce Polskiej — Szkoły w Nauce — Instytuty Naukowe” (Nauka Polska 2/55) Chałasiński do wspomnianych dwóch tez dodał jeszcze trzecią. Centralnym zagadnieniem „epoki socjalizmu” jest pogodzenie mecenatu nad nauką i kulturą z rozwojem indywidualności uczoności i twórcy kultury. Jeden ze

(1) Kulturą nazywam ogół osiągnięć, dzieł i wytworów indywidualnej i zbiorowej działalności człowieka, jak również dyspozycje do tych działań i ich usprawnienia właściwe jednostkom. Stosownie do powszechnie przyjętego zwyczaju, posługuję się terminem „nauka o kulturze” jako synonimem „nauk humanistycznych”. W dyskusjach „Przeglądu Kulturalnego” nie ustalono znaczenia ważnych terminów. Jak się zdaje, niektórzy uczestnicy dyskusji odróżniali nauki społeczne (socjologia, historiografia, ekonomika, lingwistyka) i nauki humanistyczne, stanowiące odrębną grupę nauk społecznych. Intencja tego rozróżnienia jest mglista. Na nauki humanistyczne składają się trzy rodzaje zdań: zdania o faktach, zdania o prawach i zdania wartościujące. Odrębność nauk humanistycznych wywodzi się z faktu, iż zawierają one trzeci z wyżej wymienionych rodzajów zdań. Jedną z intencji wyodrębnienia przez marksistów-leninistów nauk o kulturze spośród nauk społecznych jest przekonanie, iż nauki społeczne, inne niż nauki humanistyczne, nie zawierają zdań wartościujących, a przeto nie różnią się pod tym względem od nauk przyrodniczych.

składowych problemów tego zagadnienia znalazł pomyślnie rozwiązanie. Powstał mecenat społeczny, z którym łączy się nierozzerwalnie zasada planowania oraz społecznej funkcji nauki i kultury. Lecz druga część podstawowego zagadnienia — rozwój indywidualności badacza — nie ma dotąd rozwiązania. Planowanie jest w tym wypadku bezużyteczne, gdyż indywidualność wymyka się planowaniu. Gdy badamy bilans nauk humanistycznych w dziesięciolecie 1944-1954, wyraźnie występuje wysoco niezadowalający pod tym względem stan rzeczy. Dominującą cechą całej humanistyki tego okresu jest brak osiągnięć, „jednomysłność i zgodność poglądów”, „bezosobowość”, świecąca pustką walorów moralnych i intelektualnych, poparta jedynie pyszałkowatym przekonaniem, iż humanistykę „burżuazyjną” uprawiają głupty, humanistykę „marksistowską” — ludzie nauki.

Indywidualność badacza wyrasta w warunkach wolności myśli, różnorodności poglądów i stanowisk, wielości szkół i założeń, jakie badacz przyjmuje stosownie do swych przeświadczeń i poczucia słuszności. Takie warunki zaś w Polsce nie istnieją. W ślad za tym idzie „niekompetencja naukowa, niezrozumienie problemów, o które chodzi, lub zgola fałszowanie rzeczywistego obrazu nauki burżuazyjnej”. Upadek nauk humanistycznych jest przysłonięty listkiem figowym werbalnego zwrotu — „marksistowska humanistyka”, czekiem bez pokrycia. Albowiem „filozofia zamieniła się w rozważania nad genealogią marksizmu, historia kultury — na historię kultury materialnej, historia literatury — na historię ideologii społeczno-politycznej”. Jest to następstwem dogmatycznego podniesienia stanowiska jednej szkoły (sc. marksizmu-leninizmu) do roli „monopolu na metodologiczną poprawność naukową”. Monopol jednej szkoły podpierają monopolistyczne przedsiębiorstwa wydawnicze i ministerstwa opalone przez wyznawców monopolu w nauce (2).

Drugi etap dyskusji o kulturze toczył się głównie wokół negatywnego sformułowania trzeciej tezy Chałasińskiego — oskarżenia marksizmu-leninizmu o dogmatyzm i doktrynalny mo-

(2) W okresie „odwilży” pisze się otwarcie o odrzucaniu rękopisów bez wyjaśnień, względnie na skutek odmowy wprowadzenia żądanych poprawek, a również o dokonywaniu zmian tekstu bez wiedzy autorów. Szczegóły znaleźć można w artykule Chałasińskiego w „Przeglądzie Kulturalnym” (41/55), Kępczyńskiej i (JA) Szczepańskiego w „Trybunie Ludu” (28. 2 i 8. 4. 56), Sandauera, Ossowskiego i Słonimskiego w „Przeglądzie Kulturalnym” (10/56, 13/56, 14/56). Również Schaff stwierdzał, iż do niedawna nie tylko utrudniano, lecz i uniemożliwiano „wydanie prac, które wprawdzie nie stały na stanowisku marksizmu, lecz posiadały określone wartości naukowe” (Przegląd Kulturalny 44/55). We wspomnianym wyżej artykule Sandauer pisał o szufladach i pracowniach, które pęczniały w latach ubiegłych od rękopisów i obrazów. „Powstała swoista konspiracja artystyczna, uprawiana kosztem zajęć zarobkowych, opłacana ceną wyrzeczeń, konspiracja tym tragiczniejsza, że znaleźli się w niej ludzie od lat związani z ruchem rewolucyjnym”.

nopolizm, podczas gdy jej pozytywne sformułowanie — niezbędne warunki rozwoju twórczej indywidualności — pominięte zostały milczeniem. Dotknął go Walicki i zajął się nim Ossowski (Przegląd Kulturalny 48/55, 13/56), lecz „Przegląd Kulturalny” zdecydował się opublikować głos Ossowskiego dopiero po zamknięciu dyskusji.

KŁOPOTY DR. FAULA

Gdy Chałasiński ogłaszał artykuł „Zagadnienia Kultury Współczesnej w Humanistyce Polskiej” nie był on już w swych poglądach odosobniony. Dr Faul miał wówczas mniej czasu niż zwykle, tyle było „bałamuctwa” wśród podnoszących głowę pisarzy młodszego pokolenia. Dawna prawda, iż nie należy „ufać sumieniu” zawałała się pod ciężarem własnego kłamstwa. Młodzi pisarze odmówili udzielania „patetycznej afirmacji sfalszowanej rewolucji” dotąd uznawanej za jedyną postawę godną partyjnej literatury. W prawach historii, uwalniających ich od odpowiedzialności, z którymi kiedyś „chodzili pod rękę”, odkryli możliwość usprawiedliwiania wszystkich błędów i kosztów rewolucji — zakłamania, demoralizacji, rozpadu moralnego. Mimo podejrzeń o uleganie wrogiemu naciskowi, zerwali z praktyką uprawiania fałszu „w imię celów wyższych” i głoszenia prawdy, która miała „części wymienne”. Odrzucali literaturę ograniczoną do funkcji ilustrowania zarządzeń partyjnych, w stosunku do której należało stosować „ulgową taryfę wymagań artystycznych”. Chcieli sami odkrywać rzeczywistość, działać i tworzyć z własnej inicjatywy, angażować się w rewolucję „sumieniem, gniewem, miłością” (3). Dla nich K. Brandys wykulał aforyzm o pisarzach, którzy nie są wcale „odrębnym plemieniem” a tylko „zawodem, zawodem co prawda ideologicznym”. W czasach gdy „schematyzm, lakiernictwo, wulgaryzacja”, „zaściankowe odcięcie się od wielu stron świata”, a nawet „dogmatyzm” doczekały się już oficjanego potępienia, wszędzie czyhały zastawione sidła „mętnych zdań” wiodących w swych konsekwencjach wprost do „burżuazyjnych koncepcji”. Nawet „Nowa Kultura” szerzyć zaczęła niebezpieczne nowinki. Wprawdzie odmówiła drukowania wypowiedzi Różewicza w ankiecie „Pisarze wobec Dziesięciolecia”, lecz przy tej właśnie okazji Ważyk sformułował poetyckie przesłanki, z jakich wyrósł „Poemat dla Dorosłych”. Na łamach „Nowej Kultury” A. Braun głosił pogląd, iż rozbrajanie się moralne wobec abstrakcyjnych formułek jest największym niebezpieczeństwem

(3) Ta postawa znalazła najpełniejszy wyraz w artykułach J. Urbana w „Po Prostu” (4/56), A. Brauna i W. Woroszyńskiego w „Nowej Kulturze” (12/56, 13/56). Wymienione autobiograficzne wypowiedzi odnoszą się do okresu wcześniejszego od daty ich opublikowania.

„naszej epoki”, a Kott ostrzegał, iż prawa historii nie uwalniają nikogo od osobistej odpowiedzialności.

Szerzyły się nie tylko „mętne zdania”, lecz i „fałszywe teorie”, wypaczone odpowiedniki „śluszných kierunków natarcia na nasze błędy”. Gdy Żółkiewski zabrał głos w „Nowych Drogach” w czerwcu ubiegłego roku, oprócz eklektyzmu Chałasińskiego doliczył się on już trzech innych prawicowych wypaczeń. Była więc „teoria immanentnego zła socjalizmu”, zła organicznego ustroju i jego płodów, której rodowód Żółkiewski wyprowadzał z felietonów J. Andrzejewskiego. Ten świetny artysta, wywodził Żółkiewski, fałszywie interpretował rzeczywistość. Zło jest cechą przypadkową współczesności, gdyż istotne jest to „co stanowi zapowiedź przyszłości”. Głoszono dalej „teoryjkę” o primacie sztuki, priorytecie kryterii artystycznych nad politycznymi. Siekierska (4), Andrzejewski, Jastrun, Sandauer i Błoński domagali się, by walory samego dzieła, a nie jego partyjna użyteczność, były miarą osiągnięć artystycznych. O sztuce winni decydować sami ludzie sztuki, zasada partyjnego kierownictwa jest uzurpacją prerogatyw, które nie należą do polityki. Z pobłażliwością mędrca odpowiadał im Żółkiewski, iż chcą zastąpić klasową postawę artysty wiernością prawdzie i własnej wizji rzeczywistości. Trzecim wreszcie prawicowym wypaczeniem był „ideał kultury” Sandauera, ideał stworzony, jak to określił Żółkiewski, według zasady „karty restauracyjnej”. Kultura, twierdził Sandauer, rozwija się w atmosferze różnorodności myślenia i działania. W stosunku do tej różnorodności teoria ma drugorzędne znaczenie i staje się szkodliwa, gdy ogranicza lub znosi podstawowe warunki twórczego rozwoju artysty (5).

Żółkiewski pocieszał się myślą, iż powyższe „teoryjki” nie występują nigdzie — prócz herezji Chałasińskiego — w czystej i konsekwentnej postaci, są często zmieszane ze „zdrową kry-

(4) Jadwiga Siekierska wyklada estetykę w Instytucie Nauk Społecznych przy KC PZPR. Jej heretycka wypowiedź ukazała się w „Przeglądzie Kulturalnym” (8/55). Przywołana do porządku przez „Trybunę Ludu” i Żółkiewskiego — bo tylko o partyjną naganę chodzi, bez próby argumentacji — Siekierska przyznała się natychmiast do błędu popełnionego w „ferworze polemicznym” w „niefortunnym artykule” godzącym w leninowską naukę o partyjności sztuki (Przegląd Kulturalny 39/55). Jaką wartość do wykładów Siekierskiej przywiązywać teraz mogą jej słuchacze w INS? Andrzejewski również wyparł się tytułu ojcostwa do teorii „immanentnego zła socjalizmu” (Życie Warszawy, 11. 3. 56), lecz nadal ma ona swych wyznawców, jeżeli Lange uznał za rzecz wskazaną przeprowadzić jej generalną i zasadniczą krytykę (Przegląd Kulturalny 49/55).

(5) „Wielka twórczość” pisał niedawno Sandauer, „jest zawsze po stronie postępu”. Walka o nową sztukę toczyć się może jedynie przy pomocy środków artystycznych. Narzucanie jej tego lub innego kierunku jako „rewolucyjnego” zamienia twórcę w „oportunistę”. Troska państwa o sztukę przejawia się wówczas, gdy zapewnia artystę „swobodę pokazywania swoich utworów” (Przegląd Kulturalny 10/56).

tyką", a ich żądło antydoktrynalne jest tylko błędną tendencją nieświadomą siebie i niejasną nawet dla jej nosicieli. Pisarze nie wiedzą co czynią i w tym, by zrozumieć samych siebie, winni dopomóc im „filozofowie”. Tak powstała potrzeba dyskusji o kulturze, którą niebawem rozpoczął Schaff w „Przeglądzie Kulturalnym”.

Lecz niedorzeczne „teoryjki” i tendencje uderzające w podstawy marksistowsko-leninowskiej doktryny nie utonęły w rozlewnej wymowie i perswazji mistrza Żółkiewskiego. „Rewizjonści” rozszerzali i konsolidowali swe pozycje wyjściowe. K.C. PZPRu zaalarmował listem okólnym aktywistów i komórki organizacyjne, iż „środowisko twórcze” znalazło się pod wpływem ideologii burżuazyjnej. W październiku ubiegłego roku „Nowe Drogi” wystosowały podobne oskarżenie o obcych wpływach, poważnych wahaniach, szkodliwej dezorientacji i zamęcie ideowym, które szerzą się w kołach pozapartyjnych i przenikają również w szeregi partyjne. Lista wykroczeń i ich różnorodność, podana przez „Nowe Drogi” była imponująca. Prócz dążenia do rewizji lub uzupełniania marksizmu-leninizmu znalazła się na niej nihilistyczna ocena dorobku kulturalnego ostatniego dziesięciolecia (6), objawy paniki i niewiary w słuszność i wykonalność „socjalistycznej konstrukcji”, przeciwstawiania kierownictwu ideowemu partii autonomii kultury, literatury, sztuki i nauki, oraz zastępowanie kryteriów walki klas kryteriami moralnymi mającymi stanowić obiektywny, ponad-klasowy sprawdzian słuszności przemian dokonywanych w Polsce. Dogmat o zastrzaniu się walki klasowej w procesie budowania „socjalizmu” nie okazał się jeszcze wówczas wymysłem paranoika owładniętego manią prześladowczą i manią nieomyślności. Niepokojący brak hartu ideowego intelektualistów został więc ostatecznie uznany za przewidziany w księgach etap naturalnego porządku rzeczy. Przewyższenie trudności wzrostu świadomości ideologicznej wymaga jedynie przywrócenia właściwej perspektywy historycznej, oczyszczenia atmosfery z „dyskusji z wszelkich pozycji” i z krytyki, która „goni za sensacją”.

Gdy „Nowe Drogi” ogłaszały swą diagnozę, Schaff w „Przeglądzie Kulturalnym” wycofywał się — pod naporem wzrastającej fali krytyki „z wszelkich pozycji” — z jednego marksistowskiego umocnienia po drugim, a swym atakiem na kult i nieomyślność jednostki (wyprzedzającym przemówienie Chruszczowa o kilka miesięcy) wywołał nieładą sensację. Nawet lumi-

(6) Mowa jest o takich ocenach dziesięciolecia jak wypowiedź o prozie Kotta w „Nowej Kulturze”, o poezji — Błońskiego w „Życiu Literackim”, o humanistyce — Chałasińskiego w „Nauce Polskiej”, o życiu w państwie budującym „socjalizm” — Ważyka w „Poemacie dla Dorosłych”, które odbiły się szerszym i głośniejszym echem aniżeli zapewnienia wiernych kohorty — Macha, Broszkiewicz, Czerwińskiego, Czeszki, Zimanda, Kruczkowskiego, Żółkiewskiego, iż nie ma powodu do niepokoju, gdyż istotne jest to co „zwycięży”.

narze ortodoksyjnej doktryny zaczęli mówić różnymi językami i przenosić „zamęt” w swe własne szeregi. „Odwilż” przybrała formy „żywiolowe”. To, co partia określała jako „zamęt”, okazało się „procesem ocknięcia się ideologicznego, intelektualnego i moralnego” w środowisku ludzi myślących (wypowiedź Kotta na XIX sesji Rady Kultury i Sztuki, „Przegląd Kulturalny”, 14/56).

MARKSIZM A HUMANISTYKA

Zebrane razem artykuły o kulturze w „Przeglądzie Kulturalnym” (37/55 - 8/56) stanowiłyby gruby tom rozpraw, nieproporcjonalny rozmiarami w stosunku do zawartości. Niektóre głosy w dyskusji nie dotyczyły tematu i znalazły się wśród nich także potoczyste i elokwentne, lecz puste elaboraty, ilustrujące aforyzm Helwecjusza, iż „dusze nie mogą być upadlane bezkarnie”. W debacie nie wzięły udziału osoby najbardziej do roli uczestników powołane co wcale nie było sprawą przypadku (casus Ossowski). Główni protagoniści dyskusji myśleli nieraz o różnych rzeczach, gdy posługiwali się tymi samymi terminami. Tak się na przykład rzecz miała z terminem „dogmatyzm” i nieporozumienie wyjaśnił dopiero outsider Kurowski (Dziś i Jutro 3/56). Obok tych niedomagań postawić należy zalety dyskusji. Chociaż wszyscy jej uczestnicy akceptowali — skurczony, lecz nadal obowiązujący — zakres tematów nietykalnych, dyskusję cechowała swoboda i brak wewnętrznej cenzury w stopniu nieznanym przedtem publicystyce krajowej. Największym jej osiągnięciem było jednak publiczne ujawnienie faktu, iż w ostatecznej instancji marksizm-leninizm zapewnia sobie panowanie nad umysłami przez przymus i groźbę represji. W kilka miesięcy później Słonimski mógł mówić bez obłonek o „strachu” — „fakt ten pomijać milczeniem byłoby znów popadać w obłudę” — jaki skłaniał ludzi do przyjmowania poglądów sprzecznych z ich przekonaniami (Przegląd Kulturalny 14/56).

Dyskusja o kulturze skupiała się wokół sześciu głównych zagadnień (7). Chodziło najpierw o to, jak należy oceniać dorobek „marksistowskiej humanistyki” w okresie dziesięciolecia. Ponieważ ocena ta była jednomyślnie ujemna, nasuwały się z kolei dwa pytania: czy za upadek nauk humanistycznych odpowiadzialność ponosi marksizm-leninizm, czy też należy szukać innych przyczyn. W odmiennym sformułowaniu sprowadzało się to do zagadnienia, czy założenia marksizmu-leninizmu wymagają

(7) W dyskusji poruszone były i inne problemy, lecz znalazły się one na marginesie w stosunku do głównych zagadnień. Do nich należy np. próba Langego wykazania złudności całej humanistycznej problematyki (Przegląd Kulturalny 49/55) i wymiana opinii między Krońskim i Walickim dotycząca ludzkiej osobowości i jej roli w tworzeniu kultury (Przegląd Kulturalny 46/55, 48/55).

uzupełnienia, czy też są adekwatnym narzędziem badań humanistycznych. Powyższe dwa problemy prowadziły do innej pary zespolonych zagadnień, mianowicie czy marksizm-leninizm posiada monopol doktrynalny i jeżeli monopol ten posiada, jaki to ma wpływ na rozwój nauk humanistycznych. Łączyła się z tym sprawa rzekomo klasowego i politycznego charakteru nauk humanistycznych, który sprawia, iż stojąc na usługach polityki i walki klas nie mogą one rozwijać się samodzielnie. Szóstym i ostatnim zagadnieniem była sprawa prawa partii do kierowania i kontroli nad wszystkimi procesami tworzenia kultury.

Jeżeli pominiemy nieistotne zastrzeżenia, Schaff zgadzał się z Chałasińskim w ocenie stanu filozofii i nauk humanistycznych w okresie dziesięciolecia. Co więcej, Schaff rozciągał tę ocenę poza granice kraju. Był on zaniepokojony faktem, iż na przestrzeni szeregu lat i to w „skali całego naszego obozu” nie ukazała się ani jedna praca z zakresu materializmu historycznego i dialektycznego, ekonomii politycznej i nauk społecznych, która „zasługiwałaby na miano badawczej”. Prace jakie się ukazały nie opierały się na „naukowo zebranych materiale faktycznym” i nie wydobywały nowych tez i uogólnień lecz ilustrowały tezy dobrze znane nowymi przykładami (Przegląd Kulturalny, 37/55, 44/55, 45/55).

W analizie przyczyn tego stanu rzeczy różnica zdań utrzymała się do końca dyskusji, lecz Schaff zmuszony był pójść na znaczne ustępstwa na rzecz swego przeciwnika. Chałasiński wprowadzał zastój i upadek nauk humanistycznych z monopolu marksizmu-leninizmu, który nie pozwala rozwinąć się indywidualności uczonego i przejawia się w dogmatyzmie i persewacyjnym powtarzaniu mglistych ogólników. Założenia marksizmu-leninizmu wymagają rewizji i uzupełnienia. Tak na przykład Chałasiński wywodził, iż zarówno leninowska teza o „dwóch nurtach w każdej kulturze narodowej”, jak i jego własna teza o wielości nurtów i ciągłości rozwoju kulturalnego społeczeństw poprzez różne formacje społeczno-ekonomiczne jest zgodna z podstawowym twierdzeniem materializmu historycznego (8). Teza Lenina i teza Chałasińskiego są komplementarne, podczas gdy ograniczenie się do pierwszej prowadzi do mechanicznej segregacji zjawisk kultury do jednego lub drugiego „nurtu”, przez co zostają one oderwane od „konkretnego kompleksu zja-

(8) Tezę o „dwóch nurtach” można znaleźć w tomie 20 dzieł Lenina (p. 9 wydania polskiego). Lenin sformułował ją w polemice z „bundowcem p. Libmanem” w 1913 roku, mimochodem i na marginesie myśli przewodniej swego wywodu, dla określenia ogólnej dyrektywy co on, Lenin, zamierza wziąć a co odrzucić, z kultury narodowej Rosji. Lenin nie podjął nawet próby uzasadnienia tezy, iż w każdej kulturze narodowej istnieją dwa i tylko dwa „nurty”, na co w tym krótkim artykule polemicznym w ogóle nie było miejsca. Podniesienie tezy o „dwóch nurtach” do rzędu niewzruszonego dogmatu pozostanie klasycznym przykładem aberracji umysłów spe-
tanych autorytetem nazwiska.

wisk w historii kultury” (Przegląd Kulturalny, 39/55). Ciągłość rozwoju kulturalnego jest faktem bezspornym. Przecież osiągnięcia poprzednich formacji zachowują wartość w „kulturze socjalizmu”. Dotyczy to sztuki i literatury greckiej, architektury gotyckiej, poezji romantycznej, a również norm etycznych, których trwałość nawet w „przeciwstawnych systemach” moralnych” wywodził ostatnio Fritzhand w „Myśli Filozoficznej” (1/56).

Leninowska teza „dwóch nurtów w każdej kulturze narodowej” zajęła sporo miejsca w dyskusji. Markiewicz wykazywał, iż Lenin nie wykluczył *explicite* „wielonurtowości życia kulturalnego”. Podkreślał on jedynie istnienie w każdym społeczeństwie obok siebie kultury mas pracujących i kultury klasy panującej. Interpretowana odmiennie teza Lenina wielokrotnie nie daje się na gruncie historii literatury „po prostu zastosować” (Przegląd Kulturalny 42/55). Kołakowski nie widział w tezie postulującej istnienie ogólnoludzkiego postępu kulturalnego żadnej sprzeczności z założeniami marksizmu-leninizmu (Przegląd Kulturalny 43/55). Również Kroński przyznawał nieco racji Chałasińskiemu (Przegląd Kulturalny 46/55). Nasuwał się wniosek, iż marginesowa obserwacja Lenina, pochopnie podniesiona do godności nienaruszalnego dogmatu, jest wieloznaczna, jej stosowalność jest ograniczona, a związki logiczne z innymi tezami są zależne od sprecyzowania sensu samej obserwacji. Wydawałoby się przeto, iż potrzeba rewizji i uzupełnienia założeń „marksistowskiej humanistyki” została na przykładzie tezy o „dwóch nurtach” przekonywująco uzasadniona.

Schaff nie chciał jednak słyszeć o tych obrazoburczych zamierzeniach w stosunku do „wypróbowanej marksistowskiej dyrektywy metodologicznej”. Jest ona ponoć ściśle związana z tezami o bazie i nadbudowie, klasowym charakterze kultury itp., a ten wzgląd jest ważniejszy niż jej adekwatność w badaniach historycznych (Przegląd Kulturalny, 37/55, 44/55). Czego starał się Schaff bronić w tym niefortunnym dla siebie pojedynku? Czy obawiał się, że po jednej udanej próbie rewizjonistycznej otworzą się bramy dla rewizjonizmu doktryny i jej „umysłowej przemocy”? Za tym przypuszczeniem przemawia stanowisko Schaffa w stosunku do generalnej linii ataku Chałasińskiego na „marksistowską humanistykę”. Chociaż solidaryzował się on z oskarżeniem marksizmu-leninizmu o dogmatyzm, wywody Schaffa sprawiają wrażenie, iż z terminem „dogmatyzm” łączy on odmiennie od przyjętego znaczenie. Każda zmiana lub uzupełnienie dotychczasowych założeń jest dla niego godną potępienia herezją. „Jednoznaczność ideologii marksistowskiej” nie dopuszcza „tworzenia ‘szkół’ dowolnie interpretujących marksizm”, a „subiektywne uznanie marksizmu nie uprawnia do obrony dowolnych pozycji i do pretensji do stanowiska ‘szkoły’ wewnątrz marksizmu” (Przegląd Kulturalny 37/55). Tym bardziej nie ma i „być nie może” miejsca na istnienie szkół równouprawnio-

nych z marksizmem-leninizmem. Jeżeli to się nazywa „monopolem”, Schaff wyjaśniał, to jestem za takim „monopolem” i „pełną dominacją marksizmu” (Przegląd Kulturalny 44/55). Z potępieniem dogmatyzmu szła jego obrona. Jak trafnie Schaff pisał w podsumowaniu dyskusji, „walkę z dogmatyzmem można prowadzić w sposób nader dogmatyczny nie pociągający za sobą żadnych konsekwencji praktycznych” (Przegląd Kulturalny, 8/56).

Z jednej niekonsekwencji rodzą się następne. Nie trzeba złośliwości, by dopatrzeć się ich w stwierdzeniu, iż „brak zgody na istnienie takiej czy innej ‘szkoły’ nie zawsze jest świadectwem szkodliwego monopolu”, monopol marksizmu-leninizmu nie jest zaś szkodliwy, ponieważ nie jest prohibicyjny (Przegląd Kulturalny 37/55). W innym artykule Schaff jednocześnie bronił tezy, iż „w pewnym sensie istnieje u nas ‘monopol’ marksistowskiej nauki” i tezy, iż monopolu tego nie ma. Marksizm, pisze Schaff, nie ma monopolu, ponieważ posiada „wyższość naukową”, a to, co taką wyższością może się wykazać, monopolem nie jest (Przegląd Kulturalny 44/55). Jeżeli się zważy, co Schaff miał do powiedzenia o stanie humanistyki nie tylko w Polsce, lecz i w „skali całego naszego obozu”, podobne stwierdzenie jest rozszczeniem zdumiewającym. Gdzie znaleźć, można jego jedyny konkretny sprawdzian — odkrywcze teorie i wielkie osiągnięcia? „Wyższość naukowa” jest rzeczą, którą należy wykazać umiejętnością wyjaśnienia przez daną teorię spraw dotąd nierozstrzygniętych i niewyjaśnionych na gruncie teorii konkurującej. Póki to nie nastąpi „wyższość naukowa” jest zarozumiałą przechwałką, nawet jeżeli się w nią szczerze wierzy. Filozofem jest się po to, mawiał Nietzsche, by „pięknych uczuć” nie brać za argumenty.

Według Schaffa dogmatyzm marksizmu-leninizmu ma przyczynę psychologiczną i polityczną. Na płaszczyźnie psychologicznej obserwujemy u jednych zanik „ducha twórczej śmiałości”, u drugich — „komunistyczną pyszałkowatość”, ukrywanie ignorancji za zasłoną frazeologii ideologicznej. Oba te przejawy są jednak politycznie uwarunkowane — tak Schaff określa terror doby stalinowskiej — są wynikiem „łamania leninowskich zasad życia partyjnego”, „szkodliwego kultu jednostki” oraz przeświadczenia, iż „prawda naukowa” może być przez jednego i tylko jednego człowieka „ferowana w sposób nieomylny i ostateczny” (Przegląd Kulturalny 45/55, 8/56). Jedyną zaletą tego wyjaśnienia było odbrązowanie Stalina na trzy miesiące przed XX zjazdem KPZR. Pryśla „zapora głupoty”, pisał o tym wydarzeniu Żółkiewski w „Nowej Kulturze” (14/56). Czy było to rzeczywiście pryśnięciem zapory głupoty dowiemy się dopiero wówczas, gdy prócz dogmatu nieomylności jednostki, zniknie również dogmat absolutnej doktryny, niewolnicze jarzmo „monopolu jednej szkoły”.

W opinii Schaffa monopol marksizmu-leninizmu uzasadniony jest faktem, iż jest on czymś więcej niż jedną ze szkół filo-

zoficznych. Nie ma problemów i teorii kultury niezależnych od polityki i wolnych od uwarunkowań klasowo-egzystencjalnych. „Marksistowska humanistyka” jest bowiem nie tylko teorią, lecz również narzędziem walki klasowej proletariatu oraz gwarancją jego zwycięstwa (Przegląd Kulturalny 37/55). W tym punkcie dyskusji drogi Schaffa i Chałasińskiego rozeszły się ostatecznie. Tezę, iż kultura zależy od polityki, Chałasiński uzupełniał tezą komplementarną: polityka zależy od kultury, a to jest dla jego oponentów — Schaffa i Żółkiewskiego — „niespójną mieszaniną tez idealistycznych i materialistycznych”. Nie wszyscy marksieści-leniniści podzielają tę opinię. Chociaż szkoły w literaturze, sztuce i filozofii mają klasowe uwarunkowania, wyjaśniał Kołakowski, marksista-leninista młodszego pokolenia, wcale to nie oznacza, iż wszystkie ich osiągnięcia należy mierzyć miarą klasowego interesu. „Prawdziwość jakiegokolwiek poglądu jest niezależna od klas” (Przegląd Kulturalny 43/55). To stwierdzenie musiało głęboko zgorszyć autora „Obiektywnego Charakteru Praw Historii” i stanowiło nieoczekiwany przejaw samodzielności myślenia w szeregach marksistów-leninistów.

Dla Chałasińskiego założenie, iż polityka przenika do każdego aktu myślenia, a walka klas decyduje wyłącznie o powstaniu i rozwoju kultury, jest „wulgaryzacją metody materializmu historycznego”, przedstawioną jako szczytowe osiągnięcie nauki. Nie trudno byłoby wykazać z pismami Engelsa w rękę, iż Chałasiński — a nie Schaff — ma „marksistowską” rację. Nikt nie neguje roli stosunków społecznych w kształtowaniu się kultury, pisał Chałasiński, lecz odrywanie zjawisk kultury od indywidualności twórczej, zdeterminowanej zarówno przez formację społeczną, w jakiej żyje, jak i przez całość dorobku ludzkości, jest nieuzasadnionym i błędnym postępowaniem. „Inaczej byłoby niezrozumiałe, w jaki sposób pisarz może się w mniejszym lub większym stopniu uniezależnić od swojej klasy”, czego przykładu dostarczy choćby Marks i Engels (Przegląd Kulturalny 39/55, 5/56). Wydaje się rzeczą bezsporną, iż na gruncie samego marksizmu teza Schaffa nie jest do utrzymania, co w późniejszej fazie dyskusji kto inny w jego imieniu w innych nieco słowach przyznał.

Z polityczno-klasowego uwarunkowania wszelkich zjawisk kultury Schaff wyprowadza dogmat kierowniczej roli partii w naukach ścisłych i humanistycznych. Albowiem kontrola partii rozciągać się musi nie tylko nad naukami społecznymi, lecz również przyrodniczymi, a nawet nad „bardziej abstrakcyjnymi gałęziami filozofii jak logika, metodologia, przyrodoznawstwo, itd.” Chociaż w dyskusji Schaff przybierał ton apologetyczny i defensywny, oddawał oponentom bez wystrzału wiele pozycji ubezpieczających twierdząc marksizmu-leninizmu na przedpolu, dogmatu partyjnego kierownictwa w sprawach nauki i kultury bronił on z uporem i zawzięcie. Partia ma „pozycję naukową” — ten nonsens znalazł i w Żółkiewskim publicznego apostoła —

a uczony jest tylko „współuczestnikiem analiz i uogólnień praktyki budownictwa socjalistycznego” (Przegląd Kulturalny 47/55). Schaff nawołuje przeto uczonych do bezkompromisowego szukania prawdy „obiektywnej” i jednocześnie do nieograniczonego posłuszeństwa partii, co jest łączeniem jawnie niezgodnych nakazów.

Poszukiwanie „prawdy obiektywnej” i posłuszeństwo partii nie wykluczałyby się nawzajem, gdyby partia była w stanie w każdym wypadku rozstrzygnąć sprawę prawdy i fałszu nowych idei i teorii naukowych. Ten dar nie jest jednak udziałem nawet najgenialniejszego z ludzi, tym mniej zaś polityków pozbawionych naukowych kompetencji. Posłuszne poszukiwanie „prawdy” sprowadza się do uzasadniania poglądów, których prawdziwość została obwieszczona dekretem partyjnego synchodronu. Historia zna nie wiele przykładów podobnej pogardy dla prawdy i nauki, jaką Schaff zaleca polskim uczonym.

Nie brak było w dyskusji ani głosów protestu przeciw temu zapoznaniu istoty nauki, ani też cierpliwych prób wyjaśniania, iż absurdalną jest rzeczą przypuszczać, by bądź jednostka, bądź zespół jednostek mógł posiadać aprioryczną znajomość prawdy i dróg rozwoju nauki. Nikt z nas, pisał Walicki, nie dysponuje „mapą sztabową”, każdy z nas jest tylko posiadaczem busoli wskazującej ogólny kierunek marszu. Rozwój historyczny nie ma z góry wyznaczonego celu, w każdym momencie dziejów otwiera się przed ludzkością „wiele dróg wiele obiektywnych możliwości poznawczych”. Trzeba przejść je wszystkie, by wiedzieć, „które prowadzi na manowce, a które wiodą naprzód najkrócej i najsukuteczniej” (Przegląd Kulturalny 48/55). Opublikowana po zakończeniu dyskusji wypowiedź Ossowskiego (Przegląd Kulturalny 13/56) i przemówienie Przybosa na XIX sesji Rady Kultury i Sztuki (Przegląd Kulturalny 14/56) dotknęły innego aspektu tej samej sprawy. Funkcją artysty i uczonego jest niejednokrotnie nieposłuszeństwo w stosunku do wszelkich prócz prawdy autorytetów, a sprzeniewierzenie się tej funkcji demoralizuje artystę i uczonego oraz sprowadza upadek nauki i sztuki. Jan Szczepański wychodząc z tych samych przesłanek w poprawnym obserwowaniu faktów i poprawnym rozumowaniu wskazał granicę „lojalności (sc. uczonego) wobec socjalizmu”. Nie można bowiem służyć socjalizmowi „fałszując fakty” (Kronika 14/55).

Schaff stawia obowiązek posłuszeństwa partii wyżej niż obowiązek głoszenia prawdy. Jeżeli miałoby się zdarzyć, iż uczonego wykaże błędność poglądów partii lub stworzy teorię sprzeczną z prawdami opatrzonymi partyjnym autorytetem, prac jego „nie można publikować” i „szeroko udostępniać”, zanim nie nastąpi wyrównanie merytorycznych rozbieżności (Przegląd Kulturalny 45/55, 47/55). Schaff pozornie nie zdaje sobie sprawy, iż ledwo odzegnał się od nieomylności jednostki na to miejsce wprowadza nieomylność kolektywu. Ponieważ cechą wspólną obu

jest supremacja autorytetu politycznego nad naukowym, strącenie z piedestału nieomylności jednostkowej i zastąpienie jej nieomylnością kolektywną nie zmienia w niczym służebnej, użytkowej i propagandowej funkcji nauki. Jak zaś niedawne doświadczenia okazały, w ślad za nią idzie szarlataneria, lęk i cynizm ludzi uprawiających tę pseudo-naukę, oraz milczenie uczonych.

Do niedawna nie można było atakować bezkarnie prymatu autorytetu politycznego nad autorytetem nauki w sposób jawny i bezpośredni. Jasną jest jednak rzeczą, iż w cieniu omawianych dyskusji krył się problem bardziej jeszcze zasadniczy niż wszystkie abstrakcyjne zagadnienia, jakie w dyskusjach były poruszane — problem totalitarnego państwa („dyktatury proletariatu”) i jego roszczeń do kierowania myślą ludzką. Dostrzegł to Schaff i wyzwania nie pozostawił bez odpowiedzi. „Trzeba widzieć wyraźnie”, pisał on, „że wprawdzie w każdym z tych wypadków mówi się o sprawach takich, jak sztuka, nauka, literatura, ale idzie faktycznie o coś innego — o kwestię władzy, o charakter tej władzy”. Schaff nie ukrywał faktu, iż ideologiczna i administracyjna kontrola nad sztuką, literaturą i nauką nie opiera się ostatecznie na „naukowej pozycji” partii, lecz na środkach przymusu totalitarnego państwa. Kto przemawia przeciw tej kontroli wysuwa w rzeczywistości „postulat likwidacji dyktatury proletariatu”. Tym stwierdzeniem Schaff kończy swój wywód. Żałuję, mówi on, jeżeli was nie przekonałem, uznaję, że brak mi na razie zadawalających argumentów. Nie wynika z tego, iż przyznaję wam rację i zamierzam ustąpić, gdyż siła jest po naszej stronie. „My nie zrezygnujemy ani z dyktatury proletariatu, ani z kierownictwa partii, ani z oręża ideologicznego proletariatu-marksizmu... *clara pacta claros faciunt amicos*” (Przegląd Kulturalny 44/55). Terroretyczny argument okazał się ostateczną ostoją marksizmu-leninizmu.

INTERWENCJA ŻÓŁKIEWSKIEGO

Jeszcze przed zakończeniem dyskusji w „Przeglądzie Kulturalnym” głos zabrał Żółkiewski w „Nowych Drogach” (12/55) i obwieścił stanowisko partii w sprawach podniesionych przez jej uczestników. Żółkiewski nie zawsze zgadzał się z Schaffem, a gdy to ma miejsce, wiemy, że Żółkiewski — a nie Schaff — reprezentuje doktrynalnie „poprawne” stanowisko.

Podobnie jak Schaff, Żółkiewski łączy wielkie nadzieje z obaleniem kultu jednostki, który sprzyjał plenieniu się dogmatyzmu. Obalenie kultu jednostki ma być lekarstwem na dogmatyzm, gdyż uwalnia wyznawców marksizmu-leninizmu od zarzutu, iż tylko kult jednostki skłania ich do przyjmowania „wartości myślowej pewnych dzieł”. Przewyciężenie kultu nieomylności uwolni także uczonego od obawy — do której istnieje

nia w Polsce Schaff po raz pierwszy się przyznał — iż „błąd przezeń popełniony pociągnie za sobą niweczącą go krytykę” (Przegląd Kulturalny 45/55). Zapewnienie, iż uczeni nie będą prześladowani i zaszczuci za głoszenie „błędnych” poglądów; iż krytyka „błędów” nie wyklucza uznania tego, co „słuszne w dorobku danego badacza”; iż odróżniać należy „błędną naukową” i „uchylenie ideowe” od politycznego przestępstwa; oraz iż walczyć się będzie inaczej z „błędną hipotezą niż z wrogiem politycznym” (Żółkiewski w „Nowej Kulturze” 14/56) — oznacza eliminację najgorszych ekscesów doby stalinowskiej. Nie oznacza to jednak wcale, jak Żółkiewski sugeruje, iż eliminacja tych ekscesów jest jednoznaczna z przywróceniem elementarnych norm życia naukowego i niezależności uczoności.

Obalenie kultu jednostki nie pociąga bowiem za sobą zniesienia „monopolu jednej szkoły” i dopuszczenia rewizji założeń marksizmu-leninizmu”. Z naciskiem musimy tłumaczyć, pisała Helena Eilstein (Nowe Drogi 2/56), której sformułowanie wypowiada najprecyzyjniej myśl wspólną Żółkiewskiemu i Schaffowi, „że walka z dogmatyzmem nie może być walką o dopuszczalność w środowisku marksistowskim rewizjonizmu i tendencji eklektyczno-kompromisowych w kwestiach zasadniczych”. Rewizjonizm i kwestionowanie prawa partii do kontroli nad nauką są nadal dwoma najgroźniejszymi i niewybaczalnymi herezjami okresu „odwilży”.

W parze z odrzuceniem hasła rewizjonizmu idzie jednak gotowość do dokonania pewnych zmian rewizjonistycznych. Helena Eilstein sugerowała przed rokiem, iż leninowska definicja materii wymaga uzupełnień (Myśl Filozoficzna 2/55), a ostatecznie wytknęła, iż „stojąc na gruncie nauki” niektórych szczegółowych sformułowań Engelsa „podzielać nie można” (Nowe Drogi 2/56). Pojawiają się znaki, iż nawet sławetna engelsowsko-leninowska teoria „odbicia” znaleźć się może pod ostrzałem krytycznym. Eilstein domaga się nadto szacunku dla faktów i teorii naukowych, który uchroni marksizm-leninizm przed kompromitacją zwalczania teorii względności — z powodu jej niezgodności z dialektycznym materializmem — oraz przed przeciwstawianiem się uznaniu logiki jako nauki „niezbędnej dla ludzkości” (9).

Żółkiewski dokonuje radykalniejszej operacji i jednocześnie koryguje jedną z tez Schaffa wypowiedzianych w dyskusji. Wyznawcy marksizmu-leninizmu popełniali błąd zacierając różnicę między „podstawowymi tezami metodologicznymi a ich dyskusyjnymi konsekwencjami” i podnosząc pewne próbne zastosowania marksizmu w naukach szczegółowych — teorii Marra

(9) Podobnie Schaff niedawno odkrył, iż pogardliwy stosunek do „czystej nauki” jest wulgaryzacją związku teorii z praktyką (Przegląd Kulturalny 12/56). Tragikomiczną cechą wyznania Schaffa jest to okoliczność, iż dla odkrycia tego faktu trzeba było XX zjazdu KPZR.

lub Łysienki — do godności części składowych marksizmu-leninizmu. W tym charakterze te błędne teorie były „chronione przed wszelką krytyką” i jednocześnie zadawały „poważne szkody” lingwistyce, genetyce i naukom z nimi związanym. Zacieranie różnic między teoriami nauk szczegółowych a marksizmem-leninizmem było następstwem „niejasności” co do politycznego i klasowego charakteru poszczególnych nauk i teorii. Pod tym względem różnice zaś istnieją i to nie tylko między naukami przyrodniczymi i humanistycznymi — pierwsze są bowiem „klasowo obojętne”, wyjaśniał Schaff w „Obiektywnym Charakterze Praw Historii”, drugie „klasowo obojętne” nie są — lecz również w obrębie nauk humanistycznych. „Nauki społeczne mają zdecydowanie klasowy charakter”, stwierdzał Żółkiewski. „Ale nie wszystkie w tym samym stopniu i nie wszystkie tak bezpośrednio są związane z polityką i rozwojem walki klasowej, jak filozofia i ekonomia. Inaczej trzeba patrzeć np. na językoznawstwo i muzykologię, a pod wieloma względami i na teorię sztuki w ogóle” (Nowe Drogi 12/55) (10). Na XIX sesji Rady Kultury i Sztuki Kott rozwinął te myśli Żółkiewskiego w stosunku do malarstwa, muzyki i literatury i uzasadniał, iż wprowadzenie kryteriów politycznych w ocenie dzieła prowadzi do „mitologizacji” sztuki dławiącej jej rozwój, osobowość pisarza i artysty. Mieliśmy bardzo zwulgaryzowane poglądy na rozwój sztuki współczesnej, pisał Żółkiewski niedawno w „Nowej Kulturze” (14/56), oraz upraszczaliśmy walkę „realizmu” z „antyrealizmem” w sztuce XX wieku. Albowiem w „sztuce nieraz parę różnych koncepcji artystycznego wyrazu jednej ideowej prawdy epoki może wytrzymać próbę życia i pozostać trwale w kulturze”.

Wprowadzenie zróżnicowania poszczególnych nauk co do ich „politycznego i klasowego charakteru” stanowi ustępstwo na rzecz tezy Chałasińskiego, iż „polityka” nie przesądza w kulturze o wszystkim, a indywidualność twórcza czerpie natchnienie zarówno z dzieł „klasyków marksizmu” jak i z dziedzictwa całej, z konieczności niemarksistowskiej ludzkości. Żółkiewski nawiązuje do interpretacji materializmu historycznego, którą Engels naszkicował pod koniec swego życia i którą w nowszych czasach rozwijał Plechanow. Ważniejszą jest jednak rzecz, iż w ten sposób Żółkiewski zapoczątkowuje proces usamodzielniania się niektórych dyscyplin humanistycznych i sztuki od „mark-

(10) Żółkiewski dawał dwa konkretne przykłady z dziedziny mu najbliższej, które warto przytoczyć, gdyż są one zapowiedzią nadchodzących zmian. „Bywało”, píše on, „że twierdzenia teoretyczne będące jedynie wyrazem różnicy gustów artystycznych traktowaliśmy jako wyraz odmiennej postawy klasowej. Wystarczy przypomnieć spory na temat jakże uproszczonych ocen dzieł czołowych mistrzów impresjonizmu francuskiego”. W nauce o literaturze wspomniane „niejasności” prowadziły do jednostronnego skupienia się na badaniach genetycznych z pominięciem badań „stylu i języka dzieł, przemian gatunków itp. zagadnień”.

sistowskiej" humanistyki i estetyki oraz zapewnia im większą miarę swobody.

Pod innym jeszcze względem Żółkiewski rewiduje dotychczasowe dyrektywy marksizmu-leninizmu i czyni ustępstwa na rzecz Chałasińskiego. Chałasiński wywodził, iż marksizm zawodzi przy rozwiązywaniu problemów kultury duchowej, ocenie tradycji kulturalnej, analizie wartości estetycznych i moralnych, badaniach nad osobowością i indywidualnymi właściwościami dzieła i twórcy. Pod tym względem Walicki przyszedł mu z ważną pomocą. Te zarzuty, odpowiadał Żółkiewski, są po prostu niesprawiedliwe i utożsamiają postępowanie nieokrzesanego krytyka i pisarza z metodą marksizmu-leninizmu (chwył polegający na różnicowaniu doskonałej metody z niedoskonałością tych, którzy nią władają, pozwala bronić każdej, nawet najnieudolniejszej metody). „Eklektyczna” recepta Chałasińskiego na te niedomagania nie pomoże. Nie znaczy to jednak, iż nie powinno się uczyć od „wielu różnych teoretyków”, nie wykluczając badaczy „burżuazyjnych”, oraz czerpać od nich „obserwacje, sady, szeregowe teorie”, o ile tylko są cenne (11).

Żółkiewski zgadza się również z Chałasińskim, iż problematyka nauk humanistycznych rozwijana do wojny nie zawsze była pozorna i nie zasługuje przeto na dalsze przemilczanie. Rację ma nadto Chałasiński, iż krytyka „burżuazyjnej” socjologii doprowadziła do zarzucenia właściwej tej socjologii „systematycznej naukowej obserwacji” (Przegląd Kulturalny 41/55). Nie ma powodu, pisał Żółkiewski, by po odcięciu się od „burżuazyjnej socjologii” nie wykorzystać jej „metod techniczno-badawczych” w pracach opartych na założeniach marksizmu-leninizmu.

BILANS DYSKUSJI

Podsumowania bilansu odwilżowej dyskusji o kulturze nie należy zapisać czerwonym atramentem. Wprawdzie niektórzy — a na pewno tacy będą — mogą powiedzieć, iż niczego ona nie zmieniła. Marksizm-leninizm ma zachować monopol i doktrynalną dominację. Totalitarne planowanie kultury i partyjne kierownictwo w sprawach literatury, sztuki i nauki mają być utrzymane. Swoboda badań uczonego i poszukiwań artysty jest nadal obwarowana ramami widzenia świata z „właściwej perspektywy” (12). Lecz taki wniosek nie byłby całkowicie słuszny i wy-

(11) Z tej dyrektywy skorzystał już J. Ostaszewski wykorzystując teorie F. Znanieckiego w analizie kryzysu moralnego w Polsce (Życie i Myśl 1/56).

(12) Pierwszym wyrazem odstępstwa od zasady totalitarnego planowania sztuki i doktrynalnego ograniczania swobody artysty było przemówienie Cyrankiewicza na ogólnopolskiej naradzie architektów (Trybuna Ludu 28. 3. 56). By nie mieć złudzeń i nie żywić nadmiernych nadziei należy podkreślić, iż Cyrankiewicz obiecał zapewnić architektom swobodę twórczą „rzecz

rażałby przekonanie utopijnej umysłowości, dla której nic się nie zmienia dopóki wszystko nie zmieni się do gruntu.

Albowiem wprowadzone zostały pewne poprawki i uzupełnienia, a ekscesy „terroretyków” doby stalinowskiej zniknęły ze sceny polskiej. Planowanie kultury traci charakter wyroku, od którego nie ma odwołania, nie pozostawiającego innego wyboru prócz milczenia lub niszczącego konformizmu. Zróżnicowanie „politycznego i klasowego charakteru” różnych nauk i dyscyplin pozwala oczekiwać, iż niektóre z nich wymkną się spod nadzoru ideologicznego marksizmu-leninizmu. Stać się to ma także udziałem literatury i sztuki, lecz w tym wypadku lepiej poczekać na rezultaty — wiersze, powieści, obrazy — zanim w zapowiedziach słownych oddzielić będzie można ziarno od plewy. Największych obietnic udzielono naukom humanistycznym, które sięgnąć mogą do problematyki „przedwojennej” i nawiązać zerwane nici z nurtem wszechświatowej nauki. Socjologzy podjąć mogą badania terenowe, filozofowie bronić publicznie swych „metafizycznych” założeń (13). Styl „odwilżowy” dyskusji konsoliduje swoje zdobycze. „Nikt już i nic dokonującego się procesu nie zatrzyma”, powiedzieć miał na XIX sesji Rady Kultury i Sztuki Sokorski. Bardziej jeszcze miarodajne jest wezwanie „Nowych Dróg” (3/56) o rozwinięcie „pasji krytycznej” i „twórczego rozmachu”, które nie dokonały należytego postępu od III Plenum.

„Odwilżowy” styl dyskusji jest coraz swobodniejszy, lecz fakt ten wymaga kilku komentarzy. Chociaż swoboda myśli i słowa przestała być śmiertelnie chorym pacjentem, któremu pozwala się przechadzać po wąskim szpitalnym korytarzu, nadal obowiązuje zasada, iż wykroczyć nie wolno poza wspólny „grunt” i „wspólne cele”. Ceną wielomyślności w sprawach mniej lub bardziej ważnych jest jednomyślność w sprawach zasadniczych. Czy za tym osiągnięciem pójdzie dalsze rozszerzenie zakresu swobody zależeć będzie w dużej mierze od sa-

jasna na gruncie założeń ideowych, na gruncie słusznego widzenia świata”, a ingerencję partii ograniczył przez „większą powściągliwość... większą dyskusyjność” ostatecznych dyrektyw. Architektura staje się morską świnką, której stan zdrowia będzie mógł służyć za wskaźnik, iż partia rzeczywiście nie chce prowadzić sztuki „za rączkę”.

Powtarzającym się refrеном przemówienia Sokorskiego na XIX sesji Rady Kultury i Sztuki było zapewnienie, iż „musimy przywrócić twórcom pełne prawo do wolności twórczej”. Lecz i w tym wypadku wolność ma być ograniczona przez „socjalistyczną ideologię” (Przegląd Kulturalny 14/56). Jeżeli można wierzyć „Nowej Kulturze” (14/56), na samej sesji Sokorski mówił jedynie o sztuce jako „prawdzie danego artysty... w której dochodzi do pełnej jedności jego sumienia, jego wizja i jego ideologia”.

(13) Mam na myśli spotkanie w Nieborowie we wrześniu ubiegłego roku, na którym prof. Kotarbiński mógł bronić reizmu i pansomatyzmu (Myśl Filozoficzna 1/56). „Traktat o Dobrej Robocie” T. Kotarbińskiego, opublikowany pod koniec 1955 roku, jest pierwszym oryginalnym dziełem filozoficznym, jakie ujrzano światło dzienne od 1949 roku.

mych piszących. Powstał bowiem paradoks pisarzy odważnie walczących o wolność swej sztuki, którzy stanęli w pół drogi, lub intelektualistów odkrywających pustkę wewnętrzną, gdy sięgnąć mają do własnych zasobów. Wielu z nich, pisał Błoński w „Przeglądzie Kulturalnym” (11/56), żyło tylko „przeciwko Faulowi”. Faul zjadł ich od wnętrza — „tyle zajął w ich umysłach miejsca, że ich istotą stała się antyfaulowość”.

„Odwilżowe” dyskusje mają więc swoje zwycięstwa i swoje klęski, a ich ostateczny wynik nie jest wcale przesadzony. Lecz „odwilż” zatracą charakter procesu zamierzonego i kierowanego dla urzeczywistnienia celów wiadomych władcom komunistycznego Olimpu. Wiele czynników złożyło się na to, iż kontrola usuwa się z rąk partii. Nikt nie jest w stanie przewidzieć dalekich następstw swych własnych czynów i jak to Engels wiedział doskonale „to, czego się pragnie, zdarza się rzadko”. Przeważnie liczne cele „krzyżują się i ścierają się z sobą”, są bądź od samego początku nieziszczalne, bądź środki do ich urzeczywistnienia są niewystarczające. Cele działania są „zamierzone, natomiast ich rzeczywiste skutki są niezamierzone lub też gdy nawet zrazu odpowiadają zamierzonym celom ostatecznie mają następstwa różne od zamierzonych”. Tak więc, chociaż ludzie dążą do świadomie podjętych celów, proces historyczny jest wypadkową dążeń zmierzających w różnych kierunkach i obejmuje następstwa czynów, łącznie z ich dalszymi skutkami, które nie były wcale przez sprawców zamierzone. „Odwilż” wyzwoliła inicjatywę i wolę działania umysłów niezależnych, których dążenia wyznaczyły odmienną „wypadkową” wydarzeń aniżeli było to w intencji partii. Wśród sił kształtujących wzrost „odwilży” myślenie z „pozycji eklektycznych czy zgola liberalnych” przejawiało się z mocą nieprzewidzianą przez inicjatorów „odwilży”. Uskarżają się na to od początku Schaff, Żółkiewski i KC PZPRu. Chałasiński, pisał o nim Schaff, jest „wypadkiem konkretnym, lecz jednocześnie typowym” (Przegląd Kulturalny 44/55), a prawdę tych słów potwierdza liczba i ciężar gatunkowy tych, którzy w tej lub innej formie ulegli presji „wrogiej ideologii”. W miarę jak rozwijała się „odwilżowa” dyskusja, „eklektyzm i liberalizm” coraz silniej dochodził do głosu i nadawał ton dyskusji (14).

(14) W styczniu br. omawiając na zebraniu Związku Dziennikarzy „wzmoczone oddziaływanie ideologii obcej i wrogiej”, J. Morawski, sekretarz KC PZPRu, nie ukrywał faktu, iż „wróg liczył na ustępliwość i nie-dojrzałość ideologiczną szeregow partyjnych” i że w „wielu wypadkach wróg się nie przeliczył” (Prasa Polska 1/56). Niebawem złożył on jeszcze bardziej znamienne wyznanie. W dziedzinie „kultury i pracy ideologicznej”, pisał Morawski w „Nowych Drogach” (3/56), „często krytykę podejmowano obok nas albo wbrew nam niekiedy z obcych nam pozycji, co spychało nas od początku do defensywy”.

Warto z tą wypowiedzią zestawzić jeden z fragmentów przemówienia Kotta na XIX sesji Rady Kultury i Sztuki. Mówiąc o wysiłkach „środo-

Nieprzewidziany przez jej inicjatorów przebieg „odwilżowej” dyskusji jest również następstwem nowego łańcucha wydarzeń, jakiemu odbrazowanie Stalina dało początek. Ten łańcuch wydarzeń zaczął w pełni współwyznaczać „wypadkową” stosunkowo niedawno, lecz główne myśli przemówienia Chruszczowa na XX zjeździe KPZR przeniknąć musiała do kraju od dawna, skoro już w roku ubiegłym Schaff pisał o nich w sposób niemal jawny. W tej fazie wpływ odbrazowania Stalina mieszał szyki „terroretyków” i niszczył solidarne tamy, jakie miały utrzymać wezbrane wody odwilży w wyznaczonym mu z góry łożysku. Stworzyło to, jak wyznał Żółkiewski (Nowa Kultura 14/56), „nierówność w dyskusji” na korzyść „eklektycznych i liberalnych pozycji”. Konieczność przyznania się do popełnienia fałszerstw, do nieuczciwości umysłowej i bezszyty w stosunku do „zapory głupoty”, nie stwarzała warunków, w których wyznawcy marksizmu-leninizmu mogli bezkarnie mówić o jego „naukowej wyższości”.

Duszę wyznawców marksizmu-leninizmu dręczy lęk i niepewność. W ich własnym mniemaniu „naukowy autorytet marksizmu” został poderwany przez zaniedbanie lub wyrzucenie za burtę centralnych problemów współczesnej nauki. Gdy nauka szła naprzód, stan posiadania marksizmu-leninizmu kurczył się w skostniałym system kilku truizmów sformułowanych niemal przed stu laty i nawiązujący do stanu nauki z połowy XIX wieku. W wykładach uniwersyteckich stał się on „encyklopedycznym dyletantyzmem na niskim poziomie”. Marksizm-leninizm stał „zamęt w naukach przyrodniczych”, pochopnie „zamieniał dyskusje fachowe w ideologiczne” i rozstrzygał problemy współczesnej nauki bez znajomości jej problemów. „Smutna, nawet zawstydżająca” sprawa Łysienki, której następstwem były „ideologiczne przesunięcia” również wśród młodej kadry biologów, doprowadziła do przeciwstawiania „naszej i radzieckiej nauki” wolnej i apolitycznej nauce na Zachodzie. Sprawa Łysienki, mówiono w Polsce, jest „naturalną i nieuniknioną konsekwencją ingerencji partii w sprawy nauki” i uzasadnia raz jeszcze konieczność wolności badań i myśli naukowej. Łysienko nie jest przelotnym incydentem, lecz symbolem systemu umożliwiającego dekretowanie prawd naukowych na mocy partyjnego ukazu, narzucanie tych prawd na drodze administracyjnej i niszczenie uczonych przeciwstawiających się tym metodom w imię prawdy i rygorów naukowego myślenia (sprawa Wawilowa). Dopóki obowiązuje zasada partyjnego kierownictwa w sprawach

wiska twórczego.... oczyszczenia literatury i sztuki z kłamstwa i niemocy”, Kott stwierdzał: „I musimy powiedzieć z wielkim smutkiem, że w tym procesie odnowy... nie otrzymaliśmy ze strony kierownictwa partyjnego ani pomocy, ani zachęty. Przeciwnie, polityka kierownictwa wyraźnie oddziaływała hamująco na wielki proces odnowy literatury i sztuki, który zachodził w latach ostatnich”.

nauki, szarlatan może być uznany za geniusza, a uczony za ideologicznego przestępcę. Wytwarza to przepaść między uczonymi a marksizmem-leninizmem, którego przedstawiciele zyskali opinię ludzi pozbawionych fachowych kompetencji, szacunku dla faktów, zasad naukowego myślenia i prawdy. „Można słyszeć pobłażliwe wyjaśnienia”, pisała Helena Eilstein, „że płodna dyskusja metodologiczna byłaby możliwa nie na tym poziomie, na którym ją w rzeczywistości prowadzą filozofowie marksistowscy w swych enuncjacjach i pismach” (15).

Wreszcie wśród przyczyn nieoczekiwanego przebiegu „odwilżowej” dyskusji wymienić trzeba utratę przez marksistów-leninistów wiary w automatyzm ekonomiczny, zdanie sobie sprawy, iż przemiany ekonomiczne nie rodzą same z siebie nowego społeczeństwa, moralności, umysłowości i kultury. Piszząc o tym szczególnie błędnie marksizmu-leninizmu Żółkiewski ujawnił głęboki niepokój — jaki od dawna odczuwał ogół społeczeństwa z powodu licznych symptomów upadku obyczajów i moralnego kryzysu — nadużyć, kradzieży, rozpadu rodziny, seksualnej rozwiązłości, plagi pijaństwa i chuligaństwa. Marksizm-leninizm miał jeden przepis naprawy tego co potępiał w kapitalizmie i co nie miało prawa istnieć w państwie budującym „socjalizm” — zmianę struktury ekonomicznej. Lecz gdy ten przepis zawiódł i natura ludzka ukazała niektóre ze swych cech trwałych, gdy okazało się, że nowy człowiek i społeczeństwo, nowa umysłowość, kultura i moralność stawiają wobec zagadnień wymagających autonomicznych rozwiązań, wyznawcy marksizmu-leninizmu są bezradni i nie wiedzą co czynić, by zaradzić złu i demoralizacji. Pomoc uczonych, pisarzy, artystów, wszystkich ludzi posiadających wiedzę fachową i wyspecjalizowaną, jest do tego niezbędna. Aby ich jednak pozyskać i zdobyć ich współpracę, zmuszeni są pójść na ustępstwa, stworzyć subiektywne i obiektywne warunki, w jakich uczeni, pisarze i artyści mogą wpływać na postawy ludzi, odwoływać się do ich wyobraźni, sumienia, serca i umysłu (16).

„Odwilż” zawiera w sobie wątki wzajemnie się wzmacniające, które sprawiają, iż staje się ona coraz bardziej samorodnym, obdarzonym własną dynamiką procesem. Jest rzeczą uderzającą, iż w miarę rozwoju debaty obrońcy marksizmu-leninizmu przechodzili na pozycje swych przeciwników — a nie odwrotnie — co nie wykluczało, iż przyjmując ich tezy nie zaprzestali opatrywać ich nalepkami i etykietkami zaczerpniętymi z klasyfikacyjno-obelgowego słownictwa marksizmu-leninizmu. Ostrzeżenia przed niebezpieczeństwem „rewizjonizmu” stanowią w pewnej mierze maskującą zasłonę dla rozpoczynającego się procesu

(15) Zob. artykuły Petruszewicza i Michajłowa oraz Eilstein w „Nowych Drogach” (9/55, 2/56), Strzeleckiego w „Nowej Kulturze” (45/55), Makarewicz w „Trybunie Ludu” (5. 4. 56).

(16) Interesujące pod tym względem wyznanie złożył Schaff w „Przeglądzie Kulturalnym” (12/56).

rewizji marksizmu-leninizmu. Głosząc nadal mit jego wyższości naukowej wyznawcy marksizmu-leninizmu tracą wiarę, iż jest tak istotnie. Jeżeli rzeczywiście podjęta będzie próba przeprowadzenia dowodu, iż w nauce współczesnej wszystkie drogi prowadzą do dialektycznego materializmu, marksizm-leninizm w postaci dzisiaj znanej — spetryfikowanej metafizyki ubiegłego stulecia — wejdzie w fazę samolikwidacji.

Proces ten odpowiadałby ewolucji politycznej, jaka stała się widoczna na XX zjeździe KPZR i którą niektórzy określają jako początek końca (w sensie historycznym) ery stalinowskiej. Na scenie pozostali wymierający epigoni. Napierają na nich ludzie młodzi, technokraci i menażerowie, anty-doktrynalnie nastawieni, empirycy bez zniekształceń ideologicznych.

LOGIKA WYDARZEŃ

Ostatnią sprawą, którą należy się pokrótce zająć, jest zagadnienie genezy intelektualnej i kulturalnej „odwilży” w świecie sowieckim. Nie jest ona bowiem związana specyficznie z Polską, chociaż w Polsce posunęła się najdalej i znalazła, jak dotąd, najdojrzalsze sformułowania.

Pierwszym i decydującym faktem, od którego „odwilż” wzięła swój początek, była decyzja, podyktowana polityczną koniecznością, zwolnienia badań fizykalnych w Rosji i wszystkich krajach ujarzmionych spod kontroli ideologicznej. W dobie atomowej fizycy mają klucz do bezpieczeństwa, potęgi ekonomicznej i militarnej Związku Sowieckiego. Dogmat partyjnego kierownictwa w sprawach fizyki, z jakim łączyło się popieranie lub odrzucanie ze względów ideologicznych określonych teorii fizykalnych, ulec musiał rewizji. Interes własny totalitarnego państwa wymagał przywrócenia fizyce samodzielności i pozostawienia fizykom wolnej ręki. Rola państwa ograniczyła się do postawienia do ich rozporządzenia olbrzymich zasobów, jakie są niezbędne w badaniach fizyki jądrowej, zwłaszcza jeżeli ich celem jest doświadczenie i prześcignięcie osiągnięć zachodnich.

Przywrócenie wolności badań nie może jednak ograniczyć się do jednej nauki. Badania nad energią atomową i sposobami jej użytkowania wyszły poza laboratoria fizykalne do pracowni innych nauk. W miarę upływu czasu chemia, biologia, medycyna, agronomia i różne dyscypliny techniczne musiały zdobyć dla siebie przywileje fizyki. Niezależnie od względów utylitarnych działać zaczęły inne procesy — promieniowania i „ciśnienia osmotycznego” idei między różnymi dziedzinami wiedzy. Wyzwolenie fizyki spod ideologicznej kontroli stało się pierwszym ogniwem łańcuchowej reakcji nie przewidzianej przez jego inicjatorów.

Wyrzeczenie się, z konieczności, kontroli ideologicznej nad naukami przyrodniczymi postawiło całe zagadnienie partyjnego

kierownictwa w sprawach literatury, sztuki i nauki w zupełnie nowym świetle. W systemie, w którym istnieje supremacja autorytetu politycznego oraz w systemie, w którym zarysowały się odstępstwa od tej zasady, hierarchia autorytetu politycznego, artystycznego i naukowego układa się odmiennie. Pytanie: kto i na jakiej zasadzie jest w mocy inspirować, kierować, narzucać główne idee i wartości naukowego i kulturalnego rozwoju, nasuwać się w sposób nieodparty. A postawienie tego pytania oznacza zakwestionowanie prawa partii do spełniania tej roli. Wywołuje ono proces polaryzacji, jaki ustawia „budowniczych socjalizmu” oraz uczonych i twórców kultury, niezależnie od ich podstawy społecznej i politycznej, na przeciwnych sobie biegunach. Nawet przy wspólnocie celów istnieje może różnica zdań co do wyboru środków. Ten stan rzeczy wystąpił wyraźnie w dyskusjach o kulturze prowadzonych w Polsce. „Odwilżowe” dyskusje o kulturze są symptomem promieniowania idei, jakie wywierają nauki, wyzwajające się spod ideologicznej kontroli, na humanistykę, literaturę i sztukę. W procesie polaryzacji wartości wyrastającym z różnego hierarchicznego porządkowania autorytetu politycznego, artystycznego i naukowego, wyrasta trwały konflikt między kierownictwem ideowym partii a postulatem autonomii kultury, literatury, sztuki i nauki.

W opisywanej reakcji łańcuchowej w Polsce zarysowało się jeszcze jedno ogniwo. Schaff słusznie podkreślał, iż w toczącej się debacie o literaturze i nauce chodzi w rzeczywistości o „kwestię władzy”. Albowiem supremacja autorytetu politycznego nad autorytetem artystycznym i naukowym nie jest hierarchią samorzutnie ukształtowaną i dobrowolnie uznawaną. Supremacja autorytetu politycznego nad pozostałymi jest jednym ze znamion totalitarnego państwa („dyktatury proletariatu”). Wspomniana supremacja opiera się na argumentach siły i groźbie jej użycia, wymuszenia, jeśli zajdzie tego potrzeba, posłuszeństwa w stosunku do ideologicznych dyrektyw państwa. Postulat autonomii kultury jest więc również postulatem politycznym i wyrazem przekonania, iż autonomia kultury jest nie do urzeczywistnienia w ramach totalitarnego państwa. Nosi on w sobie żądanie jego likwidacji.

Według słów jednego z uczestników XIX sesji Rady Kultury i Sztuki, żądanie likwidacji „dyktatury proletariatu” w dziedzinie myśli przeszło przez salę „niemal w formie huraganu”. Nie miejmy złudzeń, iż pod jego naporem rozpadną się mury Jerycha. Lecz padły słowa, które są nieodwołalne i które przenikną do społeczeństwa i pozostaną w umysłach. Złom totalitarnego państwa w Polsce i na całym obszarze sowieckim nie był kult jednostki, ale jednostka, „nie jednostka ale system” który umożliwia autokratyzm jednostki i cezaryzm. Prawa sytuacji kultury nie jest funkcją „zmian organizacyjnych” i zmian dyrektyw ideologicznych, lecz przywrócenia „zasadniczych praw obywatelskich”. Prawa te nie mogą być „igraszką

w rękach anonimowych czynników decydujących”. Nie będzie poprawy bez pełnej likwidacji okresu lęku i cynizmu, przywrócenia zaufania do człowieka, pisarza i artysty, pełnej swobody twórczej, równych praw dla różnych grup i tendencji artystycznych, zniesienia kierownictwa partii w sprawach, w których nikt nie ma większych lub mniejszych kompetencji (17).

Łańcuchowa reakcja objęła obecnie niemal wszystkie dziedziny życia umysłowego w Polsce i wyzwoliła procesy myślowe i społeczne niszczące teorię i praktykę totalizmu (pisał o nich Jeleński w ostatnim numerze „Kultury”). W tych procesach odzwierciedla się logika idei, lecz kształtuje je osobowość człowieka. Osobowości ludzkiej nie brali pod uwagę inicjatorzy „odwilży”, gdy widzieli w niej sposób „uaktywnienia nadbudowy w stosunku do bazy” oraz drogę „zacieśnienia więzi z masami” poprzez wzmocnienie „ideowego oddziaływania na masę”. Oddziaływać zaś mieli uczeni, artyści, pisarze, których życie intelektualne i artystyczne należało „ożywić”. To co miało być jedynie środkiem, stało się siłą samoistną, zmierzającą do własnych celów. Z osobowością ludzką szukającą spełnienia swych aspiracji, na scenę wydarzeń wchodzi gra przypadku i rzeczy nieprzewidzianych.

Życie umysłowe w Polsce może ulec ohamowaniu, lecz nawet wówczas powrót do „średniowiecza” lat minionych jest rzeczą w zasadzie możliwą, lecz w praktyce mało prawdopodobną. Przeszłość myślowo rozpoznana zazwyczaj nie powtarza się ponieważ stoi temu na przeszkodzie znajomość wydarzeń, jakie miały w przeszłości miejsce. Nasuwa się optymistyczny wniosek, iż jesteśmy świadkami punktu zwrotnego w życiu umysłowym kraju, które we wzrastającej mierze będzie przenikać i kształtować inne dziedziny życia zbiorowego. Nie miejmy jednak co do tego złudzeń, iż śledzimy proces historyczny, a wszystkie procesy historyczne są długotrwałe, pełne ohamowań i załamów, niepowodzeń i rozczarowań, które dostarczają strawy obserwatorom o umysłowości utopijnej. Nie oznacza to także, iż proces ten — mówiąc skrótnie — przebiegać będzie drogą wiodącą od totalizmu do demokracji. Wyjście poza to negatywne stwierdzenie wymagałoby uwzględnienia spraw, jakie przekraczają ramy tego artykułu.

Zbigniew JORDAN

(17) Wypowiedzi Słonimskiego i Przybosa w „Przeglądzie Kulturalnym” (14/56).

Fragmenty z dziennika

Środa.

„Powieść” (moje utwory trudno nazwać powieściami) źle mi się pisze. Język jej, zbyt sztywny, paraliżuje mnie. Obawiam się, że wszystko co napisałem dotąd — już ze sto stron — jest okropnym świństwem. Nie jestem w stanie tego ocenić, bo w długim obcowaniu z tekstem zatracam się wyczuć, ale lękam się... coś mnie ostrzega... Czy więc trzeba będzie wywalić wszystko do kosza, całą wielomiesięczną robotę, zacząć od początku? Boże! A jeśli straciłem „talent” i już w ogóle nigdy nic... nic, przynajmniej na poziomie poprzednich moich rzeczy?

France: Talent to tylko wielka cierpliwość. Gide: talent to strach przed porażką. Jeżeli talent jest cierpliwością i strachem, nie brak mi talentu.

Wymyśliłem sobie porywający, podniecający temat, rzeczywistość naładowaną straszliwymi objawieniami i dzieło już jest w stanie wrzenia, pobudzone wieloma pomysłami, rozlicznymi wizjami, intuicjami. Ale trzeba to napisać. Zawodzi mnie język. Wszedłem w gatunek słowa za spokojny, za mało szalony.

Dziewczynki:

Marisa, lat 15, dystygowana i romantyczna, leniwa się do nauk, a za to tonąca bez przerwy w świetlistym oparze piękności, miłości, sztuki... Opowiadam jej o sobie z Lollobrigidą lub o sobie z Grace Kelly, umieszczając opowieść na jachtach, nad kaskadami lub na górskich szczytach. Nieufna.

Andrea, lat 12, kozaczek wielce uzdolniony i bystry, chociażka z którą lubię sobie pochichotać, wyspecjalizowała się w kradzeniu mi fajki. Mówię jej, że jedno z okien stajni jest „złe” i trzeba uważać — co odbiera jej sen, mnie także.

Lena lat 14. Z tą nawiązałem lekki flirtik, polegający na spojrzaniach, które wyrażają wzgardę, upojenie, zachwyt, lekceważenie, żądzę, cynizm, obojętność, sarkazm, miłość, szal,

ironię, nudę, zblazowanie... Kiedy nie widzą nas starsi, dajemy to sobie do zrozumienia także za pomocą min. Zresztą gardzi mną.

Blondynki. Jakże piękne! Delikatność i cisza ich rozkwitania... są, ale zarazem jakby ich nie było... są tymczasowe, zakochane w sobie i gardzące sobą, ważne i nieważne, wschodzące ich istnienie jest jednocześnie żartem i powagą... ja zaś, nieco starszy, muszę poddać się ich rozbawieniu za każdym moim zbliżeniem się do nich i kłamię, kłamię, bo tego żąda ich wyobraźnia, zakłamałem się do szpiku kości. Opowiadam im o moich walkach w czasie ostatniej wojny...

Czwartek.

To na jednym planie. Na drugim — rozmyślanie, które mógłbym nazwać od biedy usiłowaniem wydobyć z siebie jakiejś moralności, moralności mojego czasu. Katolicyzm, egzystencjalizm, marksizm... Myślę nad tym, spacerując po alei eukaliptusowej, myślę, co mnie dziwi — ponieważ na ogół unikam myślenia... mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że myślę tylko wtedy gdy jestem zmuszony. Wolę gapić się, niż myśleć.

Ale teraz myślę o wiele spokojniej niż tam, w Mar del Plata, kiedy rzeczywiście bałem się konania.

Czy jestem człowiekiem pozbawionym zmysłu moralnego?

Nie — z całą pewnością. Jestem naturą raczej szlachetną, choć niewypowiedzianą słabą (jednakże, i w tym mistrzem moim jest chyba Szopen, tak się urządzam, żeby słabość przemieniła mi się w siłę). W każdym razie nie kłamię ten bunt zaciekły, głuchy, kurczowy nieomal, który rodzi się we mnie wobec podłości. Zachowałem w sobie do dziś prosty odruch moralny chłopca, jak tyle innych rzeczy z mojej młodości.

Skąd więc we mnie ta niechęć w stosunku do wszelkiej moralności określonej, zamkniętej w system? Z miłości do tamtej prostoty. Chcę mieć moralność luźną, moralność mojej natury, chcę zachować tę świeżość... i człowiek skonstruowany jest dla mnie w tym właśnie, w moralności, odrażająco nie na miejscu, jest śmiercią życia moralnego. Lecz cóż? Świat wokół mnie staje się coraz bardziej skonstruowany, coraz mniej podobny do szumiącego drzewa, coraz bardziej podobny do łożenki. Odstęczająca czystość, gładkość błyszcząca emalii i metalu, chłód i logika, rury i krany nad lśniąca wanną — trafnie to ktoś zauważył, bodaj w „Kulturze” — i kąpiel w tej wannie nie jest kąpielą w jeziorze. W tej ubikacji ja, zamknięty na klucz, wymiotuję. Kiedy na horyzoncie moim ukazuje się moralista współczesny typu Sartre’a, mam wrażenie że to nurek wynurzający się z głębin — ale zapomniat zdjęć skafandra. Okropna maska, obliczona na nieludzkie ciśnienia, przykleiła mu się do twarzy.

Sobota.

Etyka marksizmu.

Zgadzam się, że komunizm urodził się stokroć bardziej z obrażonego poczucia moralnego, niż z pragnienia poprawy bytu materialnego. Sprawiedliwość! — oto jego krzyk. Nie mogą znieść, że jeden ma pałac a drugi — barłóg. Nie mogą znieść przede wszystkim, że jeden ma możliwość rozwoju a drugi nie ma — że jeden ją ma kosztem drugiego. To nie zawiść, to żądza słusznego prawa. Bynajmniej nie są tak pewni, że dyktatura proletariatu zaopatrzy każdego w domek z ogródkiem. Ale w tym rzecz, że wolą nawet ogólny, sprawiedliwy barłóg i powszechną nędzę, niż panoszący się na krzywdzie dobrobyt. Prawdziwy komunizm to męczarnia poczucia moralnego, które uświadomiło sobie krzywdę społeczną i już nie może zapomnieć — ta krzywda pożera mu wątrobę jak Prometeuszowi.

Dlaczego więc ja, mając po prawej ręce kapitalizm, którego cynizm ściszony znam, a po ręce lewej rewolucję, protest i bunt, zrodzone z najbardziej ludzkiego uczucia — dlaczego nie łączę się z nimi? Przecież zależy mi na mojej sztuce, a ona potrzebuje szlachetnej, gorącej krwi — sztuka i bunt to nieomal to samo. Jestem rewolucjonistą dlatego, że jestem artystą i o tyle, o ile nim jestem — cały ten proces tysiącletni, z którego i ja się wywodzę, usiany nazwiskami jak Rabelais lub Montaigne, Lautréamont czy Cervantes, był nieprzerwanym podżeganiem do buntu, raz w skali zniżonego szeptu to znów wybuchającym pełnym głosem. Jak się stało że mnie — który przecież wszedłem do literatury także pod znakiem buntu i prowokacji, w pełni rozumiejąc że pisanie musi być namiętne — że mnie właśnie wypadło miejsce po przeciwnej stronie barykady?

Jakież względy mogły mnie skłonić do takiej zdrady mego powołania! Rozpatrzmy je. Czyżbym uważał program tej rewolucji za utopię i nie wierzył, aby mogła odmienić się niezmienność, wieczność niesprawiedliwości? Lecz jeśli od wieków sztuka prze ku tej reformie nieomal na oślep, dlaczego ja miałbym się opierać — dzisiaj, kiedy przeniknięty jestem nieskończeniem silniej od nich świadomością, że ludzkość się rusza, że rusza się coraz pręcej, że bieg historii jest przyspieszony i już nie idziemy, ale pędzimy w przyszłość. Nigdy słowo „niezmienność” nie było mniej na czasie. Ale, w takim razie, może przeciwstawiam się rzece wzburzonego proletariatu wsparty na racjach absolutnych, jak Bóg lub dedukcje abstrakcyjnego rozumu? Nie, ta skala usunęła mi się spod nóg, absoluty zmieszały się z materią i, w dialektycznym ruchu, myśl stała się nieczysta, uzależniona od bytu. Więc może opieram się w imię zwykłej litości, widząc ogrom zadanego przez nich cierpienia i góry trupów? Nie. Skąd! Jeśli jestem dzieckiem, to w każdym razie dzieckiem które przeszło przez szkołę Schopenhauera i Nietzschego. Mówiąc chłodno: cóż to jest ból dziesięciu milionów

niewolników czy też stumilionowa trupiarnia? Gdybyście powołali do życia wszystkie ofiary udęzione dotychczasową historią, byłby to niekończący się pochód. I czyż nie wiadomo mi, aż za bardzo, że życie z istoty swojej jest tragiczne?

W chwili, kiedy to piszę, mała jakaś rybka w pobliżu wysp Galapagos przekracza próg piekła ponieważ inna ryba pożarła jej ogon.

Więc, jeśli cierpienie jest nieuniknione, to niechże przynajmniej człowiek nada ludzki sens swemu cierpieniu. Jak opierać się rewolucji, gdy ona nadaje nam sens, nasz własny sens?

Poniedziałek.

Kiedys, dwadzieścia lat temu, byłem „obywatelem ziemskim”, należącym do wyższej klasy społecznej. Dziś? Dziś, materialnie zrujnowany, utrzymuję się z pióra — wywołony z tych wszystkich zależności intelektualista, artysta, który raczej po tamtej stronie mógłby znaleźć zrozumienie dla swej pracy i jej ekonomicznych konieczności. Gdybym przerzucił się na tamtą stronę, ileż oparcia znalazłbym, jakże chętną pomoc we wszystkim — i dla mojej sławy byłoby to niezmiernie zdrowe. Istnieje może jakaś miłość do przeszłości, która mnie przykuwa? Nie, przecież wyspecjalizowałem się w wolności, a szkoła wygnania wzmocniła to co już z urodzenia było we mnie, gorzką radość rozstawania się z tym co rozstaje się ze mną, nie, jeśli ktoś jest „pozbawiony przesądów” to właśnie ja.

Zapewne, jestem urobiony przez świat dawniejszy. Któż z was, jednak, komuniści, nie jest dzieckiem przeszłości? Jeśli rewolucja polega na przewyciężaniu odziedziczonej świadomości, dlaczegoż nie miałbym tego dokonać, jak wy? Znajac dialektykę, która odbiera duchowi samoistność?

Wtorek.

Chciałbym uzupełnić powyższe — muszę dodać, że doprawdy moje widzenie rzeczywistości nie jest wcale odległe od ich, komunistów, widzenia. Świat mój jest pozbawiony Boga. W świecie tym ludzie wzajemnie się stwarzają. Uzależnienie człowieka od człowieka, ujrzenie człowieka w ciągłym twórczym związku z innymi, przenikającym na wskroś, dyktującym najbardziej „osobiste” uczucie. Tak jest w „Ferdydurke” i w „Ślubie”.

To jeszcze nie wszystko. Zawsze starałem się artystycznie uwydatnić tę „sferę międzyludzkiego” która, w „Ślubie” na przykład, urasta do wyżyn siły twórczej przewyższającej świadomość indywidualną — czegoś nadrzędnego, jedyne go dostępnego nam bóstwa. Tak dzieje się, ponieważ między ludźmi wytwarza się element Formy, który określa każdego człowieka z osobna. Jestem jak głos w orkiestrze, który musi dostroić się

do jej brzmienia, znaleźć miejsce swoje w jej melodii; lub jak tancerz dla którego nie tyle jest ważne co tańczy, ile to by złączył się z innymi w tańcu. Stąd ani myśl moja, ani uczucie, nie są naprawdę wolne i własne; myślę i odczuwam „dla” ludzi aby zrymować się z nimi; doznaję spaczenia w następstwie tej najwyższej konieczności: zestrojenia się z innymi w Formie.

Zastosowałem, na przykład, tę myśl do sztuki, usiłując wykazać (w szkicu „Przeciw poetom” a także w tym, co kiedyś pisałem w dzienniku o malarstwie) że jest naiwnością mniemanie, jakoby zachwyt nasz wobec dzieła sztuki z nas samych pochodził; że zachwyt ten w sporej mierze nie rodzi się z ludzi, ale między ludźmi, i jest to tak jakbyśmy wzajemnie zmuszali się do zachwyty (choć nikt „osobiście” nie jest zachwycony).

Lecz z tego wynika, że dla mnie nie istnieje myśl i uczucie prawdziwie autentyczne, całkowicie „własne”. Sztuczność nawet w najintymniejszych odruchach — oto żywioł istoty ludzkiej, poddanej „międzyludzkiemu”. A w takim razie, dlaczego razi mnie fałsz i sztuczność człowieka, poddanego komunizmowi? Cóż mi przeszkadza uznać, że to właśnie tak, jak być powinno?

Jeszcze jedno. Uważany jestem na ogół za literata arystokratycznego — nie nie mam przeciwko temu. Któż jednak bardziej brutalnie odczuł zależność sfery wyższej od niższej? I, pytam, kto posunął się tak daleko w odczuciu, że twórczość, piękność, żywotność, cała pasja i poezja świata są w tym, że wyższy, starszy i dojrzalszy poddany jest niższemu i młodszemu? To wszystko bardzo jest moje — o ile może być moje — to jest przeżycie, które gorąco powinno było zespolic mnie z rewolucją. Dlaczego nie zespolic?

Czwartek.

Kłamstwo.

Dandy — ta szkapa przypadła mi do gustu! Troszkę może krótki w karku, trochę nerwowy, ale coś za skład w skoku, jaki start do drążka i jaki spad, miękkość i dyskrekcja w wirażu a także w wołyżerce (tej nie uprawiam, ale skacze na niego Lena). Wczesnym rankiem wyruszamy z Leną, ona na spokojniejszej Tilly, ja na Dandym i we dwoje zachłystujemy się galopami na tych pastwiskach i ścierniskach, gdzie płoty i ogrodzenia druciane pożera skok naszych koni, gdzie spod kopyt wystrzela zając spłoszony! Za nami czasem Marisa i Andrea, na Afrykance i Lordzie Perezie, nie mogące nadążyć... zrozpaczone... dające nam znaki! Wczoraj zażarty spór z Dusiem i Stasiem Wickenhagenem ex re Traviaty, kłaczy pełnej krwi, niedawno nabytej, o zmanierowanym, niestety, refleksie, ale niepozbawionej stylu. Usiłuję rozwiązać ją „trockettem”, naprzód na linie, potem naskakując, wreszcie w spokojnym klusie, ale ci znawcy, a także mniej z tym obeznany Jacek Dębicki, nie wróżą mi powodzenia.

Kłamstwo, kłamstwo... Na piechotę jestem inny, na koniu inny. Konie kłamią moralności, moralność koniom, ja — koniom, moralności i dziewczynom. Nagle rozluźnienie. Lekko-myślność. Kim jestem? Czy w ogóle „jestem”? Od czasu do czasu „bywam” tym lub owym...

Sobota.

Chodzę po tej alei, pod eukaliptusami. Gdzie północ? Gdzie wschód? Tam, na północnym wschodzie, ileż to stąd kilometrów?... Kilkanaście tysięcy.

Co ja tu robię, sam na tej pampie, z lekkomyślnością, która już jest na odlocie?... i znów ten przedsmak wykańczania się samotnego w miażdżącym podziemiu. Bóg, jak się rzekło, nie będzie dla mnie przytulkiem na starość — ani tym bardziej transcendencje egzystencjalizmu, któremu pozostaje tylko upajanie się własnym tragizmem. Ale gdyby odżyło we mnie słówko zlekceważone „naród” i — po prostu — zbliżyć się fizycznie, wsiaść na statek, pozwolić aby mnie objęła i porwała ta ich rewolucja... co stałoby się ze mną? Czy sens, doczesny wprowadzie, doraźny, ale olbrzymi tą masą wprzęgniętego weń istnienia ludzkiego, nie uczyniłby mnie odporniejszym na moje konanie? Zezwolić aby mnie przeniknęła ta energia historii. Złączyć się. Dlaczego się wahasz? Czego się boję? Wzdrygasz się przed tą wulgaryzacją, tym poniżeniem? Ale przecież sam to wiesz, sam to powiedziałeś, że wyższa świadomość musi uznać swoje uzależnienie od niższej. I cel, cel moralny, życia...

Mówię to głośno do siebie, aby oswoić się z obecnością tej myśli — a jednocześnie wiem, że to zupełnie nie do zrobienia. Słowa ulatują w ciszy, która jedna tylko pozostaje, zawsze obecna, niezmienna.

Nie da się zrobić. Spróbujmy wytłumaczyć to niepodobiestwo natury nawet nie intelektualnej, raczej spontanicznej. Nie da się zrobić, ponieważ chcę być sobą, tak, choć wiem że nie ma nic bardziej zwodniczego niż to „ja” nieosiągalne, wiem też, że cały honor i wartość życia polega na nieustannej z nim pogoni, nieustannej jego obronie. Katolik nazwałby to walką o własną duszę, a egzystencjalista wołał autentyczności. I, niewątpliwie, punkt centralny wszystkich tych moralności, z marksistowską włącznie, jest tutaj: to troska o zachowanie swojego „ja”, swojej duszy. Jak rzecz się ma w praktyce? Oto wsiałam na okręt i płynę. Ale już w drodze musiałbym dokonać na sobie samym amputacji, wyrzucając za burtę połowę tego, co uważałem za wartość, zmieniając sobie smak, wyrabiając sobie (potworny zabieg) nową czułość i nową nieczułość, urabiając siebie na modłę mego nowego wyznania. W jakim stanie dopłynąłbym? Czy nie jak lalka z gutaperki, ugnieciona własnymi palcami?

Jednakże marksizm wytacza tutaj argumentację nader prze-

nikliwą i świetną, która godzi w samo sedno, w to właśnie „ja”. Twoje ja — mówią — zostało już poprzednio urobione warunkami twojego życia, procesem twojej historii — jesteś taki jakim cię stworzyła i określiła twoja klasa społeczna, wyzyskująca, o świadomości spętanej faktem tego wyzysku, sfalszowana w całym swoim stosunku do świata przez to że nie chce i nie może przyznać się, iż cała obliczona jest na wysysanie cudzej krwi. Utwierdzając się w tym ja, utwierdzasz się jedynie we własnym spaczeniu. Czego chcesz bronić? Przy czym się upierać? Przy tym ja, które ci zrobiono i które zabija ci swobodę twojej prawdziwej świadomości?

Znakomity argument i zgodny z moim poglądem na człowieka — bo wiem na pewno i tysiąc razy próbowałem tę pewność wyrazić artystycznie, że świadomość, dusza, ja, są wypadkową naszej sytuacji — w świecie i w ludziach. I to jest chyba najbardziej centralna myśl komunizmu, która rozpada mi się na dwa punkty, oba niezmiennie trafiające do przekonania. *Primo*, że człowiek jest istotą osadzoną w ludziach, to znaczy, że o całym stosunku jego do świata decyduje stosunek jego do ludzi. *Secundo*, że nie możemy ufać sobie, że jedyne co zdoła zapewnić nam osobowość, to najostrzejsza świadomość tych właśnie zależności, które ją kształtują.

Teraz wszakże — uwaga! Złapmy ich za rękę! Sprawdźmy karty, jak tu się gra... i wtedy ujawni się niesłychany szwindel za sprawą którego cała ta dialektyka staje się pułapką. Albowiem to myślenie dialektyczne i wyzwajające zatrzymuje się akurat u wrót komunizmu: mnie wolno podawać w wątpliwość własne prawdy, póki jestem po stronie kapitalizmu; lecz ta sama autokontrola ma zamilknąć, gdy dostałem się w szeregi rewolucji. Tu dialektyka ustępuje miejsca dogmatowi, naraz, wskutek jakiejś zdumiewającej wolty, ten świat mój względny, ruchomy, niejasny, staje się światem ściśle określonym, o którym właściwie wszystko wiadomo, sprecyzowanym. Przed chwilą byłem problematyczny — ale oni uczynili mnie takim po to tylko abym łatwiej wylazł z mojej skóry — teraz, gdy jestem z nimi, muszę stać się kategorią. Czyż nie rzuca się w oczy ta nieprawdopodobna dwulicowość każdego bez wyjątku komunisty, nawet tych najbardziej wyrafinowanych intelektualnie: póki idzie o destrukcję dawnej prawdy, ten człowiek zachwyca nas swobodą ducha demaskującego, pożądaniem szczerości wewnętrznej; ale gdy, uwiedzeni tym śpiewem, pozwolimy by nas doprowadził do własnej doktryny, paf, zatrząskują się drzwi — i gdzie jesteście? Klasztor? Wojsko? Kościół? Organizacja? Daremnie próbowałbyś teraz szukać nowych uzależnień, paczących twoją nową świadomość. Świadomość twoja została wyzwolona i od tej chwili przystoi ci ufność. Twoje „ja” stało się „ja” gwarantowanym, godnym zaufania.

Nie chcę ułatwiać sobie krytyki. Nie mierzę w terror, właściwy ich organizacji politycznej, zabijający tę samą wolność

myślenia, którą rozbudza we wrogim obozie. Nie idzie mi o ich teorię, o takie nawet bardzo charakterystyczne jej paradoksy, jak ten na przykład, że proces dialektyczny historii zatrzymuje się w chwili gdy rewolucja osiąga pełne urzeczywistnienie w idealnym ustroju przyszłości. Nie celuję ani w ich system myślowy, ani w ich system polityczny, a tylko w sumienie tych komunistów, którzy nim potrząsają jak sztandarem. Chcę przyszpilić tę subtelną a świńską zmianę tonu, gdy przewyksławuje się na ich własny teren, to nagłe ujawnienie chytrłości, to doznanie fatalne, gdy z nim rozmawiasz, że zniechęca światło zmienia ci się w ciemność — że nie masz do czynienia z kimś światłym, a tylko z kimś zaślepionym, jak noc najczarniejsza. Wolnomyśliciel? Tak, na twoim podwórku. Na swoim, fanatyk. Niewierzący? W tobie; w sobie pielęgnujący wiarę z zapalem mnicha. Mistrz, który ucharakteryzował się na sceptyka, wierzący zażywający niewiary, jak instrumentu, tam gdzie to może być przydatne jego wierze. Sądziłeś, że przed tobą ludzka dusza, spragniona prawdy, ale oto błysnęły chytre ślepie polityki. Mnie-małeś, że idzie o świadomość, czyli o duszę, czyli o etykę, ale okazuje się, że najważniejszy jest triumf rewolucji. I widzimy, że jesteśmy jeszcze raz wobec jednej z wielkich mistyfikacji, w stylu tych które demaskowali Nietzsche, Marks, Freud, ukazując poza fasadą naszej moralności — chrześcijańskiej, burżuazyjnej, wysublimowanej — grę innych, anonimowych, brutalnych sił. Lecz tu mistyfikacja jest bardziej perwersyjna, gdyż polega właśnie na demaskowaniu. Jest to jedno z najcięższych rozczarowań, jakich można doznać w strefie dzisiejszej naszej etyki, gdyż tu objawia się, że nawet demaskowanie sił staje się maską, poza którą ukrywa się ta sama odwieczna wola siły.

Stąd zaduch tej nieszczeroci wśród nich. Nie tylko wśród podrzędnych funkcjonariuszy. Najlepsze ich umysły są chore na tę wstrętą, połowiczną szczerość: szczere w stosunku do cudzego świata, ale skrupowane, gotowe wykastrować się z wszelkiej rzetelności, gdy chodzi o gmach własnej chimery. Ofelio, idź do klasztoru!

Ale i to zrozumiałbym. Wszak to doktryna czynu, doktryna stwarzania, to nie myśl o rzeczywistości, ale myśl przetwarzająca rzeczywistość określającą świadomość poprzez byt. Muszą zdobyć się na energię, dlatego ograniczają świadomość. Lecz w takim razie moralność moja i twoja i powszechna, wszelka w ogóle elementarna moralność człowieka wymaga, abyście do tego się przyznali. Musicie powiedzieć: my zaślepiamy się umyślnie. Póki tego nie powiecie — jak rozmawiać z kimś nierzetelnym w stosunku do siebie samego? Złączyć się z kimś takim, to stracić ostatni grunt pod nogami — własne ja i cudze — runąć w przepaść.

Niedziela.

Odwilż... Przypuśćmy, że ona doprowadzi — w Rosji i w Polsce — do pewnego surogatu wolności prawdy. Do wolności na 45%, do prawdy na 47%. Cóż z tego?

Gdybym był więźniem tamtejszego więzienia, uczepliłbym się tego obiema rękami. Jeśli dotąd nie było wolno wychodzić z celi, nie jestże frajdą spacer po ogródku pod bacznym spojrzeniem strażników? Któż wątpi, że w praktyce mniejsze zakłamanie jest lepsze od większego zakłamania? Ale poza doraźną odrobiną wolności, istnieje przecież sprawa formy polskiej, stylu polskiego, polskiego rozwoju i polskiego stwarzania się... Ponieważ nie znoszę ersatzów i zawsze, w restauracji i życiu, będę protestował gdy kota podadzą mi jako zajaca, więc i w tym wypadku nie mogę zgodzić się na ten abschmack, surogat, szminkę i tandetę. Wolność za pozwoleniem, koncesja na względną swobodę — co to jest? Ni pies, ni wydra. Dla autentyczności życia polskiego to gorsze niż stuprocentowy knebel, taki który nie kłamie. To jest istnienie meteka, nieczyste, słabe, półżywe, niedoprowadzone do prawdziwego swojego wyrazu...

Za najokropniejszą rzecz w historii naszej kultury uważam to, że myśmy zawsze, dobrowolnie lub pod przymusem, ograniczali sobie ducha. Cała nasza literatura, cała sztuka jest tego objawem. Gdy w ostatnich latach polską świadomość wsadzono do ciupy, nie było to może takie złe dla naszej duszy. Zahamowano nam naszą dotychczasową, niewystarczającą, produkcję słowa, zastępując ją jawnym kłamstwem — natomiast więzieni mogli rozmawiać ze sobą i, chyba, były to szczerze rozmowy. Życie rozpadło się im na fałsz zewnętrzny i prawdę wewnętrzną — stan rzeczy ciężki, ale nie trujący. Któż wie, czy głupota nie zaostrzała, gdzieś w głębi, rozumu?

Wypuszczenie im ducha na względną wolność z tym, że ma on meldować się dwa razy na tydzień w najbliższym urzędzie kontroli, stanowiłoby tylko zatarcie się tej ostrej a zbawczej granicy, która dotąd dzieliła prawdę uwięzioną od swobodnego kłamstwa. Weszliby w dziedzinę półprawdy, półżycia, niepełnej twórczości, upajania się pozorami — cóżby z tego wynikło? Nie przeczę, że ta sposobność do wywalenia w przyszłości drzwi na wolność, powinna być politycznie wyzyskana. Ale ja nie jestem od polityki... i wiem tylko, że styl, forma, wyraz, wszystko jedno, czy w sztuce, czy w życiu, tego nie osiąga się na drodze koncesji i tego nie można fabrykować w pewnej odmierzonej dawce. Aut Caesar...

Mówią mi czasem z tamtej strony, że teraz moim obowiązkiem wobec ojczyzny byłoby — wrócić. Ciekawym po co? Żeby stać się kimś godnym politywania (bo, jeśli inżynier lub robotnik mogą w tym ustroju rościć prawo do szacunku, to literat, ten tam ich „Pisarz”, wodzony za nos i wodzący za nos, jest figurą odrażająco groteskową, komicznym zespoleniem w jednej

osobie belfra i ucznia — oto dwa aspekty dydaktyzmu). Ale gdy mówicie mi, że się marnuję na obczyźnie dla ojczyzny, powiem, jak ważną rolę narodową sobie wyznaczyłem.

Używając ich słownika — jakiego rodzaju „zapotrzebowanie społeczne” mogłoby sprawić, że moja egzystencja amerykańska nie będzie pozbawiona znaczenia dla pewnych przynajmniej ludzi w Polsce. Dla jakich? Nie dla tych, którym wystarczą dziecinne spodenki. Ale jest pewne, że poza ową rzeczywistością sztuczną, dziecinną, podrzędną, nieśmiałą, czai się w Kraju inna wiedza, przenikliwa, ostra, trzeźwa, która nie chce siebie oszukiwać, ton inny, bardziej rozumny, okrutniej dojrzały. Moim zadaniem byłoby dotrzeć do tego właśnie dźwięku polskiego, dostać się do Polaka tragicznego i świadomego. Nie po to żeby faszerować go innymi złudzeniami, ułatwiać mu cokolwiek. Ale chcę wyrazić bezwzględność tego żądania polskiego, które domaga się pełnej świadomości i pełnej egzystencji. Czy to paradoks, że ja, który jestem tak na bakiar z ową świadomością w jej filozoficznym aspekcie, muszę jednak — to silniejsze ode mnie — upierać się przy tym, żądać tego, jako warunku sine qua non naszego człowieczeństwa?

I jeszcze jedno. Byłoby ważne, aby tragizm nie stał się katastrofą. Dostali się w żelazne tryby życia zbiorowego bez należytego historycznego przygotowania, które by uczyniło ich życie indywidualne niezwalczonym — więc wielu z nich po prostu dzisiaj nie wie, jak być sobą — rzetelnie, przyzwoicie, żywotnie — jak wytrwać w sobie, nie zgłaszając się pod sztandar i nie chroniąc się w system, dogmat, wiarę. Są bezradni i upokorzeni. Otóż twierdzę, że trzeba wypracować styl życia indywidualnego, i to tak krańcowy, żeby wytrzymał napór.

Cóż może być ważniejszego dla kultury polskiej — obojętne w jakim rozwinie się kierunku — od stworzenia tego stylu, obliczonego na naszą dojrzałość? To modus vivendi musi być ustalone, gdyż tylko na takiej woli świadomości może być budowana polska autentyczność w przyszłości. Jeśli człowiek w Polsce uwierzy, że jest podły dlatego tylko iż jest człowiekiem świadomym... jeśli da sobie wmówić impotencję... no, to jeszcze długie czeka nas dzieciństwo...

Tego jednak ja nie mogę uczyć — nie jestem nauczycielem — mogę jedynie zarażać moim sposobem bycia — który zawiera się w moich książkach, w tym dzienniku.

Wtorek.

Polska, odwilż, powrót, komunizm, dlaczego w to zabrnąłem, dlaczego wdaję się w te szczegóły mojego losu?

A moralność? Określam siebie wobec etyki katolicyzmu czy egzystencjalizmu, czy marksizmu — ale moralność to tylko fragment, jedno z oblicz... które napierają na mnie zewsząd, zewsząd! Rzeczywistość jest niewyczerpalna. Co zrobić z sobą?

Co zrobić z sobą? Co zrobić z sobą? Ten rachunek sumienia niczego we mnie nie załatwił, i znów tylko jestem — jestem na tej pampie argentyńskiej, w tej estancji.

Jutro — wyjazd do Buenos Aires. Muszę spakować manatki. Po czym długa podróż statkiem po rzece Parana, na północ.

Witold GOMBROWICZ



NAJWIĘKSZY POLSKI
DOM WYSYŁKOWY.

TAZAB

O F L O N D O N

10 EAST 39 STREET • NEW YORK 16, N.Y.

MURRAY
HILL
4-3281

Po trzęsieniu spodniami

„Jesteśmy świetnymi aktorami
kiepskiego melodramatu”.

(„Melodramat” Janusza Warmińskiego)

Świetnymi aktorami na pewno. Zawsze było to godne podziwu. Poza tym mistrzowskimi „wdechowcami” intelektualnymi. Ale nie kiepskiego melodramatu, lecz szmiry; ponurej szmiry, która dziś, w świetle coraz to nowych obnażeń dusz intelektualnych wdechowców i coraz to nowych rewelacji zaczyna nabierać równie niesamowitych kolorów jak cały hitlerowski „Moerderdaemmerung”.

Nazwano to odwilżą; nazwano także trzęsieniem ziemi uszlachetniając tą nazwą bardzo prozaiczną funkcję trzęsienia spodniami ze strachu. „...A nade wszystko baliśmy się...” — mówił Wirpsza. Czy zmiana? Na pewno. Czy istotna? Jeżeli chodzi o częstotliwość drgań spodni na minutę, to bardzo istotna. Przez dziesięć lat terkotały spodenki na tej naszej elicie, na tych przywódcach duchowych narodu, jak elektryczny dzwonek lub sygnaturka, teraz chwieją się wolno, statecznie i głosem wielkiego dzwonu starają się pokryć niedawne brzęczenie. Onomatopiecznie i w zaprzyjaźnionym języku można by to wyrazić jako dziesięcioletnie i coraz szybsze „czaj pili... blincy jedli...”, a teraz jest miarowe i tubalne „Iwan... Iwan...” I nadal w tonacji zaprzyjaźnionej ideologii. To się nie zmieniło. Środowisko przetrzymało się szybko na Lenina, robi powtórkę lub odrabia zaległości (Brandys już odrobił) i z dawną sprawnością zakłada drętą mowę w oparciu o odkurzone skrypty. „Najlepszymi mecenasami byli ci, którzy nie naginali artystów do pracy według ich, mecenasów, gustu. Lenin nigdy tego nie robił, miał tę skromność wielkiego człowieka, że mówił, iż się na poezji nie zna. A znał się, i jeszcze jak...” — pisze Przyboś (Przegląd Kulturalny, Nr 182). Popłakać się można. Lenin, widzicie, szelmuł, nic nie mówił, ale znał się. Wazelina była i wazelina będzie. Kto smaruje, ten jedzie i może nawet będzie można teraz coś o kwiatku i o motylku nie na traktorze.

Naśmiewam się? Oczywiście. Nie tylko naśmiewam się, ale walczę wprost z chęcią sztychowania do ostatniej nitki, poskrabiam w sobie żywiołowe „he, he” na widok tych nagich dusz. Wido-wisko jest niesamowite, wręcz surrealistyczne. Z kogo mam ochotę sztychować? Z narodu? Oczywiście. Według ich pojęć parsknięcie śmiechem w twarz tej komedii i elitce, tym pieszczochom intelektualnym, jest kpina z narodu, ba — z Polski całej. Nic taniej. Bo przecież ONI to właśnie naród; ONI, kapłani sztuuuuki, Almanzorowie broniowych Grenad, którzy przeciwieństwo walek włożyli w tę naszą Polskę lodową, teraz odmrażaną. Walki, za którą „dziennikarze, literaci, artyści w Polsce Ludowej są — przyznają to — grupą pod wieloma względami uprzywilejowaną. Zarabiają lepiej niż inne grupy pracowników, korzystają z pewnych udogodnień niedostępnych szerokim rzeszom” (Nowa Kultura Nr 308). Dlaczego? Jakim prawem? Czy pisarz to coś lepszego od spawacza lub kucharza? Wychowali te szerokie rzesze wieszczowie trzęsących się spodni.

„Słyszysz jak kottun trąbi z triumfem że on ‘nie dał się wciągnąć?’ Byle sumienie wystarczy dziś byle — kanalii... Jak to się stało, że nie kłamaliśmy i zarazem nie mówiliśmy prawdy? Ile w tym naszej winy i naszej krzywdy?” — pisał Brandys w „Obronie Grenady”. Kottun i kanalia w kraju i na emigracji trąbi z triumfem i twierdzi że ma prawo trąbić dopóki ta marksistowska orchidea nie wytłumaczy mu na czym polega nie kłamanie i zarazem nie mówienie prawdy. Ile winy? Bezmiar. Natomiast krzywdy żadnej, towarzyszu Kaziutku. Waszej żadnej. W narodzie bezmiar.

Czy mamy prawo to mówić, czy mamy prawo drwić z „bohaterstwa oportunistycznego”, (jakich określić nie wynajdą jeszcze na niebohaterstwo kurwienie się) czy mamy prawo dostrzec to bez kolorowych świateł sentymentów, tęsknot, bez precedensu przez nasz głupawy kompleks winy iż nie będąc z nimi, nie przeszedłszy tego co oni przeszli, nie mamy prawa sądzić? „To są rzeczy złożone”, „Nam trudno to zrozumieć”, „Nie wolno sądzić” — i chodzi się na palcach wokół wszystkiego, uśmiecha się porozumiewawczo i pobłażliwie czytając wyczyny starszych i młodszych Kazików, Antonich, Jarosławów, Julianów i wszystkich świętych z marksistowskiego almanachu. „Nie wolno sądzić”. A im wolno? Wolno, bo tylko oni mają monopol na polskość, tę prawdziwą, na uczucia narodowe i na hooojczyzną naszą świętą. Ich polskość jest maszynowa, jak kancelaryjna maszyna do pisania, nasz — mój Boże — „portable”, „vest pocket”. I milczymy.

„Boją się nowych, związanych z ustrojem konkretów, które ujrzeli w Polsce, boją się materialnego zetknięcia z jakąś nieznaną instytucją, jak Rada Zakładowa, czy Spółdzielnia Produkcyjna czy może nawet Bar Mleczny — bo tego nie są w stanie wyobrazić... Bobkowski przestał tęsknić”. (Nowa Kultura, Nr 285). Takich konkretów, związanych z ustrojem jak ten ostatni,

rzeczywiście się boję. Nie lubię odgwizdywać. I przestałem tęsknić — od dawna. Musiałbym na głowę upaść żeby tęsknić za Radą Zakładową lub Barem Mlecznym skoro nawet za skowronkami, chabrami, łanami nie tęsknię. Czy obowiązkiem dobrego Polaka jest tęsknić, koniecznie tęsknić? Czy przebywanie na emigracji jest przestępstwem wobec ojczyzny? Wmówili nam nawet to i każą się podziwiać, i są nietykalni. A cóż to za elita intelektualna, dla której byle głupstwo staje się probierzem patriotyzmu, a byle pismak „cierpiący” lub sympatia do Rosji stają się symbolami polskości! Nie możemy żyć bez „jakiegoś” patriotyzmu, przez wieki ciągnie się drętwa mowa, „das ewig polnische”.

I teraz szał — cieszymy się, bo zaczęli się odkłamywać, „bo, proszę pana, nawet Słonimski...” Jeszcze trochę i będzie z niego Rejtan. Bohaterowie, w dechę, zagięli nas. A my zawsze wyśiadkowi. Pod nimi naród oglądany z lotu ptaka. Usta pełne rewolucyjnych frazesów, robotniczej krzepy, a z radia i z wszystkich pism wysuwają się białe, wypieszczone rączki uprzywilejowanej elity: „Jest natomiast faktem, że dla podniesienia swej emigracyjnej wartości skończyłem w owym beznadziejnym okresie kurs spawania. Nie ma sensu snuć tych wspomnień, to jakieś schorzenie nie tylko w tył ale i w dół” (Florczak, radio KRAJ 9. 9. 55). Towarzyszu z Huty Lenina, słyszysz? Ileż w tym pogardy dla pracy rąk, dla brudnej pracy rąk. Panicze jej nie lubią, bo wolą być przy której w najgorszym wypadku można powalać sobie duszę. Dusza? Uśmiercili ją w swojej literaturze, w życiu, w młodzieży. Pilnik? Owszem, do paznokci. Etyka? A — tego szukają, na gwałt, bo może coś znajdą. Z nożyczkami. „Ogromna ilość norm wypracowanych przez chrześcijaństwo jest trwałą zdobyczą ludzkości i nie może być przekreślona” (Przegląd Kult. Nr 181). Co się stało? Ha, na wyżyny doszły jakieś głosy wychowanków, statystyki, chuligani, prostytutka. Ucz ich „norm chrześcijańskich” bez Chrystusa. Może odpowiedzą ci jak ta Hanka, zapytana czy podola sześciu chłopakom, czy wytrzyma „sztafetę”: „Ano, będziemy próbować”. My, po tej stronie, już od dawna próbujemy chrześcijaństwa bez Chrystusa, „myśli śródziemnomorskiej” i wyniki są te same. „Bonjour tristesse”.

Teraz widzą dno, na które stoczyła się młodzież przez te lata poniesiona wybuchem bezradnego buntu przeciwko nudzie, drętwej mowie, marksistowskim etydom formalistycznym rewolucyjnych paniczów. Rozumie ją i nie winię jej, nie gorszę się. Gdybym wrócił, wstąpiłbym od razu do bandy chuliganów i obrał za szefa tego siedemnastolatka, który powiedział: „Zarzucacie młodemu pokoleniu, że jest cyniczne. Słusznie. Jesteśmy cyniczni. Ale to nie jest zarzut. Nasz cynizm jest w gruncie rzeczy moralny. Jesteśmy cyniczni, bo tylko poprzez cynizm możemy mówić o rzeczach wartościowych. Nasz cynizm nie jest pozą ludzi znudzonych. My nie jesteśmy znudzeni. Nie mamy przetrąconych kręgosłupów. Nasz cynizm jest po prostu obroną

przed załganiem. Nie chcemy się dać nabrać. Czy tego tak zwani dorośli nie rozumieją? Dosyć nas napompowano wielkimi słowami" (Życie W-wy 11. 3. 56).

Jestem tak zwanym dorosłym i rozumiem tego chłopca. Tak jak i on, mam dość pompowania mnie wielkimi słowami, mam dość Polski takiej lub owakiej, pisanej różnych rozmiarów i różnie wydętymi „P”, bo najmniej jest z niej w kontuszowych krzykach, a najwięcej w tym młodym głosie. Nie tylko Polski — całego świata, mojego świata. I w wyznaniach chuligana Krzysztofa: „Co go interesuje? Wszystko. Ale nie ma do niczego cierpliwości. Lubi teatr, film. Co czyta? Co wpadnie w ręce? Nie, literatury współczesnej nie lubi. Zupełnie. Jest nudna, nieprawdziwa. Szkoda czasu. Sto razy ciekawsze są pamiętniki Cezara, historia starożytnej Grecji, „Iliada”, Wolter, Maeterlinck, Twain... I dobra poezja. Norwid, Słowacki. Tuwim. No i „kryminały”. (Życie W-wy 20. 2. 56) I cóż dadzą mu teraz? Lenina, towarzysze, i po stalinowskiej wazelinie znowu lody i chruszcz. Był odbiorca, inteligentny odbiorca i są ich setki tysięcy, ale trzęsienie spodniami sprzyja tylko produkowaniu... Naprodukowano tego mnóstwo.

I teraz robi się szum, King Kongi sztuki biją się w piersi aż dudni. Obraz rzeczywistości, fantazja, erotyka, sensacja wyplewione w bibliotekach, wzmogły się w życiu. Odkłamią się? Troszeczkę, ale nie do końca, bo wówczas trzeba by obalić nie tylko pomniki Stalina, ale przede wszystkim swoje własne, i następców, i całego systemu. A na to nikt się nie zdobędzie dopóki wybiera się wolność w tak zwanym socjalizmie.

Ponura groteska, pożar w wielkim burdelu z histerycznymi krzykami dziwek. „Więc — proces zakłamywania się. A za to, co się mnie tyczy — pragnę osobiście ponosić odpowiedzialność...” krzyczy tow. Wirpsza. Więc poprawi się? Nie — zamiast kurwić się po stalinowsku zmieni zakład i „madamę”. Będzie to teraz robił po leninowsku trzęsąc spodniami w takt dwóch nazwisk Bima i Boma. A co będzie jeżeli okaże się, że Bim lub Bom byli agentami Berii? Wtedy — znowu uderzy się w pierś i będzie pragnął osobiście ponosić odpowiedzialność. Jeżeli istnieje piekło, to wyobrażam je sobie jako przebywanie wśród tego rodzaju ludzi pozbawionych poczucia humoru i dogmatycznych matołów rewolucji. Ale na szczęście idą oni zawsze do raju socjalistycznego. Przez całe życie i po śmierci. Pijaństwo, chuligani, kociaki, cynie, wdechowcy — jakież to niewinne, jak bardzo niegroźne w porównaniu z tą „uprzywilejowaną warstwą”, z tym oceanem słów i dyskusyj.

Oskarżenie i wołanie o karę dla winnych? Co znowu — planowe rozkładanie win, rozgrzeszanie wszystkich. Ci sami w pierwszych rządach. „Wiele mówi się u nas o prawie do przemian. Ale samokrytyka tego rodzaju zdaje się raczej wskazywać na całkowite samozadowolenie, a więc na niechęć do jakichkolwiek przeobrażeń. Poza tym — jest rzeczą oczywistą, że prze-

miany te powinny wynikać z istotnej potrzeby wewnętrznej, muszą być autonomiczne, nie zaś — narzucone z zewnątrz. Trudno jednak uwierzyć w autonomiczność przełomów osobistych, które stale wypadają równocześnie z przełomami ogólnymi i każą niektórym pisarzom w 1947 roku głosić psychologizm, w 1949 postulat „literatury masowej”, a w 1955 — z tegoż postulatu się naśmiewać... Po cóż chcieć na siłę wycofać się przez triumfalną bramę? Po cóż tworzyć karkołomne pojęcia „bohaterskiego oportunizmu” i przypisywać tragizm postaciom, które tragicznymi nie były?” — pisze Sandauer o „Obronie Grenady”. (Przegl. Kult. Nr 182)

Przemiany muszą być autonomiczne i nienarzucone z zewnątrz. Gdzie tknąć, tam po socrealizmie pojawia się surrealizm. Już próbowali tego. W obozie Mirnoje o 600 mil na północ od Tomskia miesiąc temu, *teraz?*; wiedzieliście o zbrodniach Stalina i teraz o nich mówicie. Mówcie o tych obecnych. Czy to co innego te 200 trupów w Mirnoje pragnących przemiany? Wypuszcza się 30.000 ludzi z więzień, wypuszcza grupę Tatarów, komendantów obwodów akowskich i opróżnia miejsce dla zwolenników przemian autonomicznych, nie narzuconych z zewnątrz. Spróbujcie... Jak dotąd nic nie wysunęło się poza zakreślone w Moskwie granice. To nie Stalin — to system. Kazio rozgrzeszył, Kazio teraz powie wam w nowym opowiadaniu „Dotąd” dokąd wolno mówić prawdę, a „naczdyrdups” Schaff z wysokości swojego „komczwaństwa” (komunistyczne pyszałkostwo w nowej mowie) wyjaśni wam, jak „walkę z dogmatyzmem można prowadzić w sposób nader dogmatyczny i nie pociągający za sobą żadnych konsekwencji praktycznych”. (Przegl. Kult. Nr 182). O to chodzi. Próbujcie jednak, to może w końcu i Kaziutek przyzna się jak to w „Obywatelach” pokazał inną grupę młodzieży i jej „tresurę”, może opowie co to on zrobił z Warszawy w walce i dlaczego, i może zdejmie „Czerwoną czapeczkę”. A z nim wielu innych. Po czym trzeba będzie przystąpić do sejmowego wydania „Zniewolonego Umysłu” Miłosza jako podbudowy filozoficznej trzęsienia spodniami i teorii wypełniania ich. Bo „nasze społeczeństwo socjalistyczne będzie w przyszłości społeczeństwem intelektualistów” (Nowa Kultura Nr 310). Potwór na perspektywa. To gorsze niż kociaki, cynie, chuligani. Przed laty już Gałczyński pisał widocznie przeczuwając: „...Jajo. Skąd jajo? Tyle lat i ciągle jajo...”

Było jajo, jest jajo i będzie jajo i nic się z tego jaja nie wykluje, bo gdyby była nadzieja na to, cała ta surrealistyczna zabawa nie miałaby sensu i straciłaby intelektualny „charme”. Gdyby nie chodziło tu o człowieka, o życie milionów ludzi, gdyby w tych dniach jedna z najbliższych mi osób nie wyskoczyła z szóstego piętra wskutek tych igraszek, to mogłoby to być nawet zabawne.

Andrzej BOBKOWSKI

Archiwum polityczne

Materiały de refleksji (3)

Dla Polaka, który opuścił Kraj we wrześniu 1939 roku „wyzwolenie” Polski przez armię czerwoną i dramat, który nastąpił — są niezmiernie trudne do odcyfrowania. Czytając Stefana Korbońskiego „W Imieniu Rzeczypospolitej”, a bezpośrednio po tej lekturze następny tom jego wspomnień „W Imieniu Kremla” — odnosi się wrażenie, że akcja drugiego tomu toczy się na innej planecie, w innym kraju, wśród innych ludzi.

Szok spowodowany klęską warszawską, która stanowiła finał krwawych lat walki podziemnej — tłumaczy w pełni powszechną niemal reakcję wyrażającą się w twierdzeniu: czynny opór nie zda się na nic. Ale od braku czynnego oporu na większą skalę do kolaboracji na olbrzymią skalę droga jest daleka.

Książkę Korbońskiego zamyka spis działaczy Stronnictwa Ludowego obejmujący 118 nazwisk. Tych 118 zostało wymordowanych przez Bezpiekę. Wymordowali ich nie Rosjanie tylko Polacy.

Z procesów, które z końcem 1946 roku odbyły się w Warszawie — wynikało jasno, że podziemie jeszcze działało w tym okresie. Kto likwidował te oddziały, kto oskarżał przed sądami i kto podpisywał wyroki śmierci? Użycie ulubionego zwrotu prasy emigracyjnej o „agentach i pachołkach Moskwy” powyższego faktu nie wyjaśnia, gdyż ci „agenci i pachołkowie” byli polskiej narodowości.

Jak to się stało?

By podjąć próbę odpowiedzi na to pytanie musimy cofnąć się do źródeł dramatu.

W kwietniowym numerze „Kultury” wyraziłem pogląd, że większość naszych klęsk była konsekwencją wadliwego rozpoznania sytuacji tak geopolitycznej jak międzynarodowej.

Od czerwca 1941 druga wojna światowa zmieniła swój charakter i stała się wojną niemiecko-rosyjską. Wszystko co się później stało było logiczną konsekwencją tego zapoznanego faktu.

Walcząc we Włoszech pomagaliśmy pośrednio Sowietom nie zobowiązując ich do niczego. Politycznie bowiem, nasze siły zbrojne należały do zespołu instrumentów polityki zachodniej, ściślej brytyjskiej w której ramach nie istniał program wschodnio-europejski. „Orientacja zachodnia” była tworem naszych desperackich życzeń. Polityka zachodnia podtrzymywała propagandowo koncepcję polską z praktycznych względów, lecz trzeźwi Brytyjczycy nie taili swych przewidywań, że nad Wisłą Anglosasi będą mieli niezmiernie mało do powiedzenia.

Istniał sojusz polsko-brytyjski, istniała Karta Atlantyczna, deklaracja i wypowiedzi. To są elementy ważne, lecz w polityce nie zasadnicze. Elementem zasadniczym w stosunkach między-narodowych jest konflikt względnie zbieżność interesów. Wówczas gdy dojdzie do wyraźnego konfliktu między Zachodem a Sowietami — w polityce zachodniej pojawi się program wschodnio-europejski i dopiero wówczas powstaną realne elementy do budowy polskiej „zachodniej orientacji”. Dziś potencjalny konflikt amerykańsko-sowiecki zarysowuje się dość wyraźnie i dlatego możemy mówić o polskiej „orientacji amerykańskiej” z poczuciem większego realizmu niż mówiliśmy o „orientacji zachodniej” w latach 1944-1945.

Jałta otrzeźwiła wielu ale nie wszystkich. Mikołajczyk i po Jałcie wierzył w „orientację zachodnią”. Jałta mu nie wystarczyła. Musiał przejść sfałszowane wybory, morderstwa i prześladowania, których ofiarą padali działacze ludowi, musiał nałykać się upokorzeń i strachu zanim uwierzył, że „orientacja zachodnia” zrodzona nad Tamizą Wisły nie sięga. Nie unieważniono wyborów, nie było interwencji mocarstw zachodnich, nie zwolniono działaczy ludowych z więzień Bezpieki a program wschodnio-europejski mocarstw anglosaskich w praktyce zwęził się do jednego miejsca w samochodzie, którym p. Mikołajczyk wyjechał z Warszawy.

Zwolennicy „orientacji rosyjskiej” mieli dla swej polityki realne pokrycie w faktach i w sile. Obóz zwolenników „orientacji zachodnich” opierał się na kapitale pobożnych życzeń.

Mikołajczyk w tej trudnej sytuacji wykazał bezbrzeżną naiwność. Nie tylko zaakceptował krzywdę, ale zgodził się ponieść ją ośłonić i usprawiedliwić. Z chwilą bowiem kiedy jako wice-premier zasiadł w rządzie reżymowym, setki tysięcy a może miliony Polaków uwierzyło, że „orientacja zachodnia” jest realną siłą, korzystającą z pełnego poparcia mocarstw anglosaskich. Wice-premierostwo Mikołajczyka było de facto tylko parawanem, który przystąpić miał przed opinią świata twarze tych, którzy nam tego poparcia odmówili.

Według słów Korbońskiego popularność Mikołajczyka w Kraju wywodziła się z powszechnego przekonania, że przywiózł z Londynu tajemniczą receptę na zbawienie Polski. Oczywiście Mikołajczyk żadnej „recepty” nie miał i całą swą politykę opierał na mglistych, niezobowiązujących ogólnikowych

obietnicach. Ale Polacy w Kraju wierzyli, że skoro Mikołajczyk uparcie dąży do wyborów mimo absolutnej pewności, iż będą sfałszowane — musi się w tym kryć wyższa, londyńska „racja stanu”. Wtajemniczeni szeptali, że sfałszowanie wyborów stanie się początkiem interwencji alianckiej. Wybory sfałszowano — interwencji nie było — Mikołajczyk uciekł.

Czytając tomy pamiętników Korbońskiego dochodzimy w końcu do momentu, kiedy trzeba postawić dziwne pytanie: Czy nie było przed nami innego wyjścia?

Kapitulować można rozmaicie. My skapitulowaliśmy w najmniej korzystnych warunkach. Ponieśliśmy olbrzymie a bezcelowe straty. Od początku graliśmy wyłącznie na jednym fortepianie. Graliśmy uporczywie na nim nawet wówczas, kiedy było całkowicie pewne, że gramy jedynie sobie a niebu. „Fortepian rosyjski” nas nie interesował. Nie wydaliśmy dwóch niezależnych koncepcji (Dmowski-Piłsudski) wykazując zdumiewającą zgodność w pro-zachodnim nastawieniu w chwili, kiedy Polska zmieniała swój geopolityczny mianownik i stawała się z najbardziej na Wschód wysuniętego bastionu Zachodu najbardziej na Zachód wysuniętym bastionem... Wschodu.

Mikołajczyk rozmawiał ze Stalinem ale to nie był już moment by zasiadać do rosyjskiego fortepianu. Na rozmowy z Rosją było wówczas o trzy lata za późno.

Sądzę, że realistycznie myślący naród w naszej sytuacji byłby podjął rozmowy z Moskwą w latach 1941-1942. Najzdolniejszych polityków przesunąłby na płaszczyznę „orientacji rosyjskiej” w przewidywaniu, że nie Londyn czy Waszyngton będzie miał decydujący głos nad Wisłą lecz — niestety — Moskwa. Naród kierujący się realistyczną polityką byłby nie dopuścił do powstania warszawskiego.

Dziś można stwierdzić bez cienia wątpliwości, że sowieckie radiostacje nawoływały ludność stolicy do powstania a gdy powstanie wybuchło Stalin oświadczył Mikołajczykowi, że o niczym nie wie. Ze strony rosyjskiej to była zarówno prowokacja jak i zdrada. Ale obiektywnie należy stwierdzić, że do zdrady trzeba zawsze dwóch stron. Zdraycy i tego, który pozwoli się zdradzić. Nie mieliśmy żadnej polityki w stosunku do Sowietów więc czego mieliśmy się spodziewać? Powtarzam: *czego?* Jako sojusznik byliśmy zbędni. Niemcy — choć nie w skali warszawskiej — ale w skali światowej byli pobici i to pobić głównie przez Rosjan. W tym momencie Sowiety nie potrzebowały żadnego sojusznika by dojść do Berlina. Wskutek tego w grę wchodził wyłącznie moment polityczny.

Dla polityki sowieckiej, podobnie jak dla polityki Rosji carskiej — nie istnieje problem polskiej niepodległości. Istnieje tylko problem Polaków orientacji rosyjskiej czyli Polaków lojalnych oraz problem Polaków orientacji zachodniej czyli buntow-szczyków. W tym świetle powstanie warszawskie skazane było politycznie na klęskę w każdych okolicznościach. Gdyby Rokos-

sowski przekroczył Wisłę i zdażył z odsieczą — AK powędrowałaby do łagrów na dalekiej północy. Z uwagi na opinię Zachodu było taktycznie korzystniej pozwolić Niemcom zlikwidować aktyw AK niż bohaterskich sojuszników wywozić na Kolumię.

Każdemu wolno być emigrantem, ale nie wiem czy wolno polecać całemu narodowi by prowadził politykę emigracyjną. A nasze rządy londyńskie to właśnie robiły.

Polityka emigracyjna jest polityką impoderabiliów. Emigrant odmawia powrotu do Kraju ze względów zasadniczych. Ale emigrant chroniony jest przywilejem azylu i nie mu nie zagraża. AK była armią złożoną z „emigrantów”, którzy nie mogli liczyć na azyl. AK była bowiem instrumentem polskiej „orientacji zachodniej” a więc koncepcji przegranej. Klęskę tej orientacji można było przewidzieć na długo przed powstaniem warszawskim. Wymownych oznak na ziemi i na niebie po temu nie brakowało.

Naród kierujący się innymi założeniami — politykę emigracyjną ograniczyłby do terenów Zachodu a w Kraju rozbudowałby w właściwym czasie orientację rosyjską by maksymalnie osłabić konsekwencje nieuchronnej klęski. Zamieniając podziemie w ekspozyturę Emigracji doprowadziliśmy do wojny polsko-rosyjskiej w której Niemcy w... zastępstwie Rosjan walczyli przeciwko nam. Taki był bowiem polityczny sens warszawskiego powstania.

Powtarzamy przy każdej okazji z dumą, że Polska jest największym krajem w Europie wschodniej. Ja sam powtarzam to zdanie w co drugim artykule. Niemniej faktem jest, że pozwiliśmy się „załatwić” w ten sam sposób i identycznie szablonowo jak „załatwiono” Rumunię czy Węgry.

Gdyby istniał rozbudowany z długiej ręki obóz orientacji rosyjskiej nie jest wykluczone, że powiodłoby się w Polsce stworzyć rząd frontu ludowego. Partia komunistyczna była w Polsce nieliczna. Nie sądzę by komuniści mogli odrzucić współpracę dobrze zorganizowanego stronnictwa, które reprezentowałoby politykę współpracy z Rosją. Jest jasne, że i w takim wypadku komuniści byłiby „solą ziemi” ale układ stosunków wyglądałaby — być może — inaczej. Ludowcy Mikołajczyka byli opozycją w pierwszym rządzie dlatego, że orientowali się na Zachód.

Nie wiem czy istniały w Polsce możliwości utworzenia — zamiast rządów Bezpieki — rządów *sui generis* frontu ludowego. Jestem natomiast głęboko przekonany, że przedmiotem rzetelnej polityki musi być zarówno zwycięstwo jak i klęska. W biurach w Londynie przygotowywano szczegółowe plany na okres po zwycięstwie. O okupacji rosyjskiej nie myślał nikt z wyjątkiem komunistów. Toteż gdy klęska nadeszła nie był do niej przygotowany nikt z wyjątkiem komunistów.

Emigrant, który odpowiada tylko za siebie powinien twar-

do stać przy imponderabiliach. Współpracując z komunistami przekreśliłby sens swego pobytu na obczyźnie. Wydaje mi się jednak, że nasze rządy w Londynie zbyt szybko przeszły z polityki państwowej na politykę emigracyjną ściśle ideologiczną. Bo trzeba jasno powiedzieć, że nawet dziś w „wieku ideologii” dla polityki państwowej kardynalnym kryterium jest interes państwa i narodu a nie moment czysto ideologiczny. Od polityki państwowej nieodłączna jest odpowiedzialność. Gdybyśmy o tym pamiętali uniknęlibyśmy wielu błędów w stosunkach z Amerykanami. Nasi przyjaciele amerykańscy są anty-komunistami podobnie jak my, z tą jednak istotną różnicą, że ich anty-komunizm nie przekracza nigdy linii zakreślonej — w danym momencie aktualnym — interesem państwowym. Amerykanie są zdecydowanymi anty-komunistami ale ich polityka dyktowana jest interesem a nie ideologią czy anty-ideologią. Innymi słowy polityka Waszyngtonu nie jest polityką emigracyjną tylko zawsze i wyłącznie państwową.

Tylko publicyści, którym się wydaje, że świat składa się z samych emigrantów mogą dziwić się, że programy Free Europe nie pokrywają się bez reszty z polityką amerykańską.

Imponderabilia nikogo nie zwalniają od odpowiedzialności, która obejmuje zarówno zwycięstwo jak i klęskę. Ktoś odpowiada za powstanie warszawskie, za losy AK, za brak jakiegokolwiek próby przygotowania i zorganizowania odwrotu. Odpowiedzialność obciąża polską politykę tego okresu.

Rozważania niniejsze rozpocząłem od analizy zjawiska, które fascynuje mnie od dawna. Mam na myśli masową — chciałoby się rzec — spontaniczną kolaborację, która pozwoliła Rosjanom przeprowadzić okupację Polski polskimi rękami. Jak to się stało?

W moim przekonaniu kolaboracja była w pewnym sensie naturalną reakcją na ślepa jednostronność naszej polityki. Nie tylko emigracja od samego początku siedziała na „białym koniu” ale cały naród wsadziliśmy na „białego konia”.

Klęska orientacji zachodniej była całkowita i odarta z wszelkich niedomówień. Nie istniał nawet ślad planu zastępczego. Dewiza rycerzy „białego konia” brzmi: po nas potop.

Były tylko ruiny i komuniści. Uprzątnąć gruz — odbudować miasta i fabryki oznaczało współpracować z nimi. Tysiące a może nawet setki tysięcy mogą poświęcić życie dla imponderabiliów ale nie naród. Naród musi żyć, trwać, budować w każdych warunkach. I dlatego polityka państwowa nie może być nigdy bezkompromisową polityką krucjaty. Państwo nie jest organizacją czy zrzeszeniem do propagowania takiej czy innej ideologii. Jego podstawowym celem jest zapewnić ciągłość trwania narodowego.

W obliczu największej w naszych dziejach klęski narodowej nie zdobyliśmy się na żadną koncepcję — brakło nam Pétaina — bo nasi politycy myślą zawsze o imponderabiliach nigdy o naro-

dzie — o ideologiach, nigdy o żywych ludziach. I żywi ludzie odwrócili się od nich.



Minister Dulles mówił niedawno o titoizmie. Jeżeli przez titoizm rozumieć pewien stopień narodowej niezależności w sferze politycznej — to trzeba powiedzieć, że istnieją dwa jego warianty.

Było oczywiście od samego początku, że „operacja odwilż” ma na celu między innymi dostarczyć argumentów aktywistom orientacji rosyjskiej. Chodzi o przemianę kolaboracji na współpracę. Kolaboranta wystarczy nastraszyć — współpracownika trzeba zjednać i dać mu pewien margines wolności.

Zwolennicy orientacji rosyjskiej starają się przekonać Moskwę, że wkład polski do puli obozu bloku sowieckiego będzie wydatniejszy jeżeli statut Polski w większym stopniu przypominać będzie pozycję partnera niż satelity.

Nie jest wykluczone, że w przyszłości Rosja zdecyduje się zwiększyć do pewnego stopnia samodzielność Polski a to z dwóch powodów: po pierwsze — by dostarczyć amunicji aktywistom orientacji rosyjskiej i po drugie — by przeciwdziałać koncepcji wyzwolenia i tak zwanej polityce „liberation”.

Jeżeli owo zwiększenie samodzielności stanie się faktem będzie je można nazwać swego rodzaju „titoizmem”. Niemniej titoizm tego typu dla polityki amerykańskiej byłby zupełnie bezwartościowy.

Z omawianej wypowiedzi min. Dullesa wynika, że dla polityki amerykańskiej nie ma decydującego znaczenia czy Polska i inne kraje satelickie są komunistyczne. Dla Ameryki decydujące znaczenie ma tylko fakt czy kraje te są zależne od Rosji czy nie. Ten punkt polityki amerykańskiej jest zrozumiały choć odbiega daleko od postulatów polityki emigracyjnej. Ale nie każdy titoizm prowadzi do rezultatów jakich oczekuje min. Dulles. Amerykanie winni przyjąć za pewnik, że ani w Polsce ani w żadnym innym kraju satelickim nie powstanie titoizm który by wydatnie ograniczył podstawową zależność tych krajów od Rosji. Za „żelazną kurtyną” nie ma dziś po temu warunków. Te warunki trzeba by stworzyć.

Dla polityki amerykańskiej byłoby istotne by Polska miała możliwość realizowania swej własnej drogi do socjalizmu. Bo im ta droga będzie bardziej własna, tym będzie mniej rosyjska. Lecz na to by w Polsce mógł powstać titoizm, który by ozna-
czał realne usamodzielnienie — Polska musiałaby przestać być sferą wyłącznych wpływów sowieckich. W Europie wschodniej również i Amerykanie musieliby mieć coś do powiedzenia.

Titoizm — tak jak go widzi min. Dulles — jest do pomyślenia jako jedna z możliwych formuł ale wyłącznie na terenie gdzie krzyżowałyby się wpływy sowieckie i amerykańskie. By-

łoby to łatwiejsze do osiągnięcia niż realizacja pełnego programu polityki „liberation”. Ale nawet tego typu kompromisowe rozwiązanie kwestii wschodnio-europejskiej wymagałoby potężnego nacisku ze strony Stanów Zjednoczonych.

Celem naszej polityki jest odzyskanie pełnej niepodległości państwowej, ale niewątpliwie Polacy w Kraju powitaliby z radością każdą — choćby kompromisową formułę, pod warunkiem, że oznaczałaby ograniczenie wpływów Sowietów.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

W ODPOWIEDZI

P. Cyrankiewicz w swoim exposé przytoczył cytaty z kwietniowego numeru „Kultury”. Temu samemu artykulowi („Materiały do refleksji”) p. Stefan Arski poświęcił dłuższą pogadankę przed mikrofonem radiostacji „Kraj”.

P. Arski słusznie zauważa, że zespół „Kultury” nie tylko obserwuje ale i rozumie przemiany zachodzące w Polsce. Myli się natomiast p. Arski sądząc, że w chwili kiedy w pełni zrozumiemy sens przemian w Kraju — dojdziemy do wniosku, że „wszelkie koncepcje spoza horyzontu Polski ludowej pisane są palcem na wodzie”.

Uprośćmy ten dialog. Badamy przemiany zachodzące w Kraju, śledzimy proces uprzemysłowienia i w odróżnieniu zarówno od „białogwardyjskich” kół emigracyjnych jak i p. Arskiego — wierzymy, że to czego dokonano w Polsce w znacznym procencie wytrzymałoby próbę demokratyzacji.

Emigracyjne koła zachowawcze wywołanie wyobrażają sobie jako nawrót do pogrzebanej epoki sprzed 1939 roku. Ale p. Arski i jego towarzysze myślą de facto tymi samymi kategoriami, sądzą bowiem, że wolne wybory i rzetelna demokracja prowadziłyby w konsekwencji do pogrzebania socjalizmu i jego dorobku.

Choć brzmi to paradoksalnie, mamy większe zaufanie do osiągnięć współczesnej Polski niż p. Arski. Osobiście jestem przekonany, że gdyby jutro w Polsce przeprowadzono prawdziwe wybory — naród poprzez swych reprezentantów zatwierdziłby i zatrzymał wiele przemian ustrojowych, które są owocem ostatniego dziesięciolecia. Jestem pewien, że wolny, demokratycznie wyłoniony Sejm nie cofnąłby reformy rolnej ani nie oddałby przemyślu w ręce prywatnych kapitalistów. Nadzieje jednych a obawy drugich, że demokratyzacja życia w Polsce otworzyłaby drogę reakcji — wydają mi się całkowicie nieuzasadnione.

Pozycja „Kultury” jest trudna, bo znajdujemy się między konformizmem świetnie reprezentowanym przez p. Arskiego a konformizmem niemniej świetnie reprezentowanym przez „góre” emigracji. Jest może śmieszne porównywać te dwa konformizmy ale tak jeden jak i drugi mają nieprzeparty wstręt do demokracji. I dziwne jest pomyśleć, że tak w reżymowym Sejmie jak i w emigracyjnej Radzie Jedności Narodowej nie ma ani jednego „posła”, który by swój mandat zdobył w zwyczajnych, wolnych wyborach. To, co dla innych zwyczajny chleb codzienny, to dla nas „marzycielski” program. Tylko „pięknoduchom” z „Kultury” zachciewa się wyborów. W rezultacie, tak „góra” w Kraju jak i „góra” na emigracji uważa nas za złych Polaków.

Chciałbym jeszcze p. Arskiemu podać kilka luźnych uwag do łaskawego rozważenia.

Obóz marksistowski porzucił — niezmiennie słusznie — twierdzenie o nieuchronności wojny z „kapitalistycznym imperializmem”. W logicznej konsekwencji p. Chruszczew — jako pierwszy sekretarz pierwszej komunistycznej partii świata — proklamował dwie tezy. Pierwsza dotyczy pokojowej koegzystencji i pokojowego współzawodnictwa światów kapitalistycznego i komunistycznego. Druga — będąca konsekwencją pierwszej — stwierdza, że komuniści winni dążyć do realizacji swego programu na drodze demokratycznej, to jest poprzez większość parlamentarną.

Otóż my nie domagamy się wjazdu na „białym koniu” do Warszawy. Nie domagamy się również by gen. Sławoj-Składkowski objął urządowanie jako premier. Domagamy się natomiast, by komunistów polskich nie pozbawiano zaszczytnego prawa współzawodnictwa, które jest udziałem komunistów francuskich czy włoskich.

Ani nie oczekujemy, ani nie pragniemy trzeciej wojny światowej o co posadza nas „Życie Warszawy”. Uważamy natomiast, że jeżeli polityka koegzystencji ma w przyszłości zastąpić „zimną wojnę” — będzie rzeczą konieczną system satelickich protektoratów zastąpić bardziej nowoczesnym systemem współpracy międzynarodowej. Jeżeli Rosja istotnie pragnie pokoju — w co nie ma powodu wątpić — przyjdzie chwila, kiedy politycy w Moskwie zdadzą sobie sprawę, że załatwienie problemu Europy wschodniej jest koniecznością. P. Arski odpowie, że nie ma żadnego problemu Europy Wschodniej. Niestety problem istnieje i wiemy o tym zarówno my jak i towarzysze p. Arskiego. Zbigniew Florczak w artykule pt. „Miarą Szczerości” w „Nowej Kulturze” (Nr 313) woła: „Uwierzmy wreszcie, że jesteśmy państwem niepodległym”. Otóż to jest ów problem. Nie tylko my ale i p. Florczak chciałby w to kiedyś uwierzyć. By w to uwierzyć, konieczne są po temu pewne podstawy.

Byłoby całkowitym nonsensem twierdzić, że przywilej własnej drogi do socjalizmu dotyczy tylko Jugosławii. Gdybyśmy stanęli na tym stanowisku musielibyśmy uznać, że choć w „obozie socjalistycznym” wszystkie narody są równe to przecież niektóre są „równiejsze” od innych, jak np. Jugosłowianie. Nie sądzę by istnieli polscy marksści gotowi podpisać się pod tą tezę.

Jeżeli przywilej własnej drogi do socjalizmu przysługuje Jugosłowianom — przysługuje i Polakom. Nie należy dopuszczać myśli, że w tym

wypadku decyduje odległość mierzona w kilometrach od granicy sowieckiej.

Kto ma o tym decydować co jest, a co nie jest własną drogą do socjalizmu? Tego nie możemy zadecydować ani ja, ani Gomułka ani nawet p. Arski — tylko naród polski. Nie istnieje inny sposób wybadania woli narodu, jak wolne, rzetelne wybory.

W tym miejscu p. Arski zauważy, że polskim komunistom doradzam samobójstwo. Przeciwnie — doradzam im kurację. Na polskim komunizmie ciąży dwa straszliwe kompleksy. Pierwszy to czystka i likwidacja KPP — drugi to „darowana rewolucja”. Byłby czas stwierdzić w jakim stopniu „darowana rewolucja” zrewolucjonizowała obdarowanych. Dziś nikt tego nie wie.

Polski komunizm nie ma w swej metryce ani własnej rewolucji, ani zwycięstwa na drodze parlamentarnej. Nie ma za sobą żadnej próby sił — ma natomiast za sobą dziesięć lat urzędowania.

Z punktu widzenia politycznego to są momenty niezmiernie ważnej. Ponieważ polski komunizm nie ma narodowej legitymacji wszyscy Polacy nie-marxiści tak w Kraju jak i na obczyźnie uważają komunizm nie za program partii przy sterze, lecz za ideologię okupanta narzuconą siłą.

Jak długo Polska „ludowa” jest krajem satelickim jej przywódcy nie muszą się tym kłopotać. Jeżeli jednak zechcą kiedyś realizować program własnej drogi do socjalizmu — będą musieli zacząć od ulegalizowania pozycji komunizmu w stosunku do narodu polskiego.

W epoce koegzystencji i pokojowego współzawodnictwa nie jest rzeczą możliwą tolerować dziesiątkami lat sytuację w której miliony Polaków nie uznają polskiego rządu w Warszawie. Trudno obliczyć ile milionów Polaków w Kraju nie uznaje obecnego rządu. Natomiast przyjąć można za pewne, że zagranicą ponad 6 milionów Polaków nie uznaje rządu warszawskiego. To jest absurdalna sytuacja, która kompromituje reżym na terenie międzynarodowym i to nie tylko w Waszyngtonie czy w Londynie ale i w Moskwie.

Sedno sprawy nie tkwi w tym, że rząd warszawski jest komunistyczny. Sedno problemu tkwi w tym, że komuniści nie zdobyli władzy ani na drodze rewolucji dokonanej polskimi rękami, ani na drodze uzyskania większości parlamentarnej. Niezależnie od faktu czy ich ideologia jest słuszną czy błędną — swą władzę zawdzięczają obcemu mocarstwu. I to jest istota problemu.

Komuniści mogliby zdjąć z siebie odium utrzymanków obcego mocarstwa tylko na drodze odwołania się do Kraju poprzez wolne wybory. Nie ulega wątpliwości, że liczebny stan partii po wyborach spadłby wydatnie. Ale ilość posłów komunistycznych wybranych do Sejmu odzwierciedlałaby autentyczną siłę ruchu komunistycznego w Polsce. I w ten sposób zdobytej pozycji nikt nie mógłby kwestionować.

P. Arski uśmiechnie się wyniośle i powie: któryż marksista zgodzi się na powrót do metod burżuazyjno-demokratycznych ze szczębla zwycięskiej rewolucji?

Taktykę determinują okoliczności. Gdybym był polskim marksistą jak p. Arski — dopatrywałbym się wielkiego niebezpieczeństwa w przyczyn-

wym związaniu ruchu komunistycznego z tradycją zaboru i obcej interwencji. W Polsce to powiązanie może się stać grobem marksistowskiego mitu.

„ODWILŻ” NA EMIGRACJI

„Odwilż” na emigracji niestety nie ma. Obowiązuje w pełni stalinizm à rebours. Nikogo „odwilż” krajowa tak nie wyprowadziła z równowagi jak naszych emigracyjnych speców od komunizmu. Artykuł Ochaba w moskiewskiej „Prawdzie” jest niczym w porównaniu z zapienionymi zapewnieniami emigracyjnych „krajoznawców”, że „nic się nie zmieniło”. Nic! Jakże mogłoby stać się coś, czego talumid antykomunistyczny nie przewiduje? Nie ma na świecie wierniejszych stróżów czystości doktryny niż nasi emigracyjni antykomuniści. Uważaliby za orwellowską „zbrodnię myślową” samo przypuszczenie, że w Polsce dzieje się coś, co odbiega od klasycznej stalinowskiej doktryny. Ci namaszczeni mędrcy niczego nie zrozumieli z „odwilży”, ale dostarczyli wzruszającego przykładu solidarności jaka łączy intymnie stalinowską i anty-stalinowską reakcję.

INICJATYWA KANADY

W numerach styczniowym, marcowym i majowym „Kultury” p. T. Brzeziński, przewodniczący Rady Kongresu Polonii Kanadyjskiej, rozwinął interesujący projekt reorganizacji Polonii zagranicznej w wolnym świecie. Artykuły w „Kulturze” wzbudziły żywe echo i zainteresowanie. Obecnie Kongres Polonii Kanadyjskiej zwrócił się z oficjalnym pismem do Zarządu Głównego Polonii Amerykańskiej z propozycją podjęcia rozmów na temat projektu p. T. Brzezińskiego. W cytowanym piśmie czytamy między innymi:

„Zaletą tej inicjatywy jest dążenie do utworzenia takiej, obejmującej cały wolny świat, organizacji polskiej akcji zagranicą, która by opierała się na całości żywiu polskiego, a nie tylko na jego znikomej części, która by zapewniała akcji naszej charakter demokratyczny, przez wybieranie a nie mianowanie naszych reprezentantów i która by była całkowicie niezależną, czerpiąc z zasobów finansowych całości Polonii, a nie z jakichkolwiek postronnych źródeł. Tak ujęta inicjatywa nie godzi w nikogo i powinna wykluczyć niebezpieczeństwo powstania jeszcze jednego konkurencyjnego ośrodka politycznego. Ideałem jej urzeczywistnienia winno być pozyskanie zgody wszystkich, którym dobro sprawy polskiej leży na sercu, celem stworzenia, drogą logicznej ewolucji, nowego etapu w polskiej akcji zagranicą, obliczonego na dalszą metę i wstępującego na miejsce etapu pierwszego, którym było, póki nim być mogło tak zwane Państwo na wychodźstwie”.

Inicjatywa Kongresu Polonii Kanadyjskiej jest nie tylko pierwszym poważnym i realnym krokiem do zlikwidowania tak zwanego „kryzysu” wywołanego wiadomym rozłamem lecz jest również polityczną inicjatywą zmierzającą do oparcia Polonii w wolnym świecie o jednolitą demokratyczną organizację. W naszym przekonaniu jest obowiązkiem wszystkich trzeźwo myślących Polaków jak najusilniej poprzeć inicjatywę Polonii Kanadyjskiej.

VOTUM SEPARATUM

Pod powyższym tytułem Zygmunt Nowakowski ogłosił na łamach londyńskiego „Dziennika Polskiego” felieton, w którym napisał między innymi co następuje:

„Prasa nasza z małymi wyjątkami nie dociera do Kraju albo dociera tylko do rąk urzędników propagandy reżymowej. Pewien wyjątek stanowi miesięcznik „Kultura”, który dzięki swej nieco elastycznej postawie ma drogę częściowo otwartą. „Wiadomości” dzięki swej nieugiętej postawie nie przenikają przez szpary w żelaznej kurtynie. Tak samo nie przenika „Dziennik Polski”.

Dr Nowakowski jako czytelnik „Kultury” ma pełne prawo do prywatnego i ściśle osobistego sądu o tym piśmie. Nie ma natomiast prawa podawać o nim fałszywych informacji. Nie jest prawdą, że „Kultura” ma do Kraju „drogę częściowo otwartą”. Prawdą natomiast jest, że drogę do Kraju „Kultura” ma zamkniętą na równi z „Wiadomościami” i „Dziennikiem Polskim”. Dotyczą jej absolutnie te same przepisy i zakazy, którymi objęta jest cała prasa emigracyjna.

Osobiście, uważałbym za szczęśliwą datę w moim życiu dzień, w którym zezwolono by na swobodną sprzedaż „Kultury” w Kraju, choćby w ograniczonej ilości egzemplarzy. Niestety tak nie jest i... niestety ów dzień nie wydaje się bliski.

Faktem natomiast jest, że redakcja naszego miesięcznika nigdy nie pogodziła się z tym stanem rzeczy. Staraliśmy się od początku utrzymać łączność z Krajem wkładając w to wiele trudu i wysiłku.

„Kultura” w Kraju jest nie tylko czytana, omawiana i dyskutowana ale i powielana. W poprzednim numerze na stronie drugiej w rubryce na Dom „Kultury” widnieje następujący wpis:

„Czytelnicy „Kultury” w Polsce równowartość 550 złotych”.

Te pieniądze, pochodzące ze składek, przekazało nam pewne zachodnie przedstawicielstwo, które o to proszono. Czy sądzi Pan, Panie Zygmuncie, że to reżymowcy robią zbiórkę na dom „Kultury”? I czy nie myśli Pan, że te warszawskie złotówki z nawiązką wynagradzają nam emigrancie uwagi o „nieco elastycznej postawie”?

LONDYŃCZYK

Kronika ukraińska

Nowy Perejasław (1)

TRZY TAKTYCZNE ETAPY

Rosyjsko-bolszewicka polityka w stosunku do Ukrainy odznacza się stałością swoich głównych kierunków, ale często doświadcza gwałtownych zakrętów taktycznych. Tematem naszego artykułu jest ostatni, bieżący okres, który rozpoczął się wraz ze śmiercią Stalina. Jednak dla podmalowania tła musimy sięgnąć nieco wstecz, aż do początków drugiej wojny światowej.

Lata wojenne stały, choć to wygląda bardzo dziwnie, pod znakiem względnego „liberalizmu”. Przyłączenie zachodnio-ukraińskich ziem do ZSSR odbyło się pod ukraińskimi (nie rosyjskimi!) hasłami patriotycznymi. Krzątana propagandowa, połączona z „wyzwoleniem braci wspólnej krwi spod jarzma polskiej szlachty i rumuńskich bojarów”, pociągnęła za sobą również i na starych sowieckich terenach pewne odejście od jaskrawo antyukraińskiego kursu, który charakteryzował kremlofską politykę w latach trzydziestych. Wkrótce przyszła wojna niemiecko-sowiecka. Czerwona Rosja, szczepiona w śmiertelnym pojedynku z hitlerowskimi Niemcami, pragnie uzyskać pomoc narodu ukraińskiego, a przynajmniej go zneutralizować. Cel ten udało się Moskwie w pewnej mierze osiągnąć, dzięki barbarzyńsko okrutnej, kolonizatorskiej polityce Niemiec, w porównaniu z którą nawet bolszewizm wydawał się mniejszym złem. Niezmierny potencjał antybolszewicki Ukrainy, który w innych warunkach mógłby przechylić szalę wojny, nie wyjawiał się w należyty sposób. Bezlitośnie zwalczając wszelkie przejawy politycznego separatyzmu i samodzielnego ruchu oporu z właściwą sobie gętkością, Moskwa idzie jednocześnie na taktyczne ustępstwa. Sowiecka propaganda wszelkimi siłami stara się apelować do narodowych ukraińskich uczuć i tradycji. Udziela się większej swobody ukraińskiej kulturze. Mam na myśli działalność wielu pisarzy i uczonych, którzy, podobnie jak kijowska Akade-

nia Nauk, zostali siłą ewakuowani do Rosji i tam rozwinięli żywą działalność; ta stronica ukraińskiej historii z ostatniej wojny nie została jeszcze dostatecznie zbadana. Sowiecka propaganda zreszczenie sugeruje, że po wojnie reżym zmieni się, życie stanie się łatwiejsze, a naród ukraiński otrzyma większe prawa. Z najbardziej znamienitych posunięć politycznych wymienić trzeba reformę sowieckiej konstytucji (utworzenie w poszczególnych republikach związkowych ministerstw Spraw Zagranicznych i Obrony) oraz wywalczenie przez Stalina na Konferencji Jałtańskiej miejsca dla USSR w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Było to równoznaczne z przyznaniem Ukrainie statutu nominalnie suwerennego państwa.

Łatwo domyśleć się, że wszystkie te koncesje podyktowane były głównie lękiem, aby w takiej czy innej, nieprzewidzianej koniunkturze wojna nie doprowadziła do aktualizacji sprawy ukraińskiej w skali międzynarodowej. Obawy te były bezpodstawne. Trzecia Rzesza przynosiła plany kolonizatorskie, świadomie odrzucając każdy krok, który mógłby ją zobowiązać w stosunku do społeczeństwa na okupowanych ziemiach wschodnich. Hitler poszedł drogą nie przedłużenia lecz zaprzeczenia tradycji wschodniej polityki niemieckiej podczas pierwszej wojny, kiedy to rząd Wilhelma II, podtrzymywał, chociaż w sposób niekonsekwentny i niepozbawiony wahań, samodzielne tendencje państwowe w Polsce, Litwie, Finlandii, Ukrainie i nawet w dalekiej Gruzji. Co do sojuszników zachodnich, zagadnienia narodowe, w tej liczbie i ukraińskie, w Związku Sowieckim dla nich nie istniały politycznie. Demokratyczny Zachód po starciu identyfikował ZSSR z Rosją w przedrewolucyjnym znaczeniu i kwestię republik sowieckich widział wyłącznie w skali „mniejszości narodowych w Rosji”. O tym, aby wtrącać się w wewnętrzne sprawy „rosyjskiego sojusznika”, w ogóle nie było mowy, chociaż krytyczna sytuacja, w jakiej Sowiety znalazły się w 1941 roku, dostarczała znakomitej ku temu okazji. Ale dla śmiałej, dalekosiężnej, konstruktywnie-demokratycznej polityki brakowało zarówno rozumienia jak woli.

Choć to brzmi paradoksalnie, spośród trzech wielkich obozów, uwikłanych w wojnę: Niemcy, demokracje zachodnie, Sowiety — najwięcej zrozumienia dla kwestii ukraińskiej i jej dynamicznych możliwości wykazały te ostatnie. Jedynie dzięki pasywności innych mocarstw, z których żadne nie odkryło, że problem ukraiński da się skapitalizować, właśnie śmiertelny wróg Ukrainy mógł z pożytkiem wygrywać kartę ukraińską. Mam na myśli zgłoszenie przez Moskwę w imieniu Sowieckiej Ukrainy prawnych i moralnych tytułów do części dawnych terytoriów państwowych Polski, Rumunii i Czechosłowacji, wyjednanie dodatkowego miejsca w Organizacji Narodów Zjednoczonych i prestiż moralny „wyzwoliciele” Ukrainy spod nazistowskiej okupacji.

Druga faza sowieckiej polityki obejmuje lata od zakończe-

nia wojny do śmierci Stalina. Okres ten charakteryzuje dążenie do restauracji stalinowskiego reżymu z lat trzydziestych. Słuby państwowej maszyny, rozluźnione przez zawieruchę wojenną, znowu są mocniej przykręcane. Przez Ukrainę przewala się kolejna fala czystek, rozwija się nagonka na „burżuazyjny nacjonalizm” i nowa kampania rusyfikacyjna. Oficjalne potępienie wiersza Wołodymyra Sosiury, „Kochajcie Ukrainę”, podczas wojny wielokrotnie przedrukowywanego przez prasę sowiecką, stało się, bolszewickim zwyczajem, rodzajem demonstracyjnego aktu, którym Partia deklarowała swoją linię generalną. Również na lata powojenne przypada intensywne zwalczanie zorganizowanego nacjonalistycznego podziemia i partyzantki.

Następny, trzeci, okres zaczął się po śmierci Stalina i trwa po dziś dzień. Po krótko można by go scharakteryzować jako kolejny zwrot w kierunku względnego „liberalizmu” i polityki koncesyj. Niniejszy artykuł poświęcony jest analizie tego okresu. Będziemy przedstawiać zjawiska nie w ich chronologicznym porządku, lecz według logiki przyczynowości. Omawiane fakty znane są ogólnie. Chodzi o ich prawidłową interpretację, o zidentyfikowanie sensu, przyczyn i prawdopodobnych następstw nowych posunięć Kremla w jego polityce ukraińskiej.

Pomijam kwestię czy i w jakim stopniu ten zwrot taktyczny związany jest z walką u komunistycznej góry, a zwłaszcza z aferą Berii. Na ten temat jedynie parę krótkich uwag. Jeżeli przyjąć, że zarzut wysunięty przeciw Berii, iż w walce o władzę pragnął oprzeć się o odśrodkowe tendencje narodów nierosyjskich, odpowiada rzeczywistości, trudno oprzeć się wrażeniu, że dojrzały tu procesy kapitalnej wagi, które w dalszym rozwoju mogłyby radykalnie zmienić układ polityczny w sowieckim imperium. Ale rozwój ten został zduszony w zarodku. Z drugiej strony, jeśli „nowy kurs” wobec Ukrainy po śmierci Stalina istotnie powstał z inicjatywy Berii, to upadek tego ostatniego wprawdzie sprowadził ów kurs do węższego koryta, ale go nie zlikwidował. Chociaż koncesje poczynione Ukrainie są skromne, sam fakt „nowego kursu” nie podlega wątpliwości. Obserwując obecną sytuację na tle całkiem jeszcze świeżych wspomnień stalinowskiego reżymu, dojrzymy wyraźne zmiany w zestawieniu z niedawną przeszłością.

OBJAWY NOWEGO KURSU

Największą nowość w stosunku do lat przedwojennych i bezpośrednio powojennych stanowi fakt, że kierownicze stanowiska na Ukrainie znajdują się przeważnie w rękach miejscowych. Z prasy znamy skład rządu Republiki, Centralnego Komitetu Partii, Najwyższej Rady USSR, jak również nazwiska sekretarzy Obkomów, dyrektorów ważnych państwowych przedsiębiorstw i reprezentatywnych działaczy kulturalnych. Osobis-

tych danych o nich mamy niewiele, można jednak sądzić choćby na podstawie brzmienia nazwisk, że w większości są to Ukraińcy. W przededniu wojny w centralnych instytucjach państwowych i partyjnych USSR Rosjanie stanowili 65 procent, zaś Ukraińcy 35. Obecnie sytuacja odwróciła się: Ukraińcy stanowią 62 procent, zaś przedstawiciele innych narodowości (przeważnie Rosjanie) — 38. Kluczowe stanowiska sekretarzy Obkomów obsadzone są przez Ukraińców w 72 procentach. Według danych z czerwca 1955 roku, w rządzie, liczącym 36 osób, Rosjan było siedmiu (dla orientacji podajemy, że Ukraińcy stanowią 75 do 80 procent całego zaludnienia USSR).

Nowy kurs znalazł swój symboliczny wyraz w tym, że po odwołaniu ostatniego stalinowskiego satrapy, Mielnikowa, któremu zarzucano „odchylenie od zasad leninowskiej polityki narodowościowej”, pierwszym sekretarzem CK, KPU został Ukraińiec Kiryzenko. Jest to jedyny wypadek na przestrzeni trzydziestu pięciu lat istnienia USSR, że najważniejsze stanowiska w Republice zajmuje autochton.

W ostatnich dwóch latach przeprowadzono dość znaczną reorganizację państwowej struktury USSR, i to w sensie jej częściowej decentralizacji. Szereg ministerstw, jak: przemysłu węglowego, ciężkiej metalurgii, poczty, wyższego szkolnictwa i kultury przetworzono z „wszechzwiązkowych” na „związkowo-republikańskie”. Nie ulega wątpliwości, że w dziedzinie gospodarczej i kulturalnej kompetencje ukraińskiej biurokracji znacznie zwiększyły się.

Jednocześnie zwiększa się waga ukraińskiego elementu w skali ogólnozwiązkowej. Kiryzenko należy od roku 1953 do Prezydium CK, KPZS. W skład centralnego rządu wchodzi co najmniej dziesięciu byłych ministrów USSR, przeniesionych do Moskwy. Wśród jedenastu nowych marszałków Związku Sowieckiego, mianowanych w kwietniu 1955 roku, jest pięciu Ukraińców (*). Amerykańska prasa poświęciła wiele uwagi niedawnej wizycie sowieckiej delegacji rolniczej, która zwiedziła stan Iowa; ci „Rosjanie”, jak o nich pisano, to prawie wszyscy — od kierownika delegacji, ministra rolnictwa Mackiewicza poczynając — Ukraińcy.

Można domyślać się, że intensywniejszy udział Ukraińców w aparacie państwowym wpłynął na osłabienie masowego terroru. Pomimo nieustannej kampanii przeciw „burżuazyjnemu nacjonalizmowi”, w ostatnich latach nie było masowych akcji przeciwukraińskich, które tak tragicznie zaznaczyły się w latach trzydziestych. Charakterystyczne, że różni działacze kulturalni, pisarze, uczeni, których ostatnio publicznie oskarżano o „nacjo-

(*) Nie jest jednak przypadkowe, że żaden z sowieckich marszałków ukraińskiego pochodzenia nie dowodzi na terenie Ukrainy. Na czele czterech wojskowych okręgów, z których składa się USSR, stoją Rosjanie. Najprawdopodobniej chodzi o przeciwwagę ustępstw poczynionych ukraińskim komunistom w dziedzinie administracyjno-gospodarczej.

nalistyczne odchylenie”, wykreślali się samokrytyką, pozostając przy życiu, a nawet na dotychczasowych posadach. W latach trzydziestych, ataki prasowe tego rodzaju z reguły stawały się prologiem fizycznej likwidacji.

Należy podkreślić pewne koncesje w dziedzinie kultury; jak: przyznanie większych praw ukraińskiemu językowi w szkolnictwie; podobne zjawisko w praktyce administracyjnej; zwiększenie ruchu wydawniczego; rozszerzenie działalności Akademii Nauk USSR nie tylko w dziale przyrodniczo-technicznym, ale również w dziale nauk społecznych i humanistyki. Wprawdzie podręczniki przeznaczone dla masowego użytku roją się od przekręceń i fałszów, jednak jednocześnie rozwija się poważna praca badawcza. Wielkie znaczenie mają przedruki klasyków ukraińskich, wydawane w wielkich nakładach i znów rosnąca, po dłuższej przerwie, ilość przekładów ze światowej literatury. Oczywiście swoboda badania i twórczości jest znacznie mniejsza niż w latach dwudziestych, w okresie NEP'u i „ukrainizacji”, a przecież i tamte stosunki, stanowiące apogeum sowieckiego liberalizmu, nie odpowiadały zachodniemu pojęciu wolności w kulturze. Bowiem oprócz zwykłych ograniczeń, wynikających z samego charakteru dyktatorskiego reżymu, na ukraińskiej kulturze ciąży ponadto pozycja zniewolonego narodu tak iż ukraiński uczony czy pisarz nie ma nawet tych twórczych możliwości jego rosyjski kolega. Wypada jednak stwierdzić, że w zestawieniu z tą akcją niszczącą, jakiej poddano kulturę ukraińską w latach trzydziestych, obecna sytuacja jest lepsza i normalniejsza.

W roku 1954 — w związku z obchodem 300-ej rocznicy Ugody Perejaśławskiej, o czym będzie mowa w dalszym ciągu — nastąpił fakt, który należy uważać za najważniejszą koncesję polityczną. Oto w dniu 19 lutego okręg Krymski, stanowiący dotychczas część RSFSR, przyłączono do USSR.

O organicznym związku Krymu z Ukrainą przesądza geopolityka i ekonomia. Ukraina posiada również prawa historyczne i etniczne, skoro rozwój tego obszaru od najwcześniejszych czasów uzależniony był od ziem ukraińskich i skoro Ukraińcy wraz z Tatarami tworzyli zawsze rdzeń autochtoniczny wśród bardzo mieszanej ludności krymskiej. O przyłączenie Krymu do Ukrainy starały się w niedawnej przeszłości różne polityczne czynniki, od konserwatywnego rządu hetmana Skoropadskiego w 1918, do charkowskich „narodowych komunistów” z lat 20-tych. Choć Ukraińcy nie mieli tam większości, jednak znaczenie Krymu dla Ukrainy jest większe niż niektórych etnograficznych ukraińskich ziem. Na przykład bez zachodnich Kresów można sobie doskonale wyobrazić istnienie niezależnej Ukrainy. Natomiast Krym w obcych rękach — zważywszy dominującą pozycję strategiczną Sebastopola w północnej części Czarnego Morza — to lufa rewolweru, przyłożona do piersi Ukrainy.

Czym kierowała się Moskwa, przekazując Krym Sowieckiej

Ukrainie? Włączenie Krymu do RSFSR stanowiło swego rodzaju anomalię w administracyjnej strukturze Związku Sowieckiego. Ta nienaturalna sytuacja drażniła Ukraińców, którzy odczuwali to jako rosyjskie okrażenie, toteż dążąc do odprężenia rosyjsko-ukraińskich stosunków, postanowiono zlikwidować jedną z przyczyn niezadowolenia. Należy założyć, że przyłączenie Krymu społeczeństwo ukraińskie przyjęło z satysfakcją, jako spełnienie starego i w pełni uzasadnionego postulatu. Moskwa niczego nie utraciła, bo i tak cała USSR znajduje się pod jej władzą. Ale również wydaje się pewne, że sam fakt włączenia niezmiernie ułatwi rozwiązanie krymskiego problemu po myśli ukraińskiej, gdyby w przyszłości problem ten stał się aktualny w międzynarodowej skali.

Być może, Moskwa miała na myśli jeszcze jeden cel, mianowicie chciała podzielić się z Ukraińcami odpowiedzialnością za zbrodnię ludobójstwa, popełnioną na krymskich Tatarach. Tu trzeba wtrącić parę słów na temat ukraińsko-tatarskich stosunków. Mały naród tatarski (w roku 1939 liczył około dwustu tysięcy, co stanowiło jedną piątą całego zaludnienia Krymu) był liczebnie za słaby, aby stworzyć własne państwo. Antyukraińskie animozje Tatarów podczas rewolucji oddawały Krym kolejno w ręce białogwardystów i bolszewików, zamieniając go w bazę rosyjskiej agresji przeciw Ukrainie. Na powtórzenie tej sytuacji Ukraina nie mogłaby zgodzić się w przyszłości. Również nie mogły odpowiadać Ukrainie plany niektórych tatarskich patriotów, którzy chcieli tureckiego protektoratu na Krymie. Z ukraińskiego punktu widzenia plany te stanowiły próbę popsucia stosunków ukraińsko-tureckich, mających wszelkie szanse po-myślenia się. Jednak uzasadnione interesy Ukrainy na Krymie bynajmniej nie są sprzeczne z żywotnymi prawami tatarskiego narodu. Naturalne rozwiązanie — to autonomia Krymu w związku z Ukrainą, i tak to sobie zawsze wyobrażała polityczna myśl ukraińska.

Ukraińcy, którzy sami tyle wycierpieli od rosyjskich bolszewików, w żadnym wypadku nie mogą pochwałać zbrodni, popełnionej przez Moskwę na narodzie tatarskim, który został wysiedlony z ojczyzny. Że ten akt ludobójstwa przeprowadzono bez żadnego, pośredniego czy bezpośredniego udziału ze strony ukraińskiej, nie potrzeba udowadniać. Tym niemniej przyłączenie Krymu do USSR stwarza dla Ukraińców moralną odpowiedzialność wobec Tatarów. Przyszła Ukraina powinna zająć się zorganizowaniem powrotu tatarskich wysiedleńców na równi z repatriacją zesłanych Ukraińców i zażądać od Rosji odszkodowania dla pokrzywdzonych Tatarów.

Najbardziej rzucają się w oczy zmiany w sowieckiej polityce wobec Ukrainy w dziedzinie ideologiczno-propagandowej. Stalinizm głosił, że Rosja jest „starszym bratem” wszystkich narodów Związku Sowieckiego, a przede wszystkim Ukrainy. Ten akcent został obecnie przygłuszony. Raczej mówi się

o współpracy „dwóch równoprawnych bratnich narodów”. Sakramentalna formułka: „wielki naród rosyjski”, znalazła nagle dopełnienie w identycznej formułce o „wielkim narodzie ukraińskim”. Wobec innych narodów tego się nie stosuje. A zatem w Związku Sowieckim znalazły się już dwa, nie jeden, i jedynie dwa „wielkie narody”! Co więcej: coraz to powtarza się i podkreśla, że Ukraina jest państwem suwerennym, że USSR jest „niezależna i zjednoczona”, nie zapominając jedynie o dodatku, iż swoją wolność narodową i zjednoczenie zawdzięcza sojuszwowi i „braterskiej pomocy” Rosji.

W ostatnich czasach nie brakuje dowodów że polityka sowiecka ma na celu stałe podkreślanie międzynarodowo-prawnego stanowiska USSR jako państwa(*). Sowiecka prasa ukraińska szczegółowo zdaje sprawę z działalności delegacji USSR w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ciekawe, że delegaci ukraińscy specjalizują się w zagadnieniach kolonialnych. Premier USSR, Kalczenko, wszedł w skład ogólnosowieckiej delegacji na wschodnio-europejską konferencję bezpieczeństwa, która odbyła się w Warszawie, w grudniu 1954. Wszystko po to, by uwydatnić, że Ukraina, chociaż część składowa ZSSR, jest również członkiem komunistycznego bloku. We wrześniu 1954 USSR zawarła z Polską konwencję o kulturalnej współpracy. Ukraińskie zespoły artystyczne podróżują między Berlinem i Pekinem. Praktyczne znaczenie tego wszystkiego jest, oczywiście, niewielkie. Chodzi tu raczej o koncesje prestiżowe i symboliczne, niż realnie-polityczne. Jednak stwierdzamy w tym coraz wyraźniejszą intencję wyjścia na spotkanie przebudzonej ukraińskiej świadomości narodowej.

Wiedząc, jak bardzo sowiecki rząd dba o ideologiczne dekoracje, nie mamy wątpliwości, że chodzi o zjawisko wielce znamienne, które zasługuje na dokładną analizę.

PEREJASŁAW W HISTORII I MITOLOGII

Nowa linia generalna znalazł swój wyraz w niezwykle huczonym obchodzie trzechsetlecia Perejasławskiej umowy. Uroczystości trwały bez przerwy od zimy do lata 1954-go, stanowiąc niewątpliwie jedno z największych widowisk propagandowych, jakie kiedykolwiek zaaranżowano w Związku Sowieckim. Rewie, uroczyste sesje we wszystkich instytucjach, od Najwyższej Rady i Akademii Naukowej po rady wiejskie; bankiety, przemówienia, odznaczenia, specjalne „tezy”, ogłoszone przez CK, KPZS — wszystko to świadczy o wadze, nadawanej temu świę-

(*) Przypomnijmy, że USSR już dawniej była stroną w paryskiej umowie z 1947 roku, oraz podpisała Dunajską Konwencję w roku 1948; poprzez aneksję południowej Besarabii Ukraina stała się państwem nad-dunajskim.

tu przez władzę sowiecką. Gdyby się nam udało we właściwy sposób rozpoznać sens tego wyolbrzymienia „Perejaśława”, który stał się symbolem nowej polityki sowieckiej wobec Ukrainy, otrzymalibyśmy klucz do obecnej sytuacji politycznej.

Znakomity historyk kozaczyzny, Wiaczesław Łypynskyj, stwierdza w swojej monografii, „Ukraina na przełomie” (1920), poświęconej ostatnim latom Bohdana Chmielnickiego, że, mówiąc o Ugodzie Perejaśławskiej, musimy wyraźnie odróżniać fakty historyczne od legend, które narosły dokoła tego wydarzenia.

Perejaśław był tylko jednym z epizodów, choć oczywiście ważkim w dyplomatycznej grze wielkiego hetmana i w zasadzie nie różnił się od kozackich traktatów, wcześniejszych i późniejszych, z Polską, Turcją czy nawet Szwecją. Nie jest naszym zadaniem omawianie go z punktu widzenia historycznego czy też prawnego. W każdym razie o przyłączeniu Ukrainy nie może być mowy, już choćby dlatego, że i po Perejaśławiu występuje ona jako niezależne państwo, prowadzi własną politykę wojskową i zagraniczną, niekiedy całkowicie rozbieżną z moskiewską, zaś próby ingerencji Moskwy w wewnętrzne ukraińskie sprawy hetman Chmielnicki likwidował w zarodku. Nie ideał rosyjsko-ukraińskiej „jedności” lecz wyłącznie ukraińska racja państwowa powodowała Chmielnickim i jego współpracownikami, gdy zdecydowali się przyjąć moskiewski protektorat, który w ich oczach był jedynie przemijającym aliansem. Można spierać się, czy ten krok odpowiadał dobrze pojętym politycznym interesom chwili, czy nie stanowił tragicznej pomyłki.

W nowoczesnej historiografii ukraińskiej przeważa myśl, że w stronę Moskwy popchnęła Ukrainę przede wszystkim polska polityka. Szlachecka Polska, nie będąc w stanie utrzymać kozackiej Ukrainy, jednocześnie nie zgadzała się na jej państwową emancypację i narzucała długą i rujnującą wojnę, co uniemożliwiało konsolidację młodego państwa. Gdy ponadto w roku 1653 powstało niebezpieczeństwo polsko-tatarskiego sojuszu, hetman musiał szukać radykalnego wyjścia z tej sytuacji. Aby asekurować się wobec hegemonijnych ambicji moskiewskich, Chmielnicki zacieśniał współpracę z blokiem państw protestanckich (Szwecja, Prusy, Siedmiogród), a także próbował porozumieć się z Portą Otomańską z pominięciem jej krymskiego wasala.

Jeśli Perejaśław stał się bazą wyjściową dla późniejszego podboju Ukrainy, to dlatego, że po śmierci Chmielnickiego jego plany, w których Uгода Perejaśławska była jedynie jednym z taktycznych etapów, nie zostały zrealizowane. Jak słusznie podkreśla Wernadskij, gdyby kozacka Ukraina również i w drugiej połowie XVII wieku zachowała swoją jedność terytorialną, a zwłaszcza gdyby zgodnie z planami Chmielnickiego rozszerzyła swoją jurysdykcję na całe Podole, Wołyń, Ziemię Halicką i południową Białoruś, czyli w przybliżeniu na całość ruskich ziem

Rzeczypospolitej, wówczas Moskwa nie miałaby najmniejszych szans polknięcia takiej Ukrainy i niezależnie od tego jakby się układały stosunki kozacko-moskiewskie, byłyby to stosunki między równorzędnymi partnerami.

Tak więc nie za Chmielnickiego, ale znacznie później, już na ruinach niezależnej kozackiej Ukrainy, w XVIII i XIX wieku rozwinęła się „perejaśławska legenda”. Przeszła ona zresztą przez dużą ewolucję. W pierwszej fazie, w XVIII stuleciu, gdy jeszcze istniała autonomiczna Hetmańszczyzna, uważano, że status Ukrainy, zdeterminowany Ugodą Perejaśłowską, odpowiada czemuś w rodzaju protektoratu czy też unii dynastycznej. Stwierdza się ścisły związek między Ukrainą i rosyjskim tronem przy jednoczesnym zachowaniu Ukrainy-Małoszji, odrębnej od Moskwy-Welkorusji. Natomiast według drugiej wersji, która zapanowała w wieku XIX, „małoszjski naród” pod przewodnictwem Chmielnickiego po prostu i z własnej woli przyłączył się do rosyjskiego państwa.

Chociaż historycznie fałszywa, legenda perejaśławska odegrała pierwszorzędą funkcję w rosyjskiej ideologii tzw. petersburskiego okresu. Legitymowała ona przynależność Ukrainy do imperium, pomagając maskować podbój i niewolę. Nie mniejsze było znaczenie legendy i dla tej części ukraińskiego społeczeństwa, która stanęła na platformie aktywnego współdziałania z imperium, zatem dla zrusyfikowanych i poszlachconych potomków dawnej kozackiej arystokracji. Mit o „dobrowolnym” przystąpieniu ich przodków pod „wysoką rękę prawosławnego cara” pozwalał im czuć się w cesarstwie nie w sytuacji narodu niewolnego, lecz częścią wszechrosyjskiej warstwy kierowniczej, i służyć monarsze wiernie i uczciwie.

(Dokończenie nastąpi)

Iwan ŁYSIAK-RUDNYCKI

(Z ukraińskiego przełożył Józef ŁOBODOWSKI)

Sprawy i troski

Witamina „P”

„Frontem do dziecka” — tak można by określić hasło, pod którym w prasie emigracyjnej ukazują się coraz liczniej coraz bardziej alarmujące artykuły. Urządza się konkursy na utwory wierszowane o patriotycznym charakterze dla małoletnich, organizuje zbiórki, uświadamia rodziców, a niejedno stowarzyszenie skwapliwie wysuwa na pierwsze miejsce swoich osiągnięć i swoich tytułów do poparcia i do istnienia — opiekę nad jakąś grupką szkolną, o którą do tej pory nie przyszłoby mu do głowy zatroszczyć się w obliczu innych, bardziej palących rozgrywek i manifestacji. Czyż nie zdarzyło się dwa czy trzy lata temu pewnej nauczycielce usłyszeć w odpowiedzi na propozycję zorganizowania polskich kompletów dla dzieci, że to zbyt ciężkie, na emigracji bowiem po większej części są albo inwalidzi, albo kawalerowie, którzy, naturalnym biegiem rzeczy, dzieci nie posiadają?

Tymczasem dzieci są, i jak okazuje się — jest ich nawet bardzo dużo. Ocykając się z dziesięcioletniego snu ci, którzy myśleli że na nich zaczynają się i na nich kończą wszelkie problemy, czując za plecami luz, robią półobrót i na gwałt ustawiają się frontem do dziecka. Historia się powtarza. W roku 1841, po dziesięciu więc, tak samo, latach wygnania, grupka polskich emigrantów „nie tracąc nic ze swej wiary zdała sobie sprawę z rzeczywistości”. Takim sposobem w roku owym powstała tak zwana szkoła Batignolles.

Była to nie szkoła a raczej zakon, w którym, od najmłodszych lat hodowano Sprawie przyszłych krzyżowców i męczenników w najsurowszych warunkach i najsroźszej dyscyplinie. Wikt był więzienny, traktowanie katorżnicze, atmosfera mistyczna i, chociaż wtedy jeszcze nie znane były witaminy, można powiedzieć że komu jak komu, ale drugim pokoleniom wielkiej emigracji administrowano witaminę P, witaminę romantycznej polskości, w potężnych dawkach, zastrzykami. Dla wychowanków Batignolles Polska była rajem utraconym, ziemią obiec-

ną, Chrystusem narodów oczywiście, miejscem wszelkich sublimacji.

Jakie wyniki dało owo forsowanie patriotyzmu? Takie, że kiedy po odzyskaniu niepodległości niektórzy z batignolczyków znaleźli się w Polsce, poczuli się jakby spadli z księżycy, osamotnieni na ziemi, która w niczym nie przypominała nieziemskiej wizji, wtłaczanej im latami do wyobraźni i do serc. Biegli więc czym prędzej na łono konsulatu francuskiego szukać ludzi, których nie trzeba im było zdejmować z żadnego piedestału oraz w miarę możliwości przyspieszali powrót do miejsca niby wygnania, skąd dystans od ideału był bardziej bezpieczny.

Widocznie więc wstrzykiwana w zbyt końskich dawkach witamina P daje skutki niezamierzone przez hodowców. Cóż zostało? Łezka, która się kręci w oku siwych, nielicznych już dzisiaj staruszków z baretkami Legii Honorowych w klapie, gdy ktoś wymówi w ich obecności słowo: Polska, życzliwość dla rodaków w przejeździe, sentyment z daleka.

A my? Dziesięć lat minęło, jak wyżej. Łapiemy się za głowę i zaczynamy zastanawiać się: co z naszymi dziećmi? Z tymi, których wbrew gorszym przypuszczeniom i mimo znacznego procentu kawalerów i inwalidów narodziło się sporo?

Przed wszystkim strzała pod adresem rodziców, tych, którzy się oglądali do tej pory aż ktoś za nich przejmie odpowiedzialność za potomstwo. Dziwna rzecz, że problem obcenięcia dzieci jest tak palący aktualny w polskich przede wszystkim rodzinach. I to już od pierwszych kroków, pierwszych słów. Inne emigracje radzą z tym sobie, i radziły, jakoś bez tak wielkiego hałasu. Twierdzą że tam, gdzie matką jest Polka, wychowanie dziecka w polskiej mowie powinno być rzeczą biologicznie naturalną, zrozumiałą sama przez siebie. Średniowieczni Normanowie, płynąc w górę rzek, zdobywali miasta, osiedlali się, panowanie ich jednak trwało tylko jedno pokolenie, gdyż do swoich wikingowskich łodzi nie zabierali kobiet ze swego kraju. Pojmując żony z pokonanego, częstokroć wytępionego szczepu „wzbudzali synów nieprzyjacielowi”, gdyż matki wychowywały dzieci w swoim języku. I tak fala najazdu choćby największa opadała zostawiając zaledwie ślady pokonanych, nie przerywając jednak jego ciągłości. Groźne kulturalnie były tylko te najazdy, gdzie za wojownikami przychodziły kobiety z ich własnego plemienia.

Problem odchodzenia dzieci od polskiego języka powinien więc istnieć tylko w małżeństwach mieszanych i to tylko wtedy — oprócz rzadkich łagodzących okoliczności — gdy matką jest cudzoziemka. Tymczasem jakże często spotyka się w czysto polskich domach dzieci, których już od pierwszych dni rodzice się wyrzekają sami, bez żadnej walki, bez trudu, bez zastanowienia się. Wychowanie dzieci we własnym języku, we własnych, o ile możliwości, tradycjach, poza wszelkimi względami patrio-

tycznymi i społecznymi leży przede wszystkim w *interesie prywatnym* rodziców. I tak ucierpią oni kiedyś przez nieuchronny rozdział dwu pokoleń, i tak odejdą dzieci od nich we własne życie. Tak dzieje się na emigracji czy nie na emigracji. Po cóż więc stawiać jeszcze pomiędzy nimi a sobą barierę językową, bardziej nieprzejrystą niż się zdaje? Po cóż przyspieszać własną samotność?

Jakże często wyczuwają to same dzieci.

— *Papa, pourquoi tu ne m'as pas appris le polonais?* — zapytał tydzień temu swego ojca pewien ośmioletni chłopiec, którego znam. W szkole spotkało go upokorzenie: jest tam kilku małych cudzoziemców. Holender, Turek i Belg popisywali się próbkami swoich języków na lekcji. Tylko on jeden nic nie umiał powiedzieć po polsku. — Jakto — dziwił się nauczyciel — przecież twój ojciec jest Polakiem?

Wszyscy się dziwią, wszyscy uważają to za rzecz naturalną. Polacy wolą jednak uczenie swoich dzieci polskiego podnosić do rzędu patriotycznego obowiązku, ofiary dla ojczyzny. Jakiej ofiary? Znajomość dwu języków nikomu jeszcze nie zaszkodziła, przeciwnie, może pomóc. A uniknie się przynajmniej tego, że dziecko, już po pierwszym roku w miejscowej szkole — gdzie sobie na pewno świetnie da radę — nie będzie musiało cierpieć nad nieprawidłowym akcentem francuskim czy angielskim rodziców, którzy sami wyzyli się wobec niego autorytetu, pasując się na śmiesznych cudzoziemców.

Oczywiście, utrzymanie języka mniejszościowego w czystości, rozwijanie go, bogacenie, wymaga czujności ze strony rodziców, pewnego jednak wysiłku. Ci, którzy podchodzą do tych spraw naturalnie i po prostu, bez wielkich słów, najmniej odczuwają ów wysiłek. Interes własny zgodny jest w tym wypadku z interesem społecznym. Antycypując przyszłe, rzekome, kompleksy dzieci, przyszłe ich niby trudności życiowe na obcym gruncie, rodzice polscy krzywdzą je i krzywdzą siebie, ulegając własnemu, typowemu kompleksowi niższości.

Jednak dom to nie wszystko, choć to prawie wszystko, podstawa. Potrzeba jeszcze jakiegoś: co dalej, potrzeba grupy, rówieśników, szkoły. O internacie podobnym do Batignolles, gdzieby oddawało się dzieci na kilkanaście lat na wychowanie, tymczasem nie oglądając ich prawie, oczywiście w obecnych warunkach i w obecnych czasach, trudno mówić. Mowa jest za to wciąż w alarmującym tonie o wegetujących liceach, o martwych przystaniach uniwersyteckich, chałupniczych wydziałach, a także, choć znacznie rzadziej, o szkołkach czwartkowych czy sobotnich, funkcjonujących gorzej lub lepiej, zależnie od lokalu, funduszu, mniej lub więcej przypadkowych sił nauczycielskich oraz dobrej woli rodziców, którym czasami wysiłek doprowadzenia dziecka na te kursa wydaje się ponad siły. Najmniej mówi się o przedszkolach czy ogródkach, gdzieby dzieci już w wieku 4 i 5 lat nie *uczyły* się, a *bawiły* po polsku. Gdzieby im nie

wstrzykiwano stężonej witaminy P, jak to się dzieje z konieczności na kompletach, ograniczonych brakiem czasu, przegrywających z góry stosunkiem 6:1 dnia tygodnia na korzyść szkoły obcej, ale gdzieby od początku, atrakcyjnie, nie nudnie, karmiono je zwykłymi listkami sałaty wierząc, że sam organizm przyswoi sobie taką ilość witaminy jaka mu potrzebna.

Jakże bowiem wymagać od dziecka, do którego rodzice sami zwracają się w obcym, skażonym języku (co nie wyklucza, że gniewają się przy gościach gdy nie chce się po polsku przywitać albo powiedzieć wierszyka), które cały tydzień chodzi do „prawdziwej” szkoły i musi w niej już czasem bardzo intensywnie pracować, ażeby w jedno popołudnie, przez dwie albo trzy godziny, połknęło taką dawkę polskości żeby jego proces obczeni odwrócił się albo zatrzymał? Biedne nauczycielki czwartkowych czy sobotnich kompletów wpadają w popłoch i z gorliwości przemieniają często te godziny na naukę skoncentrowanej historii, geografii, rocznicowości, patriotycznej abrakadabry, słowem administrują witaminę P, której młody organizm nie jest w stanie asymilować, bo to nudy. Przygotowuje się występy na rozmaite akademie, organizacje „wykazują się żywotnym udziałem młodego pokolenia”, a tymczasem dzieci nie mają okazji nauczyć się ze sobą obcować po polsku, kłócić, bawić, nazywać przedmiotów codziennego użytku, ptaków, kwiatów, wyrażać uczuć. Znają paręset słów, z których połowa obca, na wyrost, którym brak korzonków w zwykłej rozmowie i w zabawie w kotka i w myszkę.

Któż więc będzie chodził, kiedyś, do liceów, któż będzie zapelniał ławy choćby owych uniwersytetów? Któż wróci? Jeżeli już „frontem do dziecka” to przede wszystkim frontem do przedszkoli, przedszkoli z prawdziwego zdarzenia, wesółych, zabawnych, w których nauczycielka nie uważałaby za święty obowiązek oznajmiać na wstępie paroletnim berbeciom, że ich ojczyzna cierpi w niewoli i że pochodzą z narodu wiecznie pokrzywdzonych. Wbrew wierszowi wieszczą, używanie kajdanek i kazonnych tacek jako pomocy szkolnych nie jest, jak przeszłość wykazała, pedagogiczne.

Wielką pomoc dla rodziców i nauczycieli w tych bardzo delikatnych problemach wychowawczych dzieci, urodzonych nie u siebie, stanowi oczywiście książka. I to książka z obrazkami. Twierdząc, że „Słoń Trąbalski” przeczytany w odpowiednim czasie, dla przyjemności, więcej wpłynie na przyszłą przynależność dziecka niż późniejsza, przymusowa lektura „Księgi narodu i pielgrzymstwa”, na głosy.

Dobrze, ale skąd te książki brać?

Powiedzmy sobie szczerze, tak z ręką na sercu, że wydawnictw emigracyjnych, naprawdę nadających się dla dzieci, nie ma. Nie ma i już. Czyż można położyć na wagę tych parę książeczek skąpo ilustrowanych, drukowanych małymi literami, więc nieczytelnych, o treści zawilej i pretensjonalnie zdzienniającej albo

znów nieudolnej, bylejakiej? Pisemka znowu, stanowią raczej poradniki dla nauczycieli, będących pod stałym terrorem akademii rocznicowych, dla dzieci zaś nie są żadną atrakcją — w żaden sposób nie mogą równoważyć siły przyciągania „Tintin” albo Mickey Maus. Jeżeli do tej pory są na emigracji dzieci lubiące czytać samodzielnie po polsku, na razie „Kubusia Puchatka”, potem — miejmy nadzieję — „W pustyni i w puszczy” zawdzięczamy to tylko temu, że docierają do nas wydawnictwa krajowe. Któż zaprzeczy?

Należałoby dobrze zastanowić się, czy należy temu stawiać tamę, czy należy rozgraniczać „krajowe wierszyki dla krajowych dzieci, emigracyjne dla emigracyjnych”. Pierwszym, zupełnie zasadniczym punktem jest to, że „wierszyków” emigracyjnych nie ma, a zanim kiedykolwiek będą, dzieci, które by dziś je sobie poczytały, przestaną być dziećmi, podrosną, wezmą inną lekturę do ręki. Tymczasem książki krajowe, wydawane dla „krajowych” dzieci są dostępne już teraz, dla naszych. Wydawane z wielką dbałością o poziom graficzny, nie ustępują literaturze dziecinnej innych krajów, są kolorowe, zabawne, na pewno atrakcyjne, mogą więc zwerbować czytelników polskiej książki na całe życie. A o to przecież chodzi.

Ale treść? — ktoś się zaalarmuje. Oczywiście, należy samemu najpierw przejrzeć, wybrać, ale wybierać jest z czego. Na ogół biorąc większość książek dla dzieci, wychodzących obecnie w Polsce, to pozycje klasyczne, przedruki przedwojenne albo nowe utwory popularnych wśród dzieci autorów: Tuwim, Brzechwa, Krzemieniecka, Porazińska, Szelburg-Zarembina, Konopnicka, Fiedler, Makuszyński. Także tłumaczenia „złotych” pozycji, które wykarmiły pokolenia na całym świecie: Andersen, Carroll, Milne, Lagerlöf, Kipling, Amicis, Walter Scott. Trzeba wybierać, powtarzam, ale jest z czego.

Wierszyków o traktorach, planach sześciolletnich, towarzyszach Bierutach i dobrotliwym dziadziu z Kremla było, oczywiście, sporo. Wydawano je jednak coraz wstydliwiej, chociaż na konkursach zbierały nagrody (konkursy jakoś nie mają szczęścia ani tu ani tam, pisanie dla dzieci jest bardzo trudną sztuką), najwyżej w jakichś broszurkowych „Poczytaj mi mamo!” Choć dla sprawiedliwości muszę zaznaczyć, że nawet pośród tej kolekcji jest chociażby śliczna „Agata co nogą zamiata” Porazińskiej. Jeżeli chodzi o pisemka, takie ważne przez swoją ciągłość, w ostatnim roczniku „Swierszczyka”, który rozlatuje się już od bardzo gorliwego czytania przez pewną osobę, znalazłam zaledwie dwa czy trzy wierszyki „konkursowe”, pierwszomajowe i przyjaźnio-radzieckie oraz jeden portret: towarzysza Bieruta, w żałobnej obwódce, jako że akurat świeżo przeszedł do grona nieboszczyków. Miałam już ten numer skonfiskować, ale żal mi się zrobiło historyjki o marcu, który „stanął na podwórku mówiąc: wiosna, wylał z budy Burku”.... Zresztą zainteresowana osoba bardzo pilnuje kolejności numerów. A na okład-

kę nie zwróciła specjalnej uwagi — taki jakiś starszy pan. Za to nauczyła się historyjki o marcu nie wiadomo kiedy.

Od roku więc, odkąd umie sama czytać, przynosi „Swierszczyk” tej sześciolletniej osobie, na której mi bardzo zależy, opowiadania na jej poziomie „niezaangażowane” właśnie, o zwierzętach, porach roku, roślinach, szkole, dzieciach, Plastusiu i Scyzoryku, słowem sałatę, szczypiorek, dużo, dużo surówek, nie żadne witaminy w pigułkach. I tak się dzieje, że co środekteczka, gdzie przecież jest francuski, kolorowy elementarz i zeszyty z prawdziwymi stopniami, wędruje w kąt. „Swierszczyk” przyszedł. Potem nie można tej osoby dowołać się na kolację, bo musi doczytać do końca co się przytrafiło bałwankowi gdy spływał do morza. Ona to przeżywa, *po polsku* przeżywa. Czy mam prawo wyrzec się tego w jej imieniu, pozbawić jej tej szansy?

Co jeszcze? To chyba, o czym myślę od chwili gdy zasiadłam do pisania, o wyrażeniu napotykanym w prasie, które kłuje w serce: „krajowe i emigracyjne dzieci”. Dorośli mogą dzielić się na krajowych i na emigracyjnych, to jest podział przyrodniczy, w gruncie rzeczy taktyczny. Ale taki sam podział u dzieci z każdym dniem staje się bardziej faktycznym, zwłaszcza gdy go umiścimy w programie, zaakceptujemy z góry. Niepodobna wychowywać kogoś najpierw na emigranta, potem dopiero na Polaka. Drugim nie będzie, pierwszego mu nie życzę. To jest fatalny błąd, za który już tamci „wielcy” odpukutowali, pozbawieni wnuków. Nas, dorosłych, po tej i tamtej stronie dzieli wiele rzeczy, ale łączy jeszcze więcej. Ale co będzie łączyć nasze i ich dzieci? Tamte wychowane na surówkach, na świeżym powietrzu, u siebie, *pomimo* wszelkich konkursowych wierszyków, nasze na syntetycznej witaminie P, tylko *dzięki* konkursowemu wierszykom?

Tak, oczywiście, są dzieci krajowe i są dzieci emigracyjne. Nasze rosną w innych, czasami egzotycznych klimatach, chodząc do obcych szkół przyswajają sobie wraz z innym językiem inny sposób myślenia, inną kulturę, inny stosunek do życia. My im tego wszystkiego nie odbieramy, nie wpadamy w drugą ostateczność, która każe zamykać okna i drzwi i krytykować wobec dziecka wszystko, ku czemu ono się rwie, pchane przez instynkt społeczny, który w tym wieku uznaje tylko rzeczywistości, nie fikcje. To będą dzieci o dwu ojczyznach, niewątpliwie. Chodzi o to, aby jedna nie była wstrzykiwana gwałtem, za pomocą pustych słów, okolicznościowych frazesów, bo to jej zaszkodzi. Chodzi o to, żeby te dzieci były najpierw Polakami, same o tym nie wiedząc, na co dzień, w domu, między sobą, żeby nie miały wrażenia, że im się coś gwałtem wszczepia, że się je za rękaw od najlepszej zabawy ku czemuś bardzo smutnemu i wzniosłemu odciąga.

Ciekawym zbiegiem okoliczności po dziesięciu latach wychowywania na stężonej witaminie K — komunistycznej, prasa

w kraju również uderza na alarm: tracimy dzieci! Poddane od małości „masażowi ideologicznemu”, ucząc się zamiast katechizmu, że „Nasza Ojczyzna to Polska Ludowa. Ojczyzna to nie tylko nasza piękna, polska ziemia, przesiąknięta krwią i potem swych najlepszych synów, to także nasza ukochana Partia, nasz Rząd Ludowy” (czy to Państwu czegoś nie przypomina?) dostały rodzaju niestrawności ideologicznej. Polska, Ojczyzna, krew i pot, a także Partia i Rząd Ludowy nie znaczą dla nich nic. Sztuczne karmienie skończyło się klęską. Klęska ta jest tym groźniejsza, że przeforsowanie witaminy K spowodowało nie tylko wyłomy w szeregach narybku partyjnego czy swoisty „wallenrodyzm wdechowy”, ale także odebrały tej młodzieży młodość, zepchnęły ją w nihilizm ideologiczny i moralny, który nie wiadomo jeszcze jak się dalej rozwinie i czym się skończy.

Tak, tak, krajowe i emigracyjne dzieci nie wiele mają szans na to, aby się kiedyś dogadały. My jednak musimy się starać, aby te szanse powiększać ile się da, nie zmniejszać. Nie „zasuwajmy” więc zbyt „drętwej mowy” naszym, ażeby nie dochować się swoistych wdechowców emigracyjnych, którzy tyle się nasłuchują wielkich słów, tyle naliżą witaminy P, że będą na nią całkowicie nieczuli. Mniej pigulek. Więcej listków sałaty! I przedszkola. Więcej przedszkoli!

Nie jest to zagadnienie proste, zwłaszcza gdy je się rozwiązuje programowo, zza biurka i dlatego hasłem: „Frontem do dziecka” i „Fabrykujmy witaminę P” towarzyszy sekretne a melancholijne kiwanie głową, jak to zwykli robić sceptyczni Syzyfowie, którym się już nie takie przedsięwzięcia zaważyły. Tymczasem na pociechę i na podniesienie serc, chciałabym szepnąć, że nie jest tak źle. Rzeczy niemożliwe z daleka okazują się z bliska całkiem wykonalne. Nie trzeba tylko dać się paraliżować precedensami, za to korzystać z wszelkich pouczających analogii, chociażby ta ostatnia, krajowa, z witaminą K. W każdym razie wiem na pewno, że istnieje niejedna szkołka mniejszościowa (w braku wyżej wspomnianych przedszkoli niestety), do której dzieci ciągną matki za rękę, nie odwrotnie. Oto pierwszy cel, jaki sobie powinna każda taka szkołka postawić: atrakcyjność, aktualność, zabawność. Dla dzieci tych, tydzień liczy się nie od niedzieli do niedzieli, a od czwartku do czwartku (czy od soboty do soboty). W takiej szkółce marnotrawi się czas nawet na lepienie figurek z plasteliny oraz wycinanki. Kiedy właściwie odbywa się nauka, nie wiadomo, a jednak dzieci w końcu piszą, czytają i nawet wykazują pewne kompetencje w zawilej sprawie o kreskowanego i żet z kropką. Są to szkoły, gdzie nikt nie może mieć znużonej miny i każdy musi rozumieć to, co mówi: dwie zasady. Po skończonych lekcjach dzieciom trudno rozstać się ze sobą, żyły się, są pomiędzy swoimi, czują, że to jest ich świat, bardziej ich, niż ten na ulicy.

W ciągu tygodnia listonosz przynosi listy adresowane kufonami.

— To nie dla ciebie, mama, to do mnie od Krzysia.

Ważna jakaś sprawa, nie cierpiąca tygodniowej zwłoki. Odpowiedź komponowana jest z miejsca, ozdabiana rysunkiem. Odpadają więc dyktanda i przepisywania odtąd dotąd, dla ortografii. I wiadomo, że po powrocie z jednej z takich „prawdziwych” szkółek w wielu domach słysząc (bardzo zresztą fałszywe):

„Szewczyk się frasuje
Buty reperuje...”

A gdy zapytać, co znaczy frasuje, wiedzą! Ani się które spostrzeże, że w tej chwili tyka listek sałaty. Niech mu będzie na zdrowie.

Oczywiście, doświadczenie to jest czysto praktyczne i dotyczy osób najwyżej ośmioletnich. Jak podrosną, podrośnie i ono. Mam nadzieję, że będzie równie pocieszające.

Zofia ROMANOWICZOWA

“Chuligani”

Tuż po wyzwoleniu, kiedy ci, którym udało się uciec z rąk hitlerowskich oprawców jednym, strasznym głosem wołali o pomstę okupacyjnej krzywdy narodu, kiedy sztuka wspominała martwych, aby żywi nie zapomnieli — mówiono wówczas w Kraju o „zarażeniu śmiercią” psychiki społeczeństwa.

Dziś, kiedy po dziesięciu latach przemówiła nareszcie prasa krajowa, odkrywając przed społeczeństwem prawdziwe rozmiary zagrożenia życia obywateli przez bandytyzm, sądzę iż bez przesady można mówić o zarażeniu przestępczością całego nieomal narodu.

Trudno dać pewną i wyczerpującą odpowiedź na pytanie: Czemu należy przypisać niewiarygodny wzrost przestępczości w Kraju, i to specjalnie pośród młodzieży. Ale na pewno można wyliczyć wiele przyczyn rozprężenia moralnego, niszczącego naród od wewnątrz groźniej niż gruźlica.

Dorośli, kiedy przychodzi im sędzić młodych przestępców, nie czynią tego z lekkim sercem. Czują, że słusznie wymierzona kara spada nie tylko na kilkunastoletnich gangsterów, ale (choć bezimiennie) uderza w sumienia rodziców, szkół i instytucji, jednym słowem zmusza do rachunku sumienia całą wychowującą część narodu.

Nic też dziwnego, że wspomniana wyżej, dorosła część spo-

leczeństwa, za pierwszy i zasadniczy powód demoralizacji uważa okupację. Jest to niewątpliwie jeden z najważniejszych powodów, ale, niestety, nie pierwszy i nie ostatni. Winnych dzisiejszego stanu rzeczy jest więcej niż się to pochopnie przyjmuje. Cofnijmy się więc wstecz.



Jesteśmy narodem krewkim, do wypitki i do wybitki. To pewnik, ale proszę czytelnika, aby przyjął go bez uśmiechu. Nie w moich siłach udowodnić, czy takimi jesteśmy od zawsze, czy też takimi staliśmy się, uwarunkowani historycznie i ekonomicznie. Jedno jest faktem: nosimy w sobie bakcyll awanturnictwa, który w pewnych, sprzyjających okolicznościach rozwija się, aby zapanować nad nami. Wystarczy uważnie czytywać np. kronikę zagłębia węglowego w jednym z krajów zachodniej Europy, gdzie pracują razem Włosi, Polacy, Niemcy i inne pomniejsze grupy narodowościowe, aby zdać sobie sprawę, że we wszystkich bójkach, czy pijackich awanturach grupa polska jest stale reprezentowana, w stosunku nieproporcjonalnie wysokim do swej liczebności.

Wystarczy poczytać, mając na uwadze aspekt awanturnictwa, naszą literaturę, aby zdać sobie sprawę z tego, jak bardzo ceniliśmy i cenimy tzw. „krzepę” i „morowość”, inaczej mówiąc prawo mocniejszego. Tkwi to w naszej psychice tak głęboko, że kulturalni rodacy donoszą nam np. z Warszawy o entuzjastycznym wywalaniu drzwi sali teatru „na byka” przez młodzież bez biletów, chcącą ujrzeć francuskich aktorów. W krajach o wysokiej kulturze, o trwałych instytucjach i stałym dobrobycie państwo zapewnia wszystkim obywatelom możliwość korzystania z urządzeń społecznych i kulturalnych. Toteż zasmuca nas wyżej wspomniana reakcja wyposzczonej kulturalnie młodzieży, ale w wyczynie tym widzimy po prostu jedną więcej „grandę”, a nie dowód umiłowania teatru.

Polak, od dawien dawna, wie że racja jest zawsze po stronie mocniejszego. Wynika z tego, z jednej strony — pogarda dla „frajerów”, to znaczy dla słabszych, a z drugiej strony wynoszenie jako ideału młodości: cnót ringu, czy popisowego rzykanctwa. Tkwi w nas ta cecha, tkwi w uczuciach, boguduchawnych Polakach. Mecenas Stefan Korboński opisuje jak w roku 1947, chcąc się pożegnać ze swymi przyjaciółmi przed ucieczką z Kraju, posyła do ich willi dwu przebranych za UBowców kolegów, którzy łomocą do drzwi i wołają: „Otwierać! U.B. na rewizję!” po czym, obudzeni przyjacieli, kiedy ochłonęli z przerażenia, zostali zaproszeni na pożegnalną wódeczkę... Naprawdę, więcej w nas dziedzictwa po Panu Pasku, aniżeli po twórcach Konstytucji Trzeciego Maja...

Drugą ważną przyczyną dzisiejszego chaosu moralnego w Kraju jest odwieczny, dosłownie odwieczny, brak poszanowa-

nia dla praworządności. Nie są to bynajmniej cechy wyłącznie polskie, ale wzięwszy pod uwagę, że począwszy od siedemnastego wieku, bądź „stoimy nierządem”, bądź też jesteśmy okupowani, cechy te wrosły w psychikę Polaka i uniemożliwiły mu przejście na wyższy etap rozwoju kulturalnego.

Ludzi, dla których cnoty obywatelskie byłyby wartością ich życia osobistego, lub choćby tylko przejawiały się w zautomatyzowanej postawie jednostki wobec ogółu — ludzi takich — powtarzam, można by w naszym Kraju policzyć na palcach. Kto tu zawinił? Ileż okupacji, ileż własnych rządów-nierządów znosić musiał i znosi nasz naród — coś więc dziwnego, że nie miał dotychczas okazji, aby polubić, aby zacząć szanować tych, których rolą jest obrona tejże praworządności.

Cóż z tego że policjanci mówią po polsku? Dla masy obywateli są to *ludzie obcy*. W zbiorowej pamięci i wyobraźni narodu polski strażnik prawa miesza się z moskiewskim „rewirowym”, czy z pruskim żandarmem zamykającym polskie szkoły w poznańskim i na Śląsku.

Wszystkie prawa, nowe ustawy, a szczególnie zakazy uznawane były i są za... krępujące wolność. Konieczność dyscypliny obywatelskiej, takiej jak ją pojmują np. Anglicy — jak dotychczas, niestety, nie mieści się w głowie Polaka. Nie mówiąc już o tym, że nadużycia i przestępstwa polskiego aparatu policyjnego, tak przed wojną (a przede wszystkim w okresie okupacji niemieckiej), jak i obecnie, przyczyniły się waleń do wytworzenia jakiegoś noman's landu moralnego, gdzie aby żyć trzeba być mocnym i nieuchwytnym, gdyż tylko te „cnoty” poplają.

Trzecim źródłem rozprężenia obyczajów i wzrostu przestępczości, obserwowanych w Kraju, jest *okupacja hitlerowska*.

Rozkładający jej wpływ szedł w dwu kierunkach: 1) osłabienia, a nierzadko wywrócenia hierarchii rodzinnej; 2) „zawieszenia”, na czas walki z wrogiem, zasad moralności, na której zbudowane jest życie społeczne i jednostkowe, w przeciwieństwie do systemu naturalnego, gdzie hierarchia sił jest jedynym miernikiem wartości.

Okupacja groźnie naruszyła równowagę najcenniejszej komórki społecznej, rodziny. O ile czas pokoju jest czasem dorosłych, o tyle wojna jest czasem młodzieży. A w Polsce, nie tylko czasem młodzieży, ale i dzieci. Bo my strasznie lubimy, my, dorośli, przychodzić po wojnie na groby „orląt”. Nic też dziwnego, że w czasie okupacji byliśmy dobrymi instruktorami, ucząc młodych i pacholeta metod straceńczej walki. Cenzus wieku? „Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwał hydrze...”

Podziemie polskie, chluba naszej historii, mało niestety drugą stronę medalu. Wyrwawszy młodzież z tradycyjnej oprawy rodziny, włożyło na jej barki samodzielność, przeważnie zbyt ciężką na jej wiek. Nie było szkół. Dzieci zarabiała na chleb. Pamiętam jedenastoletniego Miśka, który w dniu imienin dał

matce w prezencie pół metra pszenicy, wyhandlowanej za ileś tam setek „Sportów”. Przy dzieciach „ubijało” się interesy, zapijając je wódką, przy dzieciach opowiadało się z uśmiechem o „wykończonych” Niemcach. Rabunek mienia niemieckiego, czy zabijanie (będące przecież karą i odwetem!) przestało być aktem gwałtu, stając się czynem patriotycznym. Miłość ojczyzny należała, jak widać, do sfery aktów i uczuć pozamoralnych. Dlatego po wojnie tak trudno było „przestawić” amoralnego mieszkańca General Gouvernamentu na spokojnego obywatela. I byłoby to rzeczą równie trudną, wymagającą wielu lat i ogromnych środków, gdyby nawet zabiegała o to władza naprawdę narodowa, a nie rząd-nierząd, przywieziony w jaszczach Czerwonej Armii. Okupacja wyłączyła w nas sumienie, każąc wszystko przeliczać na trupy wroga.

W kilka miesięcy po uwolnieniu z obozów niemieckich, jeden ze studentów polskich, były akowiec, idąc po molo, w Ostendzie i patrząc na mrowie opalających się Belgów, rzekł do kolegów, Polaków: „Tak jeden granat między nich, i byłoby po wszystkim!”

Taką młodzież, taki naród przejął z rąk gestapowców reżym warszawski.



To co się działo po roku 1944-ym w Kraju wymaga nie jednego, lecz stu artykułów. Wszystkie dziedziny, wszystkie bez wyjątku, dotknięte zostały jakąś krzywicą moralną. Zło, które próbowano umiejscowić jedynie w dziedzinie polityki, zaistniało wszędzie — bowiem nie tylko w życiu politycznym uczynki miały się z myślami. Inteligencja zrezygnowała ze swych zasad moralnych zdumiewająco szybko.

Zaczęli niewątpliwie pisarze. Z pośpiechem godnym lepszej sprawy sprzedawali się, jedni po cichu i wstydliwie, inni uroczyście, chciałoby się rzec w czasie sumy, jak np. Jerzy Andrzejewski. Po pisarzach przyszła kolej na innych. Wykruszył się PPS, i PSL — najlepiej, stosunkowo, trzymała się prawica, mająca oparcie w jedynej, rzeczywistej sile, której reżymowi nie udało się złamać — w Kościele (*).

Spółeczeństwo, przez dziesięć lat uzależnione od jedyne go prawo- i pracodawcy, cofnęło się na wszystkich polach. Ale największe szkody poniosła młodzież. Przez dziesięć lat Kraj nasz stał się widownią walki o duszę dzieci. Po jednej stronie dom i Kościół, a po drugiej reżym nie przebiegający w środkach. Po jednej stronie wystraszeni rodzice, powtarzający z uporem *nie*, po drugiej istny aparat kuszenia i przewrotności, zbudowany według wypróbowanych wzorów sowieckich.

(*) Grupie PAX'u, umiejscowiającej idealizm z cynizmem — hojnie opłacanej przez reżym — nie udało się, mimo starań, rozbić hierarchii Kościoła.

Dzieci chodzą w niedziele do kościoła? Na godzinę przed mszą zajeżdżają przed szkołę ciężarówkami i dalej na majówkę! Rodzice ośmielią się zatrzymać dziecko w domu? Nie, gdyż ojciec nie chce stracić pracy.

W klasie młodzi dowiadują się, że ojcowie ich żyli i współuczestniczyli w najohydniejszej z epok, w dwudziestolecie, i już choćby z tego powodu nie mogą pojąć „nowego”.

Dom nie pozostaje dłużny. Tak samo ambona. Wszystkie poczynania władz otrzymują natychmiast komentarz, najczęściej w formie dowcipu czy drwiny, która obiega Kraj i Emigrację. Ta metoda wzajemnego ośmieszania się przynosi owoce. Jak dwa przeciwne znaki algebry, rachunek końcowy równa się zeru. Chłopiec i dziewczyna gardzą zarówno „reakcyjnym” domem, jak i grubą propagandą, czy nudnymi pogaduszkami w świetlicy.

Jak kilkuletnie dziecko, skarcone przez ojca garnie się do matki, aby za chwilę, kiedy zajdzie potrzeba, wybrać ojca na pocieszyciela — tak samo pozwolono lawirować młodym. Moralność ustąpiła miejsca taktyce. W miejscu, gdzie dom i szkoła miały, pracując ręką w rękę, zaszczerpić poczucie moralności, powstała próżnia. Nie na długo. Wkrótce bowiem wypełniło ją zdziczenie obyczajów.

I dziś, kiedy nareszcie przemówiła prasa, wszystkich ogarnęło przerażenie. Okazało się że Polska jest krajem dzikim. Tramwaj i ulica wielkomiejska stały się równie niebezpieczne jak dawniej rozstajne drogi czy las. Wszędzie można postradać zdrowie, czy nawet życie. W roku 1955-ym, w samej tylko Warszawie, milicja zanotowała 14.000 wybryków i napaści chuligańskich. Przestępcy są o wiele liczniejsi i groźniejsi niż dawniej, i, co najtragiczniejsze, rekrutują się przede wszystkim spośród młodzieży. Pośród zmęczonego, zaharowanego narodu, ci swego rodzaju nihilści, są odłamem prężnym i po ryzykancku śmiałym. Ich przestępstwa i zbrodnie nie atakują narodu *od zewnątrz*, ale tkwią w nim jak rak podkopujący organizm.

Kiedy już reżym zdał sobie sprawę ze swej bezsilności, prasa wszczęła gorącą kampanię, próbując jednak znaleźć przyczyny obecnego chaosu wszędzie indziej tylko nie w aktualnym systemie politycznym i ekonomicznym.

Niestety, przez dziesięć lat władze bezpieczeństwa i milicja zajęte były wyłapywaniem „wrogów ludu rozsypujących stonkę ziemniaczaną”, a zbrodni pozwolono urósć. Dziś, po raz pierwszy przestano przypisywać złu pochodzenie amerykańskie i zaczęto szukać przyczyn lokalnych.

O ile z początku prasa zajmowała się w ogóle problemem upadku obyczajów, o tyle, już po niedługim czasie, największym zainteresowaniem obdarzyła i obdarza po dziś dzień *jeden* spośród wielu objawów zdziczenia, *chuliganstwo*. Słowo to przykrywa treści bardzo różnorodne, od sztubackiego wybryku — po

zbrodnię. Należą tu wszelkie bijatyki, pijackie awantury, bezmyślne okrucieństwo, jednostkowe czy zbiorowe znęcanie się nad ofiarą — a wszystko czynione wyzywająco i „dla sportu”.

Wśród *chuliganów*, których cechuje nie tylko nihilistyczna postawa wobec społeczeństwa, ale również specjalny ubiór i język, specjaliści stwierdzają istnienie typu bardziej wyrafinowanego; tzw. *wdechowca* („być w dechę”), osobnika nie różniącego się niczym na pozór od otoczenia i nie popadającego w konflikt z prawem — będącego jednak istotą całkowicie amoralną, dwulicową, czerpiącą przyjemności właśnie z takiego lisiego, drwiącego z wszystkiego i ze wszystkich, życia.

Ala to jeszcze nie wszystko. Pijaństwo, będące i tak już naszą cechą narodową, wzrosło do rozmiarów zastraszających. W porównaniu z rokiem 1938 spożycie alkoholu zwiększyło się *dwukrotnie*. Piją nie tylko dorośli. Pije przede wszystkim młodzież. Ankiety, przeprowadzone ostatnio w Kraju, wykazały że w szkołach ogólnokształcących ponad 75% chłopców pije wódkę, a pośród dziewcząt niemal połowa. Ta sama ankieta ujawniła, że 14% *dzieci szkolnych zaczęło pić przed dziesiątym rokiem życia*.

Państwo niszczy zdrowie swych obywateli i jeszcze czerpie z tego procedury poważne zyski. Produkcja alkoholu ustalana jest według chłonności rynku. Punkty rozsprzedaży, zachęcane premiami i... karami w razie nie sprzedania towaru, „rozprawdzają” wódkę, bijąc i tu normy. A wytwórnice państwowe, zachęcane wciąż rosnącym zapotrzebowaniem, produkują wciąż więcej i więcej. A młodzież?

Młodzież rozpija się. W trudnych, i nie górnych, ale nudnych latach swego życia sięga po wódkę, która z jednej strony oznacza „krzepę” i „morowość”, a z drugiej jest pijacką robinsonadą w świat „ciekawszy” od tępego bytowania w czterech ścianach „współzawodnictwa pracy” i „czujności ludowej”.

Rośnie ilość kradzieży, popełnianych dla wódki i przez wódkę. Rośnie ilość awantur, ciężkich pobić, czy nawet morderstw, popełnianych w pijackim zamroczeniu. W 1954 Milicja zatrzymała za pijaństwo prawie ćwierć miliona osób. Ćwierć miliona Polaków.

Nie trzeba być lekarzem specjalistą, aby zdać sobie sprawę z ruiny zagrażającej psychicznemu i fizycznemu zdrowiu ludności. To co zostało z narodu po hitlerowskich piecach i sowieckich katyńniach gotowe ulec degeneracji.

Z pijaństwem w parze idzie zdziczenie erotyczne młodzieży. Na gruzach tradycji, na gruzach autorytetów wychowawczych upaństwowiona a bezpańska młodzież wzniosła własne normy postępowania, sprowadzając miłość do jej części wyłącznie biologicznej. Świat miłości, jej wzbogacający klimat psychiczny, jej idealizm naznaczający młodość a nierzadko oświetlający życie całe — wszystko to ugrzęzło w tanim, bez wczoraj i bez jutra, rozwiązłym życiu. Można było zarzucać to i tamto zakazom i na-

kazom Kościoła w tej dziedzinie, ale reżym dopuścił się zbrodni na narodzie, zniszczywszy jedyną i powszechną normę moralną, trzymającą w ryzach siły, których nie wolno puścić luzem pod groźbą kataklizmu.

Zasad moralnych narodu, norm jego życia erotycznego a szczególnie aury otaczającej to życie, nie zmienia się w ciągu kilku lat. Składały się na to stulecia. Średniowieczne zacofanie i tak już stopniowo ustępowało miejsca formom nowoczesnym. I tylko takie, powolne i harmonijne zmiany mają trwałą wartość. Reżym, chcąc wydrzeć Kościołowi „rząd dusz”, zepchnął młodzież w chaos. W miejsce „burżuazyjnych” form uczuć i wrażliwości przyszedł cynizm, rozpusta i prostytutka.

Za to że w jednej ze szkół wielkopolskich, chłopiec skarczony przez księdza mógł powiedzieć: „Stul mordę, już się skończyły wasze czasy!” — za to naród zapłacił drogę. Dwu uczniów z tej samej szkoły, rozbiło w nocy grobowiec i wykradło z trumien pierścionki i złote zęby.

Państwo „ludowe” przekazało swej Milicji opiekę nad młodzieżą.

Kilkunastoletnie dziewczęta stają się matkami, w wyniku „wesół”, pijackich potańcówek. Następnie przynoszą swe dzieci do żłóbków i cynicznie powracają do narodowego obecnie procedury: prostytutce. Duma Polski „ludowej”, Nowa Huta, jest jednym z tych miejsc, gdzie stałemu wzrostowi produkcji stali towarzyszy wzrost zdziczenia obyczajowego robotników i robotnic. Rezerwat dżunglowy, założony przez reżym, odbija się, niestety, coraz mniej od ogólnego obrazu Kraju. Krzycząc z pierwszomajowych trybun o obywatelu przyszłości i szczęściu jakie go czeka, Partia i rząd odarły naród z jego wczoraj. A dziś, białym z przerażenia okiem patrzą na rodzące się w błocie i wódce efemerydy, drwiące z wczoraj i drwiące z jutra.

Strasznym świadectwem pograżenia młodzieży w moralnym bezhołowniu i ograbienia jej z szczęśliwej młodości, jest list Michała Bruka, studenta Politechniki Warszawskiej, zamieszczony w krajowej „Nowej Kulturze”. Oto fragmenty:

.... Mam 18 lat. Mając 10 lat dowiedziałem się, że to za co zginął w Powstaniu Warszawskim mój ukochany brat, było fałszem... Byłem dumny z mojego brata. Kolegom opowiadałem o moich Lechu, który kiedy miał 17 lat zginął ze swoim oddziałem AK. Ale właśnie kiedy skończyłem 10 lat, na lekcji historii okazało się, że nie miałem czym się szczycić. On zginął walcząc o podłą sprawę — rządu londyńskiego, a nie o prawdziwą Polskę... Miałem Boga. Mając 15 lat przestałem mieć Boga. On okazał się sprzymierzeńcem zabójców Leszka, on był tym, który spokojnie patrzył na to całe zło... on był tym, który je stworzył. Długie godziny klęczałem w ciemnym, opustoszałym kościele. Dusza moja krzyczała, groziła, błagała. Nienawidziłem go, a jednak tak bardzo kochałem... Okazało się, że go w ogóle nie ma... Przestawałem wierzyć. Przyszedł wreszcie dzień, kiedy krzyż był tylko kawałkiem drewna, Chrystus niezgrabnie wyrzeźbioną figurą... Pomógł mi wtedy starszy o pięć lat kolega-komunista.

On zbliżył do mnie ideologię, którą dotychczas znałem ze sztywnych wykładów i referatów, lub z półironicznych uśmiezków i wrogich uwag. Ona dała mi utraconą wiarę w świat, w cel życia, w ludzkość... Walczyłem, walczyłem, walczyłem z domem, reakcyjnymi kolegami, z profesorami w szkole... Brałem na siebie odpowiedzialność za wszystko. Wierzyłem w ideę i jej wykonawców... Miałem nie całe 17 lat. A potem dowiedziałem się wielu rzeczy, którym nie chciałem wierzyć. Kiedy mówiono mi o niesłusznym aresztowaniach i metodach śledczych UB, o krzywdach, nie mogłem wierzyć. Wprawdzie nie rozumiałem sam bałwochwalczego kultu dla Stalina, wprawdzie dziwiły mnie luksusowe sklepy specjalne i wysokie pensje wyższych urzędników państwowych przy nędzy na przykład proletariatu wiejskiego, ale były to dla mnie tylko bolesne pomyłki etapu. Cierpiałem, ale starałem się wytłumaczyć sobie wszystko. Tłumaczyłem także innym... Tłumaczyłem, musiałem tłumaczyć, przecież to była moja ideologia, mój rząd, moja partia, mój Stalin... Przeszły 3 lata. 3 lata mojego świadomego już życia. Teraz mam 18 lat. Okazało się, że prawdę mówiły ciotki o okrucieństwach UB, o dyktaturze Stalina. Okazało się, że historia rzeczywiście była fałszowana. Ci, którzy z podejrzliwością patrzyli na moją ankietę, gdy błagałem o wyjaśnienie, mówią teraz o „epoce stalinowskiej” i ... „okresie beriowszczyzny”... A ja? Ja nie umiem po raz czwarty zmieniać swojej duszy bez obawy, że stanie się szmatą. Ja teraz nie mogę, chociażbym chciał ... stanąć w szeregu z podniesionym czołem. Ja mam czoło pochylone. Za moich starszych kolegów, za partię całą. Za tych wszystkich, którzy czekali, weszli, oglądali się, za tych, którzy oszukiwali i za tych, którzy dali się oszukiwać. Za tych, co świadomie, czy też nieświadomie pomagali złu. Mam czoło schylone za was drobnomieszczańskie na ministerialnych stanowiskach, za was dobrze odżywiani literaci... Ja nie potrafię już podnieść czoła... Idee, gdy nie można wierzyć ludziom, stają się niczym. ... Bolesne jest tracić wszystko w co się wierzyło.”

Tak przedstawia się stan psychiczny elementów najlepszych, najmocniejszych i najmniej egoistycznych, tych, które w każdej sytuacji pragną oddać swe młode siły sprawie ogółu. Ale cóż mówić o setkach tysięcy chłopców i dziewcząt, dla których dzieśnięcie ostatnich lat było szkołą amoralności i szkołą bezprawia, i którzy nie mieli dość siły charakteru, nie mieli wystarczającej wiary w ideały, mogącej ich uratować od całkowitego cynizmu.

I łatwiej będzie reżymowi uwolnić z więzień zatrzymanych po bandycku niewinnych ludzi (nazywając groteskowo ten fakt „amnestią”!) aniżeli przywrócić osiemnastoletnim rówieśnikom Michała Bruka czyste, naraz zawadiackie i dziecinne serca, zmieci na szmatę przez polskich „inżynierów dusz”, wpatrzonych w łagodny, ojcowski uśmiech Józefa Stalina.

M. PANKOWSKI

Kronika kulturalna

Bałak klasyczny

Tłumaczenie „Odyssei” jest zapewne największą rozkoszą Wittlina, nigdy jednak nie było przyjemnością dla uczniów gimnazjum klasycznego, dawnego typu. Rozbiór gramatyczny, dobór słów i oddanie wierności myśli, wymagane przez profesora były zmorą dnia codziennego tych, których srogi los zmusił do uczenia się greki. Wielu więc uciekało się do nieocenionego przyjaciela, jakim był „bryk”, opracowany przez Dr. I. St. i wydany przez Zuckerkandla w Złoczowie. Skracał on znacznie czas przygotowania zadanej lekcji, zostawiając więcej miejsca na inne godziwe rozrywki, jak kino, lektura Karola Maya, czy piłka nożna i zwalniał od koszmaru „cwajera” czyli noty niedostatecznej.

Niestety dla ucznia IV Gimnazjum we Lwowie sławny „bryk” mniej był użyteczny, gdyż surowy profesor greki znalazł go na pamięć.

— Siadaj! Niedostatecznie! grzmiał srogo jak Zeus. — Uczyłeś się z bryka.

— Nie, Panie Psorze, sam przygotowałem zadaną lekcję.

— Kłamiesz, młody człowieku. Wykułeś bezmyślnie i jak papuga powtarzasz błąd, który przypadkowo wkradł się do tłumaczenia. Mnie synu nie wykiwasz, bo tego „bryka” napisałem ja sam.

Prof. Dr. I. St. — autor popularnych preparacji — był wielce cenionym filologiem, którego świetnie opracowany „Słownik do Trylogii Sienkiewicza” zyskał mu sławę w świecie pedagogicznym. Jego prywatnym zamiłowaniem było zbieranie słownictwa dialektu lwowskiego. Wydał nawet, u tegoż Zuckerkandla „Słownik Lwowskiej Gwary Złodziejskiej”, który stale uzupełniał nowymi odkryciami.

Dlatego też niejednokrotnie zdarzało się, że zmęczony kwękanem uczniów, pastwiących się nad dziełem Homera, wzywał najgorszych „hebesów” w klasie do tłumaczenia na nasz „klasyczny lwowski bałak”.

Wstawał więc jeden z rozbijaków i rozpoczynał przekład „Odyssey” z dialektu jońskiego na gwara lwowską. Ustęp pierwszej pieśni, opisujący biesiadę zalotników, brzmiał mniej więcej następująco:

„Wkatulali się hojrackie habale i po numerach
siendli sy na zydlach i tronach do koryta. Gnoty
im wodę na graby polali, a małanki sumer w ko-
szach plecionych przytaskały” (1).

Jak za pomocą magicznego zaklęcia Odyseja stawiała się inna, bardziej interesująca, bliższa, taką naszą, lwowską. Może właśnie ten kaprys profesora decydował o tym, że po wielu latach czytamy Homera, często nawet sięgając po tekst grecki, z uczuciem jakbyśmy wracali do starego, bardzo bliskiego przyjaciela.

Z drugiej zaś strony, nasz dialekt lwowski urastał do miary mowy literackiej. Szlachetniał. Oczyszczał się. Nabierał nowego wyrazu. Z żargonu „batiarów” stawał się „bałakiem klasycznym”.

Z żywiołową radością szukaliśmy literackiego wyrazu mowy która dotąd służyła jedynie do codziennego użytku dzieci lwowskiej ulicy. Profesor z prawdziwie naukową starannością dbał o jej czystość. Plewił więc naleciałości austrackie z bezwzględnością zadającego purysty. „Wziął kamień” nie mogło brzmieć „grajfnał fasolkę” bo „grajfnał” to od niemieckiego „greifen”; musiało się więc tłumaczyć „hapsnał fasolkę” lub „hapnał minerał”, bo w lwowskiej mowie słowo „minerał” jest potocznie używane na oznaczenie kamienia. Jest to jedna z cech codziennej mowy miasta Lwowa, że używa wzniosłych, czy też naukowych terminów, dla zwiększenia ekspresji.

Dialekt lwowski, jak zresztą wszystkie miejskie gwary, bardzo był zaniedbany przez naszych językoznawców. Nikt nie zajął się tą bujną mową, w której odbiła się cała historia kresowego grodu. Przeplatają się w niej naleciałości greckie, tureckie, ormiańskie, włoskie, węgierskie, hebrajskie i inne, nie mówiąc już o rodzimych ruskich. Piękna i dziwna to była gwara. Zachowywała całą renesansową kwiecistość wyrazu i starą fonetykę. Przez wieki tkwiła głęboko w prostym ludzie, aby podjęta przez studenterię w okresie międzywojnia, nabrać żywiołowego rozkwitu i popłynąć w świat na „Wesołej Lwowskiej Fali”.

Jak dotąd nikt się tym „bałakiem” nie zajął. Nie napisał

(1) W przekładzie Wittlina:

„Wsypali się zalotnicy, butni, lecz wedle porządku. Obsiedli jeden po drugim trony i stolki do uczy. Im też heroldzi polali wodę na ręce, służebne Zasię dziewczeczki przyniosły w koszach plecionych bochenki („Kultura” Nr 4/78 — Str. 56).

o nim nic lwowianin prof. Kuryłowicz, bo zbyt głęboko tkwił w orientalistyce, ani Nitsch, zakochany w dialektach Polski zachodniej i środkowej. Nie oczarował on Westfala na emigracji; nie wspomina o nim, piszący w kraju Kuraszkiewicz w swej pracy: „Pochodzenie Polskiego Języka Literackiego w świetle dialektologii historycznej”. Nie zgadza się zapewne lwowska gwara z tezami Józefa Stalina o marksizmie w językoznawstwie. Mimo to zapadła ona głęboko w serca Polaków i jak dochodzą słuchy dzieci polskie w Londynie podśpiewują:

„Jestysz szac chłopaka
Po lwowsku bałaka”.

Samo słowo „bałakać” lub „balikać” — starsze w polszczyźnie, o ile wierzyć Brücknerowi, od naleciałości czeskiej: mówić — wskazuje na archaiczność języka. Zaiście stary jest ten „bałak” i warto mu się nieco przyjrzeć.

Z punktu widzenia fonetycznego, obok typowego akcentu lwowskiego, uderza przede wszystkim brak nosówek, charakterystyczny zresztą dla dialektów małopolskich. Dźwięk „ą” zastąpiony jest przez „un”. Lwowianin nie mówi „mając” lecz „majunc”. Często nawet zmienia słowa aby uniknąć niemiłego jego uchu „ą”; stąd zamiast „siądz” — „siendnij”. Nosówka „ę” w środku słowa przyjmuje formę „eń”. „Będzie” brzmi „beńdzi”, jak na przykład, rymowana rada woźnego Kasyna i Koła Literacko-Artystycznego:

„Kto w auto siendzi
Prendzy doma beńdzi”.

Na końcu słowa „ę” zmienia się w „y” lub „i”, więc będę to „bendy”. Stąd „się” przyjmuje postać „si”, jak na przykład, po chińsku brzmiący, lecz typowo lwowski zwrot „ta ma si wi”, czyli po polsku: „oczywiście”, od ta (specyficznie lwowskiego) ma się wiedzieć.

Na marginesie należy zauważyć, że sławne „ta joj”, którym zawsze charakteryzowano Lwów, nie jest w tym mieście spotykane. Natomiast „ta” sypie się jak z rogu obfitości: „ta dzie”, „ta jak”, „ta po co”, „ta na co”, „ta łapaj”, „ta hulaj” itd. Zawędrowało ono nawet do „Zemsty” Fredry, gdzie murarz odpowiada: „No, ta niby”.

Drugą cechą fonetyczną gwary lwowskiej jest dźwięk é (e pochylone); „chleb” to „chlib”; „lepszy” — „lipszy”. Niektórzy domorośli językoznawcy tłumaczyli to wpływem ruskim, lecz w takim razie „mołoko” brzmiałoby jak „meleko”, a nie „mliko”; należy więc przypuszczać, że dialekt zachował staropolską formę e pochylonego. Lwowskie „o” także jest przeważnie pochylone, jak np. imiona męskie, do dziś posiadające swą

dawną końcówkę „ko”: Tońko, Szczepko, Staszko, Felko, Jurko, które brzmią: Tońku, Szczepku, Staszku, Felku, Jurku.

Bałak lwowski zachował więc swą dawną fonetykę i nie poddał się naporowi nosówek wielkopolskich, które wszechwładnie opanowały język literacki. Nie dał się też skusić ortografii, aby zatracić swoje e i o pochylone, lecz skapitulował przed najeźdźcą słów obcych. Oczarowany ich urokiem, przejął je do codziennego użytku.

Miecz bohaterów homeryckich „machaira” jest lwowskim nożem: „majchrem”. „Skila” lub „skilnik”, to znaczy pies wywodzi się od greckiego „skylaks” — szczęnię. Hebrajskie „hawairim” — towarzysze, zmieniło się w „chewrę”, „chewrę” lub „chibrę” czyli paczkę przyjaciół. Może i „hawira” to znaczy dom, z tegoż wywodzi się źródła. Od Węgrów ulicznik dostał nazwę „batiara”.

Lwowianin nie wkłada surduta, lecz „ubiera kireje”, której tureckość już się zatraciła. Na głowie czyli „kalapitrze” nosi „kaniolkę”, nieznanego mi pochodzenia, a stopy jego tkwią w „pikoletach” o brzmieniu włoskim, lecz zrobionych przez miejscowego „pazurnika”. „Knaja” to jest idzie do miasta, aby w pokoju do śniadań, zwanym „bajzelkiem”, wywodzącym swe brzmienie od assyryjskiego „bait” — dom, tyknąć „sztagan hary” czyli kieliszek wódki.

Dobrze że „swój chłopaka” lwowski nie jest lingwistą, bo „z rozumem by się nie połapał” od tej mieszaniny etymologicznej. A tak używa sobie w pełni na doborze słów wszelakiego pochodzenia i cieszyć się może bogactwem swej gwary, uzupełniając ją swoją własną inwencją językową. Bo tworzenie nowych słów to chleb codzienny „lwowskiego dziecka”.

W klasycznym „bałaku” chleb ma wiele synonimów. Przede wszystkim więc rzeczownikowo użyty przymiotnik — „boski” wskazujący na głębokie przywiązanie do tej świętej strawy. „Sumer”, może od łacińskiego „sumere” — spożywać. „Merkury” od fabryki chleba tegoż nazwania. „Kulikowski” od miejscowości podmiejskiej Kulikowa, sławnej ze smacznego pieczywa.

Jeść to po lwowsku „wcinać” albo „wbijać w krzyżbalanty” a pić to „ćmakać” lub „hirzyć”. Jeśli się pije wódkę to łatwo się „zaćmakać” i być „hirnym” czyli „chmielnym”. Pijany skory jest do zaczepki, co lwowianin określa mianem „szukania szpargi” czy też „szukania pluskwy”. Ponieważ inne batiary też są „hojrakami” albo „kojzykami”, więc dochodzi do bójki, która w kresowym mieście zwie się „michidra”. Zwykle idzie tu o kobietę to znaczy „małankę”, „rymundę”, „dziunię” czy „dzidzie” do której stroił „koperczaki” jakiś „habal” lub „habelas”. Trzeba więc mu „spuścić kampę” albo „dać mu faciki” i koniecznie rozbić nos „rozfałatać fyrniak”. Słowo bić tłumaczy się po lwowsku: „świcić” albo „dawać wciry” od staro-

polskich kar: wyświecania z miasta lub nacierania popiołem. Właściwie nie wiemy czy istniała ta ostatnia w Polsce, lecz spotykamy ją w Grecji. W „Chmurach” Arystofanesa: „...a cóż żodkiewny w tyłku klin, popielne skórotarcie”.

„Wykropiwszy” konkurenta zawiera batiar „sztamę” — zgodę, podaje rękę — „kryje grabę” i „hula do chałupy”, aby spocząć na laurach sławy i zasnąć to znaczy „uderzyć w kimonę” od słowa „kimać” — spać. Jeśli ściga go policjant — „menta” to zabiera swoje rzeczy — „manyle” zwane też „majdanem” i „daje chodu”.

„Lwowskie dziecko” może mieć siedemdziesiąt lat, bo termin ten oznacza wyłącznie mieszkańca tego miasta. Natomiast dziecko to „bajcad”, który może być „fafulasty” — gruby, lub „mizerota” — chudy. W miarę jak podrasta, zmienia się w „gnota” lub „mikrusa”, aż stanie się sympatycznym obywatelem, zyskując prawo do miana „swojego wariata”. O ile jednak będzie zarozumiały to wnet go przezwą „żmurem” lub „kałmukiem”. Bo doskonały mieszkaniec królewsko-stołecznego miasta ma być skromnym i mieć ostry dowcip, to znaczy „robić hecy” albo „strugać pacałychy”. Musi też umieć olśniewać wymową, aby „podbajerować” czyli „zahiklować” zamożniejszego obywatela zwanego „paniągą” lub „lepszym tytą” i przez schlebianie mu „podbechtywanie” wyłudzić parę groszy na kieliszek „ćmagi”. Właściwie z groszami nie wiele można zrobić w lwowskim światku, bo walutą obiegową są tu „szwajnery”, „blaty”, „haki”, „kawałki” i „kółka”, obok austriackich szóstek, halerzy, centów i grejcarów.

Jakkolwiek każdy Lwowiak jest obrońcą Lwowa w rezerwie, to jednak nie uśmiecha mu się służba wojskowa, bo „popaść w jańcie” to „skaranie boskie”. Według wyobrażenia „batiara” strawą „ciubaryka” jest wyłącznie „galopzupa” i ziemniaki: „barabole” lub „mandaburka”.

Po wyjściu z wojska, lepszy tyta powinien się ożenić „okołtunić się” i zakupić naczynia kuchenne, a zwłaszcza „druszlak”, „makutrę”, „chochłę”, „kołotuszkę” i „putnię”, dla swojej połowicy, która będzie mu gotować „sałamachę” i „ziorać aby wszystko szło po numerach”. Wierna żona towarzyszyć mu będzie aż do starości, kiedy zacznie „kahukać” i przyjdzie mu „kitować”.

Klasyczny bałak lwowski, obok bogactwa słownictwa, posiada cały skarby przenośni i porównań. Zamiast dużego piwa, lwowianin prosi o „putnię chmielu” lub „pencherz wody jęczmiennej”. Wódka zmienia się w „mliko od wściekły krowy”. Naśmiewać się z kogoś to „ciągnąć łach” lub pochodne stąd „łachować się”. Udać przybiera formę „strugać wariata”, zwodzić kogoś: „zaklinać w capa” lub „brać pod pic”. Przed bójką lwowianin przestrzega: „jak ja magula (bije) to mogiła

kwitnie" następnie obraża przeciwnika proponując aby „hulać się kąpać” lub „miszać mamie do zupy kartoflany”.

Specjalnością gwary lwowskiej są słowa urobione z utartej przenośni. Wybranek serca określa się jako „skrzydło” od popularnego zwrotu „iść pod skrzydło” czyli prowadzić pod rękę. Podobnie „motanka” wywodzi się od słowa „motać”, które odpowiada używanej w wyższych sferach mieszczańskich pożyczce z francuskiego emablować.

Słotwórstwo jest ulubioną formą ekspresji grodzkiego bałaku. Fotograf nazywa się tu „mordochwytem” według klasycznego wzoru jakim jest „kochmaszyna” sławna z piosenki o „Pryszcz Manki weselisku”:

„Pan kaprał dzisiaj zły jak pies,
Bo jego miłości nadszedł kres
Bo jego kochmaszyna
Z pompierem się wygina”.

Żywiołowość bałaku lwowskiego znalazła swe odbicie również w składni, która, jak twierdzą znawcy, jest zwierciadłem ducha języka. Trudności jakie przedstawia ta część gramatyki, znane są nie tylko językoznawcom, lecz i tym wszystkim, którzy w młodości prześladował „ablativus absolutus” czy „acusativus cum infinitivo”. Nie sposób więc opisać praw językowych gwary, której żywotność przerasta jakiegokolwiek ramy. Niemniej jednak można wyłowić z niej pewne formy charakterystyczne, których analiza dałaby wiele tematów do studiów polonistycznych.

Jedną z uderzających cech lwowszczyzny jest jej tendencja do jednolitości rodzaju. Zjawisko to znane jest dialektologii francuskiej. Występuje ono we Lwowie pod formą przewagi rodzaju męskiego. Lwowianin stukając w kieliszki wyraża życzenie „aby nasze dzieci mieli bogatych rodziców”. Zadowolony z bału młodzieniec stwierdza, że „klawe tam byli dziunie”. Starci z rozrzewnieniem wspominają przeszłość: „lipsze to byli czasy”.

Bałak lwowski potwierdza tezę wielkiego mistrza językoznawstwa: A. Meillet, który uważa że język polski posiada osiem przypadków, bo obok narzędnika używa jednakowego mu brzmieniem ablatywu. Otóż we Lwowie ablativus brzmi identycznie jak mianownik: „Nie bądź taki hojrak”, „bądź blatny”, „przystań być frajer”, podczas gdy narzędnik jest rygorystycznie przestrzegany: „jady balonem” (tramwajem), „święć go minerałem” itd. Jeszcze lepiej uwidoczni to użycie formy mianownika, jako ablatywu absolutnego, jak na przykład w następującym zdaniu: „Ja tu gość nie rób mi sztempa (wstydu)”, „nie mijajcie tremoli, ja tu paniaga”: nie bójcie się, bo ja tu jestem panem (sytuacji).

W gwarze batiańskiej formy łacińskie często są spotykane,

jakkolwiek ludek nie zdaje sobie sprawy z ich pochodzenia, bo „gonić kogoś łaciną” oznacza tu obsypanie przezwiskami. W często używanym powątpiewaniu w czyjeś możliwości: „już ja idy go widzieć” znajdujemy „acusativus cum infinitivo” i użycie słowa „idę”, na oznaczenie czasu przyszłego, najnowszej zdobyczy dialektów półwyspu iberyjskiego, zwanej tam „futuro im ediato”.

Istnieje we Lwowie jeszcze inna forma występująca obecnie w językach romańskich. Znajdujemy ją na przykład w następującym urywku dialogu podsłyszanego na meczu piłki nożnej:

„Który to je Martyna?”

„Martyna to je *ten*, że *on* tera piłki kopa”.

W języku literackim brzmiałoby: „ten, który teraz kopie piłkę”. Zaimek „który” dostatecznie określa osobę wykonującą czynność. Ponieważ jednak forma lwowska „ten, że” nie jest wystarczająca, wzmocniona zostaje przez dodanie zaimka osobistego „on”. Stąd zdania tego typu: „ten, że ja go wi” — ten, którego znam, „ten, że ja mu korby wkreni” — ten, z którego się naśmiewałem, „daj te sikorki, że ja ji zasmytra” — daj mi ten zegarek, który ukradłem.

W powyższych przykładach znajdujemy nową cechę charakterystyczną składni lwowskiego bałaku. Jest nią brak końcówek w czasie przyszłym. Lwowski chłopaka odmienia: „ja pił, ty pił, on pił, my pili, wy pili, oni pili”. Czas przeszły złożony, o którym tak pięknie pisał w „Kulturze” Stanisław Westfal, nie zdołał wtargnąć do kresowego miasta.

Fakt ten zdawałby się wskazywać na to, że dialekt lwowski powstał na przełomie XV i XVI wieku, kiedy to miasto roło się od różnorodnych nacji, które pozostawiły ślady swych narzeczy w bogatym słownictwie bałaku. Potwierdza to też i składnia, nad którą ciąży wówczas jeszcze używana łacina, jak również i mowa „italianów”, którzy budowali renesansowe miasto.

Odtąd już gwara zaczęła się rozwijać samoistnie. Zostanie jeszcze najechana przez naleciałości austriackie, ale ostoja im się dzielnie. Nabierze pełnego wyrazu i uszlachetni się w wolnej Polsce, aby nabrać sił do nowej próby ogniowej. Obecnie bowiem stoi przed zalewem mongolsko-rosyjskim.

Czy się oprze, czy też stanie się językiem martwym? Czy przyszli językoznawcy będą badać wpływy mongolskie na klasyczny bałak lwowski, czy też odwrotnie? Oto pytania, które dręczą rozsypanych po świecie mieszkańców miasta orląt.

Adam KOZŁOWSKI

Dalsze losy rękopisów znad Morza Martwego

„Ziemia Święta nie kryje w swoich głębiach żadnych dokumentów pisanych, poza tekstami rytymi w kamieniu” — tak jednogłośnie i bezapelacyjnie twierdziły jeszcze do niedawna, wszystkie najbardziej uznane autorzy w tej dziedzinie. Niepiśmienny beduin, bez żadnego wysiłku (i bez żadnej intencji) obalił tę, zdawałoby się, katechizmową prawdę. Dla przemierającego głodem, w niegościnniej pustyni Judejskiej, szczepu *Taamire*, zaginięcie owcy jednego z ich współplemienników (I), otworzyło niejako nową erę; wyrzeża Morza Martwego mogą się dla nich zamienić w prawdziwą Klondyke. Doskonale znając wszystkie szczeliny terenu, stale wyprowadzając ciężką, powoli pracującą maszynę urzędów państwowych i instytucji naukowych, przejawiając nieprzeciętną inicjatywę i działając z zaciętą intuicją, byli oni prawdziwymi pionierami w badaniach zaniedbanej dotychczas przez naukę części Palestyny. Wykrywali oni złotodajne jaskinie z rękopisami nie tylko w miejscowościach, do których bez nich niktby ani się domyślił zajrzeć, lecz nawet w terenie już poprzednio skrupulatnie przeszukiwanym przez ekspedycję i uznanym za jałowy. Niewątpliwie, masa wartościowych rzeczy została nieświadomie zniszczona przez te dzieci natury, w sumie jednak, ich działalność powinna dostać ocenę dodatnią.

Tereny rękopisodajne są przecięte przez granicę jordano-izraelską, która w tych pustkowiach nie może być — rzecz oczywista — ani należycie wytyczona ani strzeżona. Pogoń za rękopisami i za wynagrodzeniem nie zachęca do szanowania przepisów i zakazów nawet jeżeli stoi za nimi autorzytet tak szanowanej instytucji jak ONZ, która z bezprzykładną ignorancją i nonszalancją rozpalila pożar palestyński aby później podjąć się roli strażaka. Może kiedyś dowiemy się romantycznych szczegółów tych wypraw, gdzie dobro nauki i business doskonale się przemieszały, w wyniku jednak dostarczyły masę cennych fragmentów rękopisów, pochodzących z terenów bliżej nieokreślonych.

Oczywiście, jeszcze większe i bardziej bezpieczne zyski przypadają nie beduinom, lecz pośrednikom. Niektórzy antykwariusze porobili na rękopisach prawdziwe fortuny. Dla uzupełnienia funduszy Palestyńskiego Muzeum Archeologicznego (fundacja Rockefellera), gdzie skupia się akcja zakupu i segregacji rękopisów, przyszły z pomocą niektóre instytucje naukowe z Zachodniej Europy i z Północnej Ameryki.

(I) Por. artykuł pt.: „Rękopisy Morza Martwego”, „Kultura”, wrzesień 1953 oraz „Nowe odkrycia”, „Kultura”, maj 1954.

Współpracownicy Francuskiej Szkoły Biblijnej i Archeologicznej w Jerozolimie, z benedyktyńską cierpliwością wykonywują pracę, przypominającą popularną grę układania „puzzle’ów”. Znalezione czy zakupione urywki rękopisów, zawierające nieraz fragmenty liter, segreguje się najpierw według znanego czy domniemanego miejsca pochodzenia. Następnie, w obrębie każdej jaskini, dzieli się je według wyglądu zewnętrznego materiału (skóra, pergamin czy papier), jaśniejszego lub ciemniejszego, grubo lub drobnoziarnistego. Daje to podstawę do przypuszczenia iż dane szczątki należą do jednego rękopisu. Teraz dopiero zaczyna się najbardziej żmudna praca, to jest dopasowywanie do siebie poszczególnych urywków. Nieraz trzeba zestawiać dwa lub więcej fragmentów, aby dojść do jednego wyrazu, a często nawet do jednej litery!

Gdy teksty są mniej lub więcej złożone, utrwała się je razem, fotografuje i bada. Po ogłoszeniu danych fragmentów, rozdziela się oryginały pomiędzy instytucje, które dostarczyły funduszy. Wobec niemożliwości stosowania innych kryteriów, rękopisy się rozdziela proporcjonalnie do wielkości ich powierzchni.

W ten sposób, wiele dziesiątków tysięcy dolarów zostało wydanych przez różne biblioteki, zasilając częściowo beduinów, przeważnie zaś antykwariuszów. Jak dotychczas jednak, najlepszy interes zrobił metropolita syriacki, rezydujący w klasztorze Św. Marka w Jerozolimie, Mar Atanaz Jeszue Samuel, nabywca większej części zawartości pierwszej jaskini z 1947 roku.

Jak wiadomo, w okresie wojny palestyńskiej, kolekcja ta została zdeponowana w Stanach Zjednoczonych, gdzie też część jej została ogłoszona. Dla zapobieżenia spadku wartości handlowej swego skarbu, Mar Atanaz położył veto na ogłaszaniu dalszych części. Przed kilkoma laty, udał się on osobiście do Ameryki, gdzie był podejmowany z wielką pompą. Fotografowano go tam w towarzystwie luminarzy nauki, lub samego, na tle rękopisów, lub bez takowych. Pisma umieszczały wywiady z Metropolitą — słowem, przez pewien czas był on bohaterem dnia i mocno utrwalił się w dziejach nauki. Zaszczyty nie skruszyły bynajmniej serca pasterza, pozostał on twardszym niż krzemień, kierując się zdrową zasadą, iż „w handlu nie ma sentymentów”. Honory nie ułatwiły jednak dobicia interesu. Dla przyspieszenia transakcji, Mar Atanaz był zmuszony do uciekania się do ogłoszeń w gazetach w rubryce „drobne”. Dla przykładu przytaczamy tutaj dosłownie tłumaczenie tekstu anonisu, który się ukazywał w czerwcu 1954 roku w „Wall Street Journal”: — „Do sprzedania cztery rękopisy Morza Martwego, rękopisy Biblii datujące co najmniej z roku 200-g przed Chrystusem. Przedstawia to okazję dla jednej lub kilku osób, do uczynienia cudownego daru jakiejś instytucji kulturalnej lub religijnej. — Odpowiedź pod F.206”.

Jeden z dziennikarzy żydowskich zwrócił uwagę na to ogłoszenie przebywającemu właśnie w Stanach Zjednoczonych, szefowi Sztabu Generalnego Armii Izraela, generałowi Yadin’owi, synowi profesora Sukenika. Ten, jak wiadomo, nabył w swoim czasie resztę rękopisów, znalezionych w pierwszej jaskini, lecz zmarł przed paru laty, nie kończąc wydania; generał Yadin kontynuuje obecnie pracę ojca. W lipcu 1954 roku Mar Atanaz pozbył się nareszcie kupionego przed siedmiu laty kota w worku. Ręko-

pisy zostały nabyte przez grupę żydów amerykańskich i ofiarowane Izraelowi.

Nowina o dokonanej transakcji została podana do wiadomości publicznej dopiero w lutym br., w oświadczeniu premiera i ministra spraw zagranicznych Izraela, M. Sharett'a. Wiadomość ta wywołała w Izraelu wielkie poruszenie opinii i prawdziwą „manię rękopisów”. Jak doniosła prasa, na przechowanie rękopisów została przeznaczona osobna sala w nowym budynku Biblioteki Uniwersyteckiej w Jerozolimie. Razem z poprzednim nabytkiem skupia się tam obecnie prawie całość znalezisk z pierwszej jaskini (za wyjątkiem licznych drobnych urywków). Są to zarazem zwoje najdłuższe. Księga proroka Izajasza ma 7 m. 34 cm. długości, Regulamin walki synów światłości z synami ciemności — 2 m. 90 cm., Podręcznik Dyscypliny — 1 m. 86 cm., Komentarz Habakuka — 1 m. 60 cm. Wszystkie jaskinie odkryte później dostarczyły ilościowo dużo zwojów, jednak znacznie krótszych i najczęściej drobnych fragmentów.

W ten sposób została nareszcie zakończona wędrówka rękopisów znalezionych w 1947 roku. Nie należy już więcej spodziewać się dalszej zwłoki w ogłoszeniu nieznanej nam ich treści. Ostatecznie zdaje się, iż nikt nie ma podstaw aby czuć się pokrzywdzonym w całej tej sprawie, z wyjątkiem chyba Mar Atanaza. Być może, iż kłopoty jego nie skończyły się przez podpisanie aktu sprzedaży. Jak wiadomo, formalnie, a nawet faktycznie, wojna w Palestynie trwa, pomimo, (czy raczej dzięki) życzliwej interwencji wielkich tego świata. Władze Jordanii, zajmującej obecnie Stare Miasto Jerozolimy (gdzie mieści się klasztor Św. Marka), mogłyby opacznie zrozumieć intencje naukowe Metropolity i wziąć mu za złe przekazanie wrogom tak ważnych dokumentów. Wobec tego stanu rzeczy, Mar Atanaz przeczornie złożył publiczne oświadczenie, iż, sprzedając rękopisy, nie wiedział on, komu są one przeznaczone.

Drugą niemniej ważną przyczyną zmartwień Mar Atanaza jest to, iż dostał on jedynie 350.000 dolarów, a więc znacznie mniej, niż żądał pierwotnie (ponad milion dolarów). Jak oświadczył jeden z wybitniejszych znawców przedmiotu, profesor Albright, cena osiągnięta przy sprzedaży, jest śmiesznie niska i można ją było tak obniżyć jedynie dzięki hałaśliwej kampanii prowadzonej przez profesora Zeitlina.

Jak wiadomo, Zeitlin, z uporem godnym lepszej sprawy, wciąż odmawia rękopisom z Kumran, jakiegokolwiek wartości. Według Zeitlina, rękopisy Morza Martwego, są nawskroś przepojone duchem karaizmu, co ma dowodzić ich pochodzenia z X-go wieku po Chrystusie. Podobieństwo, a często nawet po prostu identyczność idei nowoznalezionych rękopisów z ideami karaizmu nie wywołuje obecnie żadnej wątpliwości. Potwierdza to jedynie głębokość i dawność korzeni karaizmu. Autor tak uznany i ostrożny jak profesor Albright pisze, iż w rękopisach Morza Martwego znajdujemy „utracone tło chrześcijaństwa i karaizmu” i że „należy zbadać na nowo okoliczności powstania karaizmu”. Opinia taka nie jest niczym innym, jak odrodzeniem poglądów na Esseńczyków, poglądów powszechnie panujących w nauce, jeszcze w XVIII wieku. Tak na przykład, ówczesny orientalista angielski, biskup R. Pococke pisał iż „to są dawni Esseńczycy, których nazywają dzisiaj Karaimami”.

Także inny problem, a mianowicie łączność między Gminą Nowego Przymierza, rezydującą ongiś w Kumran (a obecnie prawie przez wszyst-

kich bez wyjątku, identyfikowaną z Esseńczykami), a chrześcijaństwem, staje się obiektem coraz liczniejszych studiów. W maju 1955 roku odbyło się w Strassburgu colloquium poświęcone rękopisom Morza Martwego, w którym wzięli udział wybrani znawcy tego zagadnienia, z Belgii, Francji, Holandii, Niemiec i Szwajcarii. Wybitny francuski myśliciel katolicki, O. J. Daniélou, T.J. wygłosił na nim wykład „O ciągłości między instytucjami kumrańskimi a pierwotnymi instytucjami chrześcijańskimi”. Profesor K.G. Kuhn z Heidelberga mówił „O interpretacji kumrańskiej Nowego Testamentu”. Liczne inne wykłady zarysowały perspektywy dalszych badań, które przedstawiają zainteresowanie nie tylko dla zamkniętego grona specjalistów, lecz także dla kulturalnego ogółu.

Stają się więc dokumenty Morza Martwego coraz bardziej ważnym źródłem dla zrozumienia życia religijnego w Palestynie i na Środkowym Wschodzie w okresie sprzed dwudziestu wieków. Oczywiście, należy być bardzo rozważnym w wyciąganiu wniosków, do których niewątpliwie, w miarę poznawania dalszych tekstów, będą wprowadzone niejedne modyfikacje. Dotychczas została ogłoszona jedynie znikoma częśća wszystkich rękopisów. Poza dziełami, o których mówiliśmy w poprzednich artykułach, niedawno ukazały się jeszcze dwa wydawnictwa. Ks. J.T. Milik i O. D. Barthelemy ogłosili całość fragmentów z pierwszej jaskini, przechowywanych w Palestyńskim Muzeum Archeologicznym. Na krótko przedtem, generał Yadin, w imieniu swojego ojca prof. Sukenika, wydał „Regulamin walki...” Ten ostatni rękopis przedstawia sobą bardzo ciekawy dokument opisujący eskatologiczną walkę, która ma się toczyć gdzieś w pobliżu Jerozolimy. Z jednej strony stoi armia synów światłości, z drugiej zaś armia synów ciemności. Walka toczy się ze zmiennym szczęściem: trzykrotnie zwycięża wojsko dobra i tyleżkroć, wojsko zła. W decydującej siódmej bitwie, triumfują synowie światłości, dzięki interwencji boskiego wojownika, imieniem Nahszir, przypominającego do pewnego stopnia archaniola Michała. Samo imię Nahszir jest prawdopodobnie irańskie i jeszcze raz dowodzi silnych wpływów mazdejskich (obok helleńskich) na Gminę Nowego Przymierza.

Rękopis ogłoszony przez Yadina jest prawdziwym regulaminem woj-skowym; opisane są w nim dokładnie, uzbrojenie, trąbki, sztandary i organizacja wojska synów światłości. (Wszystkie te szczegóły czysto wojskowe, pozwoliły ustalić, iż dzieło zostało ułożone w epoce rzymskiej). Cała armia jest podzielona na oddziały złożone z tysięcy, setek, pięćdziesięciu i dzie-sięciu wojowników. Podział ten jest identyczny z podziałem członków Gminy Nowego Przymierza, podanym przez Pismo Damasceńskie. Na wielkim sztandarze synów światłości figuruje napis: Armia Boga. Na sztandarach tysięcy, ma być wypisane: Gniew Boga, pasja, przeciwko Belialowi i wszystkim bez wyjątku z jego stronnictwa. Na sztandarach setek stoi: Od Boga pochodzi zapal do walki przeciwko każdemu niesprawiedliwemu. Sztandary pięćdziesiątek głoszą: Ona się poddała, pozycja bezbożnych, dzięki Mocy Bożej. Wreszcie sztandary dziesiątek mają hasło: Triumf Boga, odegrany na harfie o dziesięciu strunach.

Wojska udające się do walki, są zachęcane przez hasła: Prawda Bo-ża, Sprawiedliwość Boża, Chwała Boża, Sąd Boży. Rozpoczynając walkę, wojska wypisują na sztandarach: Prawica Boga, Święto Boga, Trwoga

przed Bogiem, Zabici przez Boga. Przy powrocie z bitwy synowie światłości mają następujące hasła: Wywyższenie Boga, Majestat Boga, Chwała Boża, Gloria Boga.

Przed rozpoczęciem bitwy, naczelny kapłan zwraca się do oddziałów ze słowami: „Nie macie strachu! Nie drżycie przed nimi! Nie cofajcie się!”. Następnie zaś, zwracając się w kierunku synów ciemności, mówi: „To jest zrzeczenie niesprawiedliwości! Oni pracują w ciemnościach! Życzenia ich są skierowane ku ciemnościom!”. Po czym, naczelny kapłan intonuje pieśń wojenną, złożoną z wersów biblijnych i rozpoczyna się walka. W rozmaitych fazach bitwy, kapłani trąbią, posługując się trąbkami różnego rodzaju. Posiada to niewątpliwie znaczenie magiczne i ma pomóc do zwycięstwa.

Po zakończeniu walki, zwłoki zabitych zostają usunięte z terenu obozu, wojownicy umywają szaty skrwawione krwią niesprawiedliwych. Synowie światłości cofają się na linię wyjściową, gdzie błogosławią Boga i oddają Mu cześć.

Cały ten opis walki nie odpowiada oczywiście w najslabszym stopniu rzeczywistym warunkom jakiegokolwiek bitwy. „Regulamin” od początku do końca jest dziełem alegorycznym. Wiadomo, iż Esseńczyści celowali w interpretacji alegorycznej tekstów, zwłaszcza zaś Pisma Świętego. Pograżeni w medytacjach i odwróceniu od twardej rzeczywistości życia doczesnego, nie potrafili oni wygrać walki o byt. Gmina Nowego Przymierza, chociaż zapłodniła duchowo innych, nie zdołała utrzymać swego miejsca pod słońcem. Nieświadomie czy rozmyślnie, nawet sam fakt jej istnienia został wykreślony z pamięci ludzkiej, zdawałoby się, że na zawsze. I oto raptem, w tak niespokojnej i zwrotnej dla ludzkości epoce, dosłownie spoza grobu, przypomniła ona o sobie i zażądała historycznej sprawiedliwości i uznania swego wysiłku.

Szymon SZYSZMAN

Polska sztuka ludowa

Kiedy drugiego maja br. wybierałem się na otwarcie wystawy Polskiej Sztuki Ludowej, czułem lekki niepokój. Niepokój ten, będący wyrazem kompleksu czy też dumy narodowej, towarzyszy mi zawsze ilekroć polska impreza poddawana jest pod lancet spojrzeń Zagranicy. Czy dopisze publiczność? Czy zainteresuje się prasa? Jakże będą jej echa? Tym razem jednak, obawy moje okazały się płonne. Zainteresowanie wystawą jest duże, i cokolwiek można by o niej powiedzieć, ujmę nam nie przynosi. Zresztą i warunki decydujące o powodzeniu są nader korzystne. Legenda o sile ekspresji polskiej sztuki ludowej jest na Zachodzie, w kołach miłośników i snobów, żywa, dzięki pierwszej wystawie z roku 1949. Wystawa „ludowa” wprowadza świeży i egzotyczny nieco powiew w statyczną atmosferę wystaw londyńskich, wreszcie jest to pierwsza próba pokazania całości zjawiska.

Co czułem idąc na wystawę, nie trudno jest się domysleć. Kraj opuściłem będąc dzieckiem, wzrosłem w atmosferze egzaltowanego nieco kultu dla artystycznych osiągnięć chłopów, w atmosferze napuszonych frazesów o pięknie jego sztuki i malowniczości życia. Przy tym nieokreślone bliżej pojęcie „chłop”, uzmysławiałem sobie zwykle jako coś barwnego, tańczącego, pachnącego potem i energią. Nic więc dziwnego, że osłuchanemu od dzieciństwa ze skocznymi tonami krakowiaka, rozbrzmiewającymi z każdej polskiej sceny, przedstawiało ono dla mnie wartość emocjonalną.

Ponieważ frazes, bywa niekiedy użytym truizmem, chciałem się przekonać w jakim też stopniu polska kultura narodowa warunkowana była wpływami sztuki ludowej. Moje dotychczasowe kontakty z „ludowością” ograniczały się bowiem do rzeczonych tańców, pięknie wydawanych (w Kraju) albumów i kiepskich (emigracyjnych) reprodukcji.

Ponadto, pierwsze bezpośrednie zetknięcie się z nią postanowiłem traktować jako sprawdzian (o ile powiązania okażą się tak silne) mojego związku z kulturą ojczystą. Po latach pobytu na Zachodzie, postanowiłem, i to nie na żarty, skonfrontować rzeczywistość z łatwą frazeologią, zastanowić się co mnie z nią łączy, czy wyczuwam i czy rozumiem siłę, bardzo chyba istotną jak w każdej sztuce, która w tej właśnie formie znajdowała ujście. Tłumaczyłem sobie co prawda, że związków tych nie należy uogólniać, a już w żadnym wypadku brać za sprawdzian „polskości”. Przecież prócz sztuki ludowej istnieje język, którym władam poprawnie, istnieje poezja, która mnie czasami zachwyca, częściej oburza bezmyślnością, nigdy jednak nie zostawia obojętnym. Istnieje wreszcie to wyczuwalne a nie-do-opisania, które nadaje mi, chcę czy nie chcę, miano Polaka. Ale to były argumenty rozumu, podczas gdy do wystawy, nie wstydę się wyznaczyć, podchodziłem z „otwartym sercem”, głuchym na argumentację. Dlatego też zapewne spotkało mnie rozczarowanie, i gdy z dwutygodniowej perspektywy próbowałem spojrzeć na wystawę, musiałem wiele z pierwszych i pochopnych wniosków bezczeremonialnie odrzucić.

Jeżeli opisana powyżej „ciekawość” wolno mi nazwać „ciekawością Polaka-emigranta”, niemniejszą rolę, aczkolwiek nie warunkowaną stanem emocjonalnym, grało zainteresowanie „nie polskie”.

Oto kraj leżący na peryferiach Europy, żyjący własnym, zaściankowym życiem, z rolniczego zmienia się na przemysłowy, i to zmienia tak szybko, że aż we wiązaniach trzeszczy. Jak też w tym wirze przemian wygląda sztuka, którą kształtowały pokolenia chłopów chodzących za jednokonnym pługiem, mieszkających w słomą krytych chatkach, doskonale izolowanych od jakichkolwiek „nowości ze świata”? Jak wygląda, i jak się wyraża w sztuce reakcja „wiejskiego artysty” na zetknięcie z nasyconą jak gąbka cywilizacją miejską, na zapoznanie się (choćaby z gazety) ze sztuką ogólnoludzką, i nade wszystko na gruntowną zmianę sposobu myślenia, będącego dotychczas głównym motorem jego twórczych poczyniń?

Polska, będąca dzisiaj jednym z nielicznych krajów Europy na których proces ten można obserwować, daje doskonały materiał do badań w postaci londyńskiej wystawy.

Wystawę można by podzielić z grubsza na trzy części: prezentującą dorobek artystyczny chłopów, wykazującą wpływ jego sztuki na określony kierunek sztuki narodowej, wreszcie na estetykę życia codziennego w dzisiejszej Polsce. Katalog co prawda dzieli wystawę na dwanaście działów, niemniej jednak umożliwia powyższe zgrupowanie.

Sześć głównych stoisk prezentuje poszczególne ziemie objęte wystawą, w stroju, architekturze, ceramice, tkaninach, sprzętach domowych i zdobnictwie, sześć pozostałych daje dość dokładny obraz, malarstwa i płaskorzeźby (jakkolwiek większość eksponatów w tym dziale pochodzi z ubiegłego

stulecia), pomysłowych i prze prostych zabawek, zdobnictwa wiejskiego. wreszcie pokazuje (słabe zresztą) malarstwo amatorskie, i wspaniały dorobek tzw. „artystów prymitywu” (przede wszystkim dantejski Nikifor z Krynicy i pogodniejszy, zadumany Ociepko). Podsumowaniem jak gdyby jest sztuka Kulisiewicza, Makowskiego, Skoczylasa, Stryjeńskiej i Szczepkowskiego. na których wpływy sztuki ludowej są najbardziej widoczne.

Szczególne wrażenie robią obrazy Nikifora z Krynicy; w tym mistyku, obarczonym kompleksem „biskupim” (motyw Nikifor-biskup przewija się kilkakrotnie), analfabecie, którego kontakt ze światem jest poważnie zmniejszony przez defekt mowy, drżenie ogromna siła wyrazu, i już to choćby uzasadnia jego udział w wystawie i czyni dziedzicem najlepszych tradycji rzeźby ludowej z XVIII i XIX wieku.

Jeżeli chodzi o braki i niedociągnięcia wystawy, już na wstępie uderzyło mnie nieprzyjemnie stłoczenie eksponatów (w sumie ponad 660) w niewielkiej stosunkowo sali i obiegającej ją w koło galerii Królewskiego Towarzystwa Akwareli. Ponadto pewna chaotyczność w ich ustawieniu i dość prymitywne, doszczętnie wyprane z pomysłowości, urządzenie stoisk, szczególnie widoczne w dziale zabawek umieszczonych na drewnianej kracie nie dającej im ani tła ani zaplecza.

Wreszcie radosna beztroska o szczegóły, rzadko spotykana na londyńskich wystawach (wiele eksponatów po prostu niezakatalogowano).

Prawdziwym oburzeniem napelniał mnie jednak fakt, że, po gruntownym zapoznaniu się z wystawą, mapka objętych nią terenów okazała się poszerzonym terenem Generalnego Gubernatorstwa. Tu już sprawa nabiera wydzwiku politycznego, któremu należy się zainteresowanie. Czy sztuka ludowa z innych terenów nie jest sztuką polską, czy też w ogóle jej nie ma?

Wrażenia, które mi pozostały, to przede wszystkim krzykliwy kolor, prowizoryczność i „papierowość” większości eksponatów. Nie dotyczy to, rzecz jasna, rzeźby religijnej — często wstrząsającej niesamowitą koncepcją postaci, deformującą śmiało ludzkie członki, by tym swobodniej wydobyć uczucie — zawsze surowo prostej i niezgrabnej. Czy jednak bardziej działa na mnie widok Chrystusa Frasobliwego od podobnej w założeniu rzeźby andaluzyjskiej? Myślę, że są to wartości uniwersalne każdego dzieła sztuki, i nie potrzeba być „aż Polakiem” aby je móc ocenić.

Nie mogłem się również oprzeć wrażeniu, że eksponaty nowe, powstałe w dziesięcioleciu, są raczej rzemiosłem niż sztuką. Widać w nich pośpiech i celowość, jak gdyby robione były na zamówienie i służyć miały konkretnym warunkom dekoracyjnym.

Zdałem sobie sprawę, że jesteśmy bezsilnymi świadkami powolnej śmierci sztuki ludowej. Kurczą się coraz bardziej tereny o żywej tradycji twórczej, główne centra „zachowawcze” przesuwają się na ziemie ubogie i mało uprzedmysłowione, co pociąga za sobą zubożenie koncepcji artystycznej, zwążywszy, że dawniej sztuka ludowa kwitła przede wszystkim na terenach zasobnych. Ponadto artysta wiejski traktuje swoje dzieła jako źródło zarobku, po nieważ, zaś odbiorcą jest dziś wyłącznie mieszczanin, dostosowuje je do gustów i wymagań miejskich. Dzięki zetknięciu się szerokich mas ludowych z „cywilizacją miejską” sztuka ludowa zyskuje na tanim realizmie, traci siłę ekspresji i schodzi do rzędu kiepskiego amatorsztwa.

Tak więc grozi jej nieunikniona, bo naturalna śmierć. Przyszłość wyznaczy jej prawdopodobnie rolę, chwiejnej zresztą, odeskoczną dla „cywilizowanych artystów”, lub też w najlepszym wypadku posłuży ona za motyw coraz bardziej plowięjący, dziełom „technicznie cywilizowanej” epoki.

Jerzy S. SITO

Książki

Z problematów polsko-niemieckich

Pierwsza gruntowna monografia, poświęcona okresowi zbliżenia polsko-niemieckiego przed drugą wojną światową i katastrofą obu krajów ukazała się, jak można było oczekiwać, w Niemczech. Nosi ona wszelkie pozory opracowania naukowego: zawiera dobry skorowidz, starannie ułożoną bibliografię, liczne i nader wnikliwie przypisy: — jednym słowem wszystko, co może do rozpaczy doprowadzić rządzących się raczej wyobraźnią i niesystematycznych Polaków. *Die deutsche Gründlichkeit!* Ma ona zalety, jakie daje szkoła i metoda. Ma ona także swe niebezpieczeństwa: często, poprzez gęsty las, trudno uchwylić kontur drzewa; czasami w gęstwinie kryją się trujące liszaje. Trzeba je odróżnić, wyosobnić, aby posunąć się dalej.

ZAŁOŻENIE PROBLEMU

Na początku był traktat w Wersalu. Miał on do czynienia z krajem przechodnim, o ludności mieszanej, o przeszłości pełnej zatargów i zmian. Jakoś nie wiadomo, kto kogo w światowym konflikcie 1914-1918 zwyciężył, kto musiał kosztą przegranej wojny zapłacić. Dość, iż „wszędzie tam gdzie wzdłuż wschodniej granicy Rzeszy Niemieckiej znajdowały się terytoria sporne, granice zostały wytknięte w Wersalu na korzyść Polski”. Stało się to raz z rzekomych względów etnograficznych, gdzie indziej po prostu z uwagi na położenie strategiczne, lub interesy gospodarcze. W ten sposób granicę zachodnią Polski poprowadzono — autor cytuje tezę polityczną Stresemanna — w „krzyczącej sprzeczności z prawem samostanowienia”. „Ukształtowanie” Polski powersalskiej nie uczyniło więc z niej żadnego natural-

Das Deutsche Reich und Polen, 1932-1937. Aussenpolitik und Volksgruppenfragen. Von Richard Breyer (Marburger Ostforschungen, Band 3), Holzner Verlag, Wuerzburg 1955. Str. XII, 372.

nego „krystalizacyjnego ośrodka” a w opinii niemieckiej sam traktat tworzący nową Polskę pozostał li-tylko przejściowym „epizodem”, po którym „granice dawnego Reichu” i „organiczna całość pruskiego terytorium” zostaną „bez reszty” przywrócone. Taki powrót do przedwojennego stanu rzeczy odpowiadałby, zdaniem autora, „przyrodzonemu prawu”.

Teza to od początku do końca fałszywa. Traktat Wersalski nie był początkiem ale zakończeniem historycznej ewolucji. Po epoce rozbiorów — 1772-1815 — i rozczłonkowaniu terytorium Rzeczypospolitej przez trzy obce mocarstwa przyszedł okres scalenia go na nowo — 1916-1922: po zniszczeniu państwa polskiego przyszło jego odbudowanie. Żadne zatajenie dziejowej ciągłości, żadna ekwilibrystyka pojęć o strefach przejściowych, o ludnościach mieszanych, o niepewnej przynależności ziemi i ludzi, nie zmienia tego podstawowego faktu — likwidacji państwa polskiego pod obcą przemocą i jego restytucji własną inicjatywą polskiego narodu. Odrodzenie Polski i przywrócenie jej niepodległej formy państwowej było w głównej mierze faktem samorządnym, podobnie w zaborze pruskim jak w dwóch innych zaborach. Decyzje wersalskie były faktem wtórnym, uznaniem stanu rzeczy już w swej istocie dokonanego; ustanowiły one granice dla istniejącego państwa polskiego; wytknięcie zaś nowej granicy nastąpiło na podstawie najbardziej chyba dokładnej i obiektywnej analizy ludnościowej i geograficznej, jaka została kiedykolwiek w dziejach prowadzona, i to przy udziale takiej miary znawców, jak profesor z Harvard R.H. Lord i profesor z Oxfordu — Paton. Ich orzeczenie zostało zrewidowane na niekorzyść Polski przez najwyższe instancje Konferencji Pokojowej: można je zwalczać czy potępiać ze stanowiska polityki i propagandy, nie podobna go kwestionować bezzasadnie w dziele mającym pretensje naukowe.

Nie bez głębszej zapewne intencji autor powołuje się na „przyrodzone prawo do organicznej całości terytorium pruskiego”: Prusy bowiem — nie Niemcy — wzięły inicjatywę i udział w rozbiorze Polski. I dziś jeszcze, w zestawieniu przeszłości z teraźniejszością, trzeba zrobić wybór: albo się kontynuuje dziejową tradycję pruską, współnictwo Fryderyka II i Katarzyny II, politykę najazdu i prześladowań, narzuconą zjednoczonym Niemcom przez Bismarcka, albo należy budować nową politykę niemiecką, wyswobodzoną z obyczajów przemocy i ucisku, opartą na równych prawach dla narodów. Niedawne dzieje przyniosły ze sobą dowód, dokąd zaprowadziło Hitlera zapożyczenie wzorów od Fryderyka i Bismarcka.

MNIEJSZOŚCI NARODOWE

Niestety, książka Breyera o „Rzeszy Niemieckiej i Polsce” nie zapowiada tej niezbędnej rewizji zasadniczych pojęć. Z jednej strony brak w niej koniecznego zestawienia epoki współ-

czesnej z przeszłością i wykazania, na czym polegała istota polsko-niemieckiego konfliktu sprzed 1914. Z drugiej strony wyolbrzymiony został i skrzywiony u podstaw problemat mniejszości narodowych. Jak wiadomo, kwestia traktowania mniejszości niemieckiej posłużyła jako jeden z pretekstów napaści Hitlera na Polskę. Poświęcając około połowy swej obszernej książki temu i zbieżnym z nim zagadnieniom, autor wydaje się potwierdzać wyrażone na wstępie jego książki przekonanie: że Traktat Wersalski stworzył niesprawiedliwe w stosunku do Niemiec rozgraniczenie ziem i ludności, że tym sposobem w Polsce została znaczna ilościowo i procentowo mniejszość niemiecka, która czuła się wydziedziczona i uciskana, że wynikłe stąd zadrażnienie wzajemnych stosunków między obydwoma narodami udamremniło podjętą przez Niemcy próbę porozumienia z Polską.

Analiza takiego toku myślenia, skontrolowanie podanych faktów i argumentów wymagałoby napisania drugiej, równie obszernej książki. Na tym miejscu musi wystarczyć kilka przykładów, wybranych spośród całego gąszcza. Mówiąc o „ciągłej” i „katastrofalnej” podziemnej „wojnie na pograniczu”, autor wymienia jako jeden ze stałych terenów walki polsko-niemieckiej... Kościół. Jest to oczywiście nieporozumienie. Istotnie, większość Polaków stanowili zawsze katolicy, zaś większość tamtejszych Niemców — z wyjątkiem Górnego Śląska — protestanci. Jednakże kościół protestancki, zarówno w Warszawie jak na kresach zachodnich, posiadał równe prawa, protestanci liczyli w swoim gronie — w szczególności na Śląsku Cieszyńskim — ludność polską, i o „walce granicznej” na terenie kościoła nie mogło być mowy. Prócz epizodów XVIII wieku, z którymi Polska niepodległa XX wieku nie miała nic wspólnego, prześladowania religijne były faktem w Rzeczypospolitej nieznanym. Czytelnik książki Breyera odnosi w ogóle wrażenie, że dla autora „prześladowanie” mniejszości niemieckiej w Polsce stanowi tezę postawioną z góry, po czym dostosowuje się do niej fakty i nawet cytaty (1).

Podstawą wszelkich rozważań w zakresie narodowych mniejszości pozostać muszą liczby. Autor podaje cyfrę Niemców w Polsce w 1931 według statystyki polskiej na 727 tysięcy (właściwie 741.000), przeprowadziwszy zaś „niezbędne poprawki” — oczywiście według tezy niemieckiej — na 1.140.000. Równolegle, oblicza on cyfrę Polaków w Niemczech według statystyki polskiej na 1.500.000, a według niemieckiej — na 260.000.

(1) Na str. 78, przyp. 45, autor cytuje Laroche'a *La Pologne de Pilsudski* na potwierdzenie „podejrzeń spowodowanych w Rzeszy przez prześladowania Niemców...”. Na cytowanej str. 127 o niczym podobnym Laroche nie mówi. Na stronie poprzedniej cytuje wypowiedzenia amb. Moltkego o „incydentach”, „agitacji” oraz „bojkocie” Niemców: i tam ani słowa o *Deutschenverfolgungen*. Podobnie na str. 173 i 175 książki Breyera znajdujemy fałszywe cytaty z Noëla *L'Aggression Allemande contre la Pologne*.

W tym ostatnim wypadku autor przyznaje, że należałoby przyjąć cyfrę pośrednią między tymi dwoma, czyli niespełna 900.000 Polaków w Rzeszy. Jeśli autor zastosował tę samą metodę do obliczenia Niemców w Polsce — czego zresztą nie czyni — otrzymałby cyfrę około 940.000, czyli liczby mniejszości narodowych w obu państwach równoważyłyby się wzajem. Gdzież więc jest „krzycząca” niesprawiedliwość, gdzie owo rzekome upośledzenie Niemców przy dokonanym traktatowo rozgraniczeniu? Ponieważ zaś z cyframi łatwo jest żonglować, więc wśród całego ich lasu znajdujemy urzędowe cyfry niemieckie dla zobrazowania spadku liczby Polaków w Rzeszy: w 1925 — 803.000, w 1933 — 440.000 i wreszcie, po sześciu latach rządów Hitlera — 14.000. Autor nie opatruje tej absurdalnej statystyki żadną uwagą krytyczną, a zmniejszanie się ludności polskiej przypisuje... „stałemu kryzysowi świadomości narodowej”.

Interesująca jest w zakończeniu analiza pozornego wyrównania kwestii mniejszościowych polsko-niemieckich w styczniu 1937. Równocześnie z obopólną deklaracją nastąpiło wkrótce potem — w październiku — mniej głośnie ale skuteczniejsze zarządzenie wewnętrzne, niemieckie, kasujące dotychczasową autonomię opieki narodowościowej i poddające całość organizacji Niemców zagranicą kierownictwu tak zwanej „*Volksdeutsche Mittelstelle*”, będącej organem partyjnym, zależnym od S.S. Wydanie „ponad 30 milionów” zagranicznych Niemców pod stotalizowane dowództwo stanowiło punkt wyjścia owej „nieszczęsnej ewolucji”, która porwała grupy narodowe w wir wojenno-politycznych wypadków.

TAK ZWANA WOJNA „PREWENCYJNA”

Jedną z cenniejszych części książki Breyera jest zamieszczona w niej dość pełna bibliografia przedmiotu planów polityczno-wojennych Józefa Piłsudskiego z lat 1933-1934. Włączone są nawet przyczynki najświeższej daty: książka B. Celovsky'ego i dyssertacja H. Roosa — obie ogłoszone w 1954 i obie tym ciekawsze, że wyrażające odmienny punkt widzenia (2). Celovsky'emu nie udało się, stwierdza autor, „zredukować planów Piłsudskiego do czystej legendy”; jego własne wnioski są ostrożniejsze, ale ani nowe, ani definitywne; jednakże stara się on nieznacznie rozszerzyć je i w nowej formie ugruntować.

Przed wszystkim zanotowane są skrzętnie wszelkie ze strony polskiej przedstawiane dowody istnienia planu wojny prewencyjnej; przy tej sposobności warto zauważyć, że polscy pisarze

(2) Por. B. Celovsky, *Piłsudski's Praeventivkrieg gegen das nationalsozialistische Deutschland, Entstehung, Verbreitung und Wiederlegung einer Legende*, ogł. w „*Die Welt als Geschichte*”, 1954. H. Roos, *Die aussenpolitischen Beziehungen Polens zu seinen Nachbarstaaten*, Tuebingen, Diss. phil., 1954.

historyczno-polityczni nadużywają wyrazu „prewencyjny” i nadają mu fałszywą interpretację zamierzonej agresji, podczas gdy agresja, właśnie w poprzedzających przełomowy rok 1933 latach istniała właśnie po stronie niemieckiej: w polityce Stresemanna, w planach Seeckta, w polityczno-wojennych zamysłach Schleichera. Autor „*Niemiec i Polski*” radby to następstwo inicjatyw przedstawić inaczej: jego zdaniem Stresemann chciał tylko naprawić krzywdę wyrządzoną Niemcom, i w tym celu najpierw pozyskać Zachód, a dopiero potem złamać opór Polski; podobnie Brüning zamierzał przeprowadzić najpierw z Zachodem równouprawnienie dla niemieckich zbrojeń, a dopiero potem przystąpić do rewizji granicy na Wschodzie a nawet sławetny referat majora Otta z listopada 1932, alarmujący z poduszczenia Schleichera radę ministrów przeciw rzekomym planom polskiego najazdu na Prusy Wschodnie, przedstawiony jest jako akt uprawnionej samoobrony. Zamysły agresji niemieckiej przeciw Polsce znajdowały stałego rzecznika w osobie ministra spraw zagranicznych Neuratha, a właśnie w okresie rządów Schleichera doszedł do wiadomości władz polskich „plan wojkowego współdziałania Niemiec z Sowietami na wypadek wspólnego wystąpienia przeciw Polsce”.

Autor notuje to wszystko, a jednocześnie podtrzymuje od początku do końca tę samą zamierzoną przez Polskę wojnę „prewencyjną”. Według niego „Polska była nastawiona od dawna na wojnę prewencyjną przeciw Niemcom”: dowodem mają służyć plany sztabowe, cytowane z wydawnictwa „*Polskich Sił Zbrojnych*” — plany sztabowe, przewidujące oczywiście różne warianty w wypadku zachodzącej wojny, nie zawierające jednak polityczno-wojennego zamiaru, a tym mniej decyzji. Co do Piłsudskiego, to wprawdzie w okresie rozmowy ze Stresemannem, w grudniu 1927, według ryzykownych tez autora, miał on się nosić z myślami zamiany Gdańska na Kłajpedę, lecz już w dwa lata później zaczął planować „wojnę prewencyjną”. Celem było rzekomo „zdobycie zastawu”, względnie „rozszerzenie (polskiego) dostępu do morza” poprzez zabór Prus Wschodnich. Do tego kompleksu pasują autorowi późniejsze incydenty: akcja kontrtorpedowca „*Wichra*”, obsadzenie Westerplatte i tajemnicze, dotąd niedostatecznie udokumentowane rozmowy z Francją. Te posunięcia Piłsudskiego stały się zdaniem autora „uderzeniami w próżnię”: akcję „*Wichra*” udaremniło poprawne zachowanie władz gdańskich; Westerplatte musieli Polacy ewakuować wobec nieprzychylnych nastrojów w Genewie; wreszcie Francja odżegnała się od wszelkiej współinicjatywy (3).

(3) Nonsensowne pogłoski o intencjach zamiany Gdańska na Kłajpedę czerpie Breyer z podejrzanych źródeł (str. 23, przyp. 15). Po czym następuje tytuł: „*Piłsudski Praeventivkriegserwägungen seit 1930*”, str. 30. Dalsze rozważania o przygotowanym ataku polskim na Niemcy oparte na podobnie podejrzanych źródłach (Sharp), str. 33.

Zestawiając całą tę serię podejrzeń, przypuszczeń i interpretacji, rzekomych dowodów agresywnych zamiarów Polski, autor pracowitego studium zagadnień polsko-niemieckich dochodzi jednocześnie do niespodziewanego wniosku. Właściwie, pozostaje dla niego „pytaniem, czy Piłsudski istotnie myślał o zmianie, względnie rozszerzeniu granic polskich drogą przemocy”. Przeciwnie, zarówno dokumenty jak świadectwa najbliższych współpracowników, wydają się „czynić pewnym, że odrzucał (on) wojenną ekspansję terytorialną”. Również i rozważania na temat wojny przewencyjnej, konkluduje autor, „miały na celu zabezpieczenie nowopowstałego państwa przeciwko rzekomemu zagrożeniu przez Niemcy...” Stąd więc i alarmy, które miały się pono przyczynić do upadku kanclerza Brüninga i których wyrazem był raport Otta, wyglądają w perspektywie historycznej na manewry podjęte ze strony niemieckiej, czy to w celach wewnętrzno-politycznych, czy dla skompromitowania Polski jako agresora w oczach Zachodu. Sam pomysł paktu o nieagresji z Niemcami był zresztą, jak to autor na podstawie pośrednich danych ustala, inicjatywą polską, sięgającą jeszcze jesieni 1932 (4).

Na czym więc polega istota inicjatywy Piłsudskiego? Przede wszystkim, należy ją ograniczyć w czasie. Powstała ona wczesną wiosną 1933, możliwe, że powtórzona była w zimie 1933-1934, w przededniu paktu o nieagresji. Nie dotyczyła więc republiki weimarskiej ani Brüninga, lecz tylko i wyłącznie Niemiec narodowo-socjalistycznych. Cel przedsięwziętej akcji był również ściśle określony. Chodziło o zapobieżenie dobrojeniu Niemiec, a w razie oporu z ich strony — o akcję kolektywną mocarstw zachodnich wraz z Polską dla powstrzymania ich zbrojenia. Nie była więc przez Piłsudskiego zamierzona „wojna przewencyjna” Polski przeciw Niemcom — i lepiej jest to sformułowanie ze słownictwa politycznego wykreślić — lecz tylko i wyłącznie zbiorowa akcja policyjna. Dopiero gdy to zamierzenie nie znalazło oddźwięku w Genewie ani w Paryżu, nastąpiły dalsze nieuniknione konsekwencje: Piłsudski poszukał wyjaśnienia bezpośredniego z Niemcami i polecił w Berlinie zapytać: pokój czy konflikt.

W całej tej grze Piłsudskiego uderzające są jego metody praktyczne, polegające na ujmowaniu rzeczy samej, a nie pozorów. Do dziś metoda ta stanowi uderzający kontrast z drogami obranymi przez dyplomację francuską, której zależało na pozorach — uchwałach, formułach prawnych, protestach publicznych — przy jednoczesnym unikaniu wszelkich postanowień termino-

(4) Powtarzając argumentację dwuznacznych źródeł niemieckich, Breyer pisze (str. 34): „zagrożenie Prus Wschodnich przez Polskę przyczyniło się pośrednio, obok innych ważkich motywów, do obalenia Brueninga”. Dane o polskiej inicjatywie paktu nieagresji w stosunku do Niemiec przed-hitlerowskich autor czerpie w pamiętnikach Papena i w prasie współczesnej.

wych i konkretnych. Nic też dziwnego, że jak stwierdza Breyer, francuska historiografia polityczna cofa się do dziś dnia przed przyznaniem się do swej negatywnej postawy w 1933 wobec inicjatyw Piłsudskiego — postawy nielogicznej i kompromitującej (5).

POROZUMIENIE POLSKO-NIEMIECKIE

Czytając książkę Breyera, odnosi się wrażenie ciągłej walki między obiektywizmem rzeczowym, jaki powinien przeważać w każdym studium historycznym, a tendencją usiłującą wyszukać argumenty dla tez polityki niemieckiej: między opisem faktów powiązanych przyczynowo, a tym co Anglicy nazywają *mischiefmaking* — chęcią za wszelką cenę poróżnienia przeciwników. Najwidoczniej książka ma swoje cele uboczne, i tym można tłumaczyć obfitość odwoływań się do tej literatury politycznej francuskiej, której specjalnością się stało poniżanie i oczernianie Polski. Dopiero w tym oświeceniu niemieckim wychodzi na jaw cała szkodliwość lekkomyślnych i nieodpowiedzialnych wynurzeń Flandina, Reynauda, Noëla, François-Ponceta, Coulondre'a. Czy chodzi o walkę z mafiami międzynarodowymi w Genewie, czy o rolę Polski w kryzysie nadreńskim w marcu 1936, czy o Pakt Czterech lub o Pakt Wschodni, czy nawet o genezę nieszczęsnego paktu francusko-sowieckiego — wszędzie Breyer znalazł u polityków i dyplomatów francuskich potrzebne mu zaświadczenie, że Polska była winna, jej postępowanie i intencje podejrzane i dwuznaczne. Jeżeli zaś chodzi o politykę Becka, to argumentów autor szuka przede wszystkim u Noëla, który jak wiadomo za główne zadanie ambasadora Francji uważał walkę osobistą z polskim ministrem spraw zagranicznych. Nawet jeżeli chodzi o próbę Becka znalezienia podstawy dla polskiego systemu we własnym rejonie geograficznym, w zorganizowaniu szerszego porozumienia sąsiadów, Breyer znajduje łatwo argumenty krytyczne w tym arsenale nie zrozumienia i niechęci, jaki mu przygotowywali Francuzi; nie zważając wcale na fakt, że te właśnie myśli Becka nie uległy żadnemu przedawnieniu i zasługują, dzisiaj więcej niż kiedykolwiek, na obiektywne rozważenie i ocenę.

To podejście do zasadniczych problemów polityki polskiej, zarówno jak niezrozumienie polskiego stanowiska w sprawach

(5) W odpowiedzi na argumenty Strońskiego, Celovsky'ego, Jeleńskiego (interview z gen. Weygandem) i Roberta (w rozdz. o Becku z książki „The Diplomats”, Princeton, 1953), Breyer podnosi, że pamiętnikarze francuscy mają wszelki powód przemilczeć inicjatywę Piłsudskiego, która pokazuje zbyt wyraźnie brak decyzji i krótkowzroczność Francji” (str. 76, przyp. 41).

terytorialnych czynią trudne dla autora ujęcie całości zagadnienia porozumienia polsko-niemieckiego: obustronnych intencji i motywów nieudania. Pomimo to rozdziały dotyczące tego przedmiotu zasługują na uwagę, oparte są w części na nieznanym dotychczas materiale i przynoszą wiele nowego. Dotyczy to genezy porozumienia i roli odegranej tam przez Rauschninga, dotyczy to również kulis urzędowych decyzji niemieckich.

Najłatwiejszą byłaby konkluzja, po wszystkim co się zdarzyło później, że porozumienie z Polską było planowanym od początku przez Hitlera oszustwem; że załagodzenie głównego zarzewia konfliktu na Wschodzie miało być zasłoną dymną dla postanowionych zbrojeń i przygotowań wojennych; że wreszcie Polska sama miała być czasowo uszpięta i zamysły zapobiegawcze Piłsudskiego pokrzyżowane. Na rzecz takiego poglądu o „manewrze taktycznym” autor „Niemiec i Polski” dorzuca parę argumentów. 7 kwietnia 1933, niespełna miesiąc przed rozmową Wysockiego z Hitlerem, na posiedzeniu gabinetu Rzeszy Neurath określa „przekształcenie granicy wschodniej” jako stały „cel główny” polityki Rzeszy. 14 października, na odbytym w związku z wystąpieniem z Ligi Narodów zebraniu *Nazi-Führer'ów*, Hitler mówi o „okresie przejściowym”, o „koniecznej pauzie dla nabrania oddechu”. Wreszcie, 24 listopada, na dwa miesiące przed paktem o nieagresji, i w czasie jego negocjowania, Neurath oficjalnie instruuje posła w Warszawie — Moltkego, że tekst przygotowywanej deklaracji „nie zawiera w żadnej formie uznania obecnej granicy wschodniej Niemiec”, przeciwnie, stwarza „podstawę do rozwiązania wszystkich, a więc i terytorialnych problemów”. Tym argumentom, czerpanym głównie u współpracowników Hitlera, a w szczególności w urzędzie zagranicznym, można przeciwstawić inne, oparte na własnych jego wypowiedziach, i to nie tylko tych, jakie były czynione na zewnątrz, dla efektu w rozgrywce, czy dla propagandy.

Ale historii nie pisze się w tył, od następstw do przyczyn, i dla początku działań ludzkich niezawsze najlepszym sprawdzianem są ich wyniki. Nie jest najlepszą metodą konstruować intencje i argumenty *ex post*, jak to nieraz czynią pisarze polityczni angielscy. Który Hitler był prawdziwy: czy ten ze wstępnego okresu konstrukcji i powodzeń, czy ten schyłkowy, z czasów samobójczego oszalenia? W braku jakichkolwiek autobiograficznych danych pytanie będzie zapewne na zawsze nierozstrzygnięte. Co się zaś tyczy stosunku do Polski, to rzecz jasna Hitler wygrał, częściowo przez układ z nią, czas do zbrojeń i konsolidacji — ale i tak, wobec bezczynności Zachodu, miał tego czasu pod dostatkiem. Natomiast Polska ze swej strony wygrała także czas dla oddechu, sześćioletni. Wystarczy przypomnieć, w szeregu wielu innych, świadectwo Churchilla, aby rozpoznać jak bliską i prawdopodobną była w 1933 roku rewizja

granicy z Niemcami — bez europejskiej wojny (6). W wypadku zaś rozprawy wojennej z Polską samą Niemcy miały wówczas szansę uniknięcia interwencji Zachodu: po latach sześciu, w 1939, szansę „wojny lokalnej” straciły.

Kluczem jednakże do zrozumienia i właściwej oceny porozumienia polsko-niemieckiego i jego przetrwania aż po marzec 1939 jest kwestia wspólnej wyprawy na Rosję. Bez pełnej, szczegółowej, obiektywnej analizy tej inicjatywy niemieckiej, która trwa od 1933 aż do fatalnej daty marca 1939, polityka Hitlera w stosunku do Polski pozostanie niezrozumiana. Rzecz dziwna, w książce Breyera temu rozstrzygającemu zagadnieniu poświęcone jest niewiele uwagi i miejsca, w szczególności w porównaniu do drugorzędnej sprawy mniejszości narodowych. Porozumienie polsko-niemieckie, zarówno jak konflikt polsko-niemiecki, były i pozostają kwestią polityki europejskiej, a nie bilateralną sprawą między dwoma sąsiadami.

Michał SOKOLNICKI

Słowa poranne

Dla zwykłego NIE-Francuza, interesującego się współczesną literaturą francuską, nazwiska Cocteau, Mauriac'a, Sartre'a, Genet'a, Céline'a, z dokładką Simone de Beauvoir i Sagan są znane. Ale któżby mówił o Chardonnies? Jego dziesięć powieści i listy do Roger Nimier ukazały się u Albin Michel'a w wydaniu zbiorowym. A teraz jeszcze wyszedł tom: „Matinales”.

Czytałem powieści Chardonne'a, do niektórych wracałem po latach, zawsze mnie urzekały. Świat opisywany był mi jak najbardziej obcy, świat zamknięty z Charente, z Barbezieux czy z Cognac. Purytanie, protestanci, twórcy wielkich fabryk porcelany z Limoges, wielcy producenci koniaków, bankrutujący bo nie chcieli zmienić „z zasady” tradycyjnych metod, by nie obniżyć jakości swych wyrobów. Żony, córki, kochanki tych

(6) Możliwość rewizji granicy Niemiec na Wschodzie związane były zarówno z Paktem w Locarno (paźdz. 1925), jak z Paktem Czterech (lip. 1933). W związku z pierwszym Churchill pisze („*The Gathering Storm*”, 1948): „W żadnej chwili nie uchylałem się od prób dania Niemcom większej satysfakcji na jej wschodniej granicy”. W analizie możliwości rewizjonizmu Breyer powołuje się także na książkę Sharpa, wykazującą oczywiście i w tym wypadku swą tendencję antypolską.

potentatów, ich dzieci — wierne tradycji czy zbuntowane. Nie pamiętam już treści większości tych książek, pamiętam ich ton, tak jak się pamięta gamę kolorów wielkiego malarza, niezależnie od tematyki.

„Matinales” to stronicie pisane w 1955 roku i jak sam pisarz zaznacza łączy je tylko więź dni w chwili najlepszej — porannej. Stroniczki wspomnień, uwagi o życiu, o stylu, obserwacja sąsiadów jego nadsekwanskiej willi. Powraca mi myśl, że może on właśnie w literaturze francuskiej *zostanie*, że o nim wiedzieć będą, gdy tamci przeminą z wiatrem. Może tej książce trzeba by dać opaskę „Tylko dla starych”? Choć i tego nie jestem pewien. Zachwyca się nim Roger Nimier, a styl „*Certain sourire*” Sagan i jej okrutna świadomość mają pokrewieństwa z Chardonne’em.

Dyskrecja, ostrość obserwacji, skrót myśli. Tak niemodny antyekshibicjonizm, aluzyjność formy no i muzyka tej prozy, muzyka bez pedału, gdzie każde słowo znaczy, dźwięczy, tyle tylko ile trzeba. Czym bierze ten chłodny styl stoika, jakby tkwiącego już poza życiem — „Szukamy śniegu świeżego, po którym nikt nie stąpał”. Chardonne jest wyznawcą Tolstoja, jak zresztą i Martin du Gard, z którym go wiele rzeczy łączy. Ale ten ostatni zdaje się nieraz wypracowany *pod* Tolstoja, jakby nie jedyny. Po tym śniegu już ktoś chodził... Tolstoj. U Chardonne’a nigdy tego wrażenia. Uchwyt życia pełen uwagi. Praca pisarza przy tym jakby w zamkniętej przestrzeni: to wiem, to trzymam w ręku, tego nie znam, więc milczę. Pisarz jakby sam sobie stworzył ograniczenia, żadnych uczuć „oceanicznych” może są, ale ich nie znać. Czy to nie jest tradycja francuska literatury o walorach najtrwalszych. Te opisy błahych faktów trwają poprzez styl, jak nie można bardziej prosty i do tej prostoty doprowadzony poprzez ciągłą eliminację; ani śladu gonienia za modą, szukania efektów, które się tak szybko starzeją, a obserwacja ludzi zadziwiająca, oderwana od siebie i nigdy do siebie nie naginana. „Małując butelkę, uważaj byś nie namalował siebie” powiedział Leonardo.

Temat, przedziej tematy? Jeszcze i jeszcze, wśród wielu innych problem miłości, wiernej i wiecznej... szczęścia. Poznajemy tu kilka par kochających. Jedna z nich dała mu bodziec do najpiękniejszej może jego powieści „*Romanesques*”, miłość niezmienna, szczęśliwa i to narastanie napięć i wyłączości, że już nie bardzo wiadomo, czy to szczęście, czy chińska tortura; opowiadanie o miłości innej, miłości kobiety wyjątkowej, która ukochanego wymyśliła od początku do końca. Nie było śladu związku między tą fikcją, a żywym mężczyzną, którego jakoby kochała. Nic, żaden fakt, żaden przekreślający tę wizję uczynek mężczyzny nie mogli tej fikcji zamącić, zmienić.

Wspomnienia w paru stronach, ale cóż za ewokacja, o rodzicach, o bliskich, o Zweigu, o Blumie, o rzeszy pisarzy sławnych, głośnych zaledwie 30 lat temu, o których dziś już nikt

prawie nie wie, że istnieli. Mijanie i smak popiołu. „Tyle książek niepotrzebnych, to smuci”. A potem jakieś strzępy wspomnień, które z wiekiem zalewa zapomnienie „Ten rodzaj śmierci w nas”. Jakby kraj cały zalany powodzią, sterczy jakiś mur zawalonego domu, sponad fal płynie kawał zeschłego drzewa — to wszystko. „Substancja wyparowała” i z wielkich tragedii, dramatów, przygód, malutka historia. Jest w Toledo, w katedrze, płyta grobowa świętego biskupa i polityka i na niej tylko „*Sic jacet pulvis cinis et nihil*”.

Ostatnia część książki to Portugalia, ta część prawie niepotrzebna, o tyle wrażenia zdają się bardziej zewnętrzne, bez nawarstwień czasu, ale i tu jeszcze o szczęściu. Para na Maderze (dwie stroniczki). Żyją tam od dwudziestu pięciu lat. On ma 80. Mała plantacja bananów zapewnia im dostatni byt. Codzienny ranny spacer konno, stępa, po ścieżkach inkrustowanych kamieniami wśród kwiatów. Kwiaty tam kwitną o każdej porze roku. Co sobotę idą tańczyć do hotelu Savoy. O wszystkim zapomnieli, o swojej przeszłości, o świecie całym poza sobą. Ich wiek i śmierć bliska im niestraszne. Szczęście. Chciałoby się krzyczeć.

Czy zresztą cała ta książka nie jest pisana u progu rozpaczy a może nadziei, o której pisarz mówi na ostatniej stronie parę słów ukrytych?

J. CZ.

Polonia zagraniczna

Ukazała się książka o nas samych. Nosi tytuł „*Polonia Zagraniczna 1929-1954*”. Światowy Związek Polaków z Zagranicy wydał ją w zamiarze uczczenia srebrnego jubileuszu swego istnienia. Książka, w myśl uchwały Prezydium, miała dać „nie tylko krótką historię Światowego Związku i jego organizacji członkowskich, ale także obraz obecnego stanu i działalności polskich organizacji społecznych we wszystkich krajach wolnego świata”. Opracowanie jej powierzono organizacjom polonijnym i działaczom emigracyjnym, znającym temat z autopsji. Autorzy otrzymali zatem od Światopoli pewne wskazówki ogólne, „nie ujmowano jednak tej sprawy rygorystycznie w obawie przed oschłością”, tłumaczy Redakcja wydawnictwa, i dodaje, że autorzy ze swobody tej zrobili szeroki użytek: „Obraz ogólny jest więc mniej równomierny, i może nawet mniej dokładny, ale zyskuje na ożywieniu i bezpośredniości”.

Układ książki przedstawia się w ten sposób, że z ogólnej objętości 130 stron formatu dużej ósemki, o dwukolumnowym i mało przejrzystym zwier-

ciadłe druk, 40 stron poświęcono artykule omawiającym „zjawiska ogólne o podstawowym znaczeniu dla Polonii, oraz dziejom Z.P.U.W. i S.P.K., zaś 26 stron zajmują „płatne ogłoszenia (które) zawierają przeważnie obok rzetelnych wspomnień serdeczne życzenia dla Światowego Związku Polaków z Zagranicy”, a także depesze, gratulujące jubileuszu. Na pozostałych 63 stronach znajdujemy regionalne przeglądy z działalności tych środowisk polskiej diaspory, które opracowania nadesłały.

Na część książki traktującą o „zjawiskach ogólnych o podstawowym znaczeniu dla Polonii” składają się: Helczyńskiego „Światowy Związek dawniej a dziś”, Lenartowicza „Zjazdy Polaków Zagranicznych”, Giergielewicza „Drogi kultury polskiej na emigracji”, Wierzbiańskiego „Prasa polska za granicą”, X. Św. „Rola duszpasterstwa polskiego na emigracji”, Ciołkosza „Polski Ruch Robotniczy poza granicami Państwa Polskiego”, Mękarskiej „Z zagadnień młodzieży emigracyjnej”, Kleeberga „Zadania polskiej emigracji”, wreszcie: biografia Zjednoczenia Polskiego Uchodźstwa Wojennego i Stowarzyszenia Polskich Kombatantów.

Z punktu widzenia selekcji tematów widoczna jest tu tendencja do podsumowań historycznych, stronięcie od analizy teraźniejszości i planowania przyszłości. Uderza brak artykułów poświęconych problematyce wychodźczej, w szczególności, zagadnieniom związanym z drugim problemem emigracji powojennej. Nie ma też mowy o przemianach gospodarczych, jakim ta emigracja podlega, oraz o pojawieniu się w krajach osiedlenia prężnego polskiego czynnika inteligentnego. Wreszcie ani słowem nie wspomniano o polityce emigracji. W wydawnictwie dla szerokich warstw emigracji, jak nigdy przedtem potrzebny jest aktualny przegląd polskich emigracyjnych ugrupowań politycznych jak również artykuł, postulujący współpracę naszą z innymi grupami narodowymi, przebywającymi wspólnie z nami na wychodźstwie.

Z punktu widzenia opracowania tematów, które w tej części opublikowano, podkreślić trzeba sumienną i obiektywną pracę Ciołkosza, prosto i jasno wyłożone zadania emigracji Kleeberga, i zwięzłe, udokumentowane biografie wspomnianych już dwu, innych jeszcze poza Światopolem, światowych organizacji Polaków. Inne artykuły są albo pretensjonalne, jak praca Giergielewicza, który skromne ścieżki akcji kulturalno-propagandowej Światopolu nazywa „drogami kultury polskiej na emigracji”, albo rozwlekłe, jak rzecz Lenartowicza, który omawiając zjazdy Polaków z zagranicy, połowę rozważań poświęca zjazdowi Polaków w roku 1910 w Waszyngtonie z okazji odsłonięcia pomników Kościuszki i Pułaskiego, a jedną trzecią z tych rozważań, zjazdowi który nie odbył się, gdyż w międzyczasie straciłmy niepodległość. Jeszcze głębszego oddechu nabral w swym artykule Ks. Św., który rozważania o „roli duszpasterstwa polskiego na emigracji” wywodzi z idei misyjnej, a nawiązał do Konfederacji Barskiej. Wreszcie, jest praca, którą dobry dziennikarz źle o swym fachu napisał. Mam na myśli syntetyzujący artykuł Wierzbiańskiego o „prasie polskiej zagranicą”. Jej pierwsza część, obejmująca dzieje przedwojennej polskiej prasy emigracyjnej, jest w zgodzie z nieocenioną „Bibliografią czasopism polskich zagranicą 1830-1934” Stanisława Zielińskiego. Za to jej część druga jest w niezgodzie z tym, co na temat prasy polskiej lat 1940-1948, napisali Bielatowicz, Dittmar i Stempowski, Grot-Kwaśniewski, Jurkszus-Tomaszewska, Klukowski, Koper, Korczyński, Kowalik, Król, Ostrowski i Wasiutyński, że wymienię znane mi prace, do których dostęp w Londynie nie powinien być trudny. Największą krzywdę wyrządził Wierzbiański prasie polskiej w Niemczech (1945-1948), przemilczając fakt jej istnienia. Prasa ta, liczbowo przewyższająca wydawnictwa każdego innego ośrodka polskiego na wychodźstwie, w dramatycznych okolicznościach spełniała narodowo-społeczne zadania w naj-

bardziej zapomnianym, najbiedniejszym i duchowo najbardziej wygłodzonym środowisku ludzkim jaki istniał w ówczesnej Europie.

Trzon wydawnictwa „Polonia Zagraniczna” stanowi około trzydzieści sprawozdań z życia Polaków w różnych częściach świata, napisanych barwnie i żywo, zwykle z przydługim wstępem historycznym. Wartość tych prac jest różna. Są między nimi świetne syntezy, jak prace o Libanie, Kanadzie, Holandii czy Belgii, wyczerpujące raporty, jak praca o Argentynie, czy Chile, są też kwieciste opowieści (Niemcy), i patriotyczno-historyczne tondactwo (Włochy). Na ogół najlepiej wypadły prace o małych skupiskach, kontrowersyjne stają się sprawozdania ze starych europejskich terenów emigracyjnych (Niemcy, Francja), zaś dla ujęcia i scharakteryzowania emigracji polskiej w Anglii i Stanach Zjednoczonych nie znaleziono właściwego wyrazu. Autorzy sprawozdań posługują się często statystyką, niezawsze podając źródła. Bibliografii brak zupełnie. Co gorsza, że większość artykułów jest niepodpisana. Jest to zrozumiałe w publikacjach o Kraju ale niedopuszczalne w pamiątkowym wydawnictwie dokumentacyjnym o Polakach przebywających w wolnym świecie.

Będąc żywym dokumentem działalności Polaków w świecie, książka jest stosunkowo wiernym odbiciem naszych cech narodowych, swoistej megalomanii, nietolerancji, mętnego mesjanizmu, i szeregu innych tradycją uświęconych przesądów narodowych. Oto parę przykładów dla utemperowania optymistycznego czytelnika. Fakt, że Mehoffer zaprojektował witraże do katedry fryburskiej, że Paderewski mieszkał w Morges, i że jeńcy Drugiej Dywizji S.P. „odwalili” siedem milionów dniówek na roli w lasach i kopalniach tego arcykupieckiego kraju, upoważnia autora szwajcarskiego sprawozdania do mówienia o „zasługach emigracji polskiej wobec Szwajcarii”. We wspomnianym już artykule Ks. Św. straszy w biały dzień Duchem Dziejów Polski Choloniewskiego. Czytamy tam, że sprawa duszpasterstwa polskiego jest sprawą duszpasterstwa katolickiego, i że Polska skazana jest na katolicyzm. Zapytujemy autora najuprzejmiej na co skazani są Polacy wyznania ewangelickiego, prawosławnego i mojżeszowego, którzy na równi ze swymi braćmi katolikami przelewali krew na pobojuwiskach, i ginęli w więzieniach i łagrach. Tylko na samą wielkość? Przy lekturze innego sprawozdania czytelnik robi odkrycie, że istnieje na świecie kraj, w którym Polaków żyjących na wolności nareszcie coś łączy. Polacy w Brazylii sądzą, że spoiwem tym jest kultura, i dlatego ich centralna organizacja nie jest jakąś tam zwykłą unią, lecz Unią Kulturalną Polaków w Brazylii. Czy nie ma tam jakiejś konkretniejszej wspólnoty interesów? Zupełnie inaczej rodacy w Niemczech. Ci uczą się od gospodarzy. Dr Kaczmarek przedstawiony jest przez autora sprawozdania niemieckiego na str. 83 w odsyłaczu, jako „Akademik Kaczmarek... który z dniem 3 grudnia 1922 roku stoi na czele Związku Polaków w Niemczech jako sekretarz generalny i kierownik naczelny”. Przyjmujemy, że następną rangą jest Fuehrer. W Wenezueli, czytamy na stronie 104, „polskie życie organizacyjne zapoczątkował w roku 1946 dr Muszyński, zakładając Związek Polaków Chrześcijań”. Autor sprawozdania, nie chcąc by nasze domysły szły w niewłaściwym kierunku, dodaje, że „u jego podstawy leżała pewna etyczna selekcja członków”. To z etyką rozumiał już Hitler, ale po co ta liczba mnoga? Jest wreszcie sprawozdanie ze słonecznej Italii. Zaczyna się Kopernikiem, zaczem autor gęsto wzbija dalsze „słupy młowe polsko-włoskich powiązań” do Andersa włączając. Zajęty wielką przeszłością, do cna zapomniał, że ma pisać o latach 1929-1954. Oczywiście zabrakło miejsca na wzmiankę choćby o pracach historycznych ks. Meysztowicza.

Wydawnictwa emigracyjne o Polsce

Ożywienie zainteresowania zagadnieniami krajowymi nie jest kwestią przypadku. Wynika ono w sposób naturalny z komunistycznej odwilży. Odwilż pokazuje, że kraj żyje i wierzą, że studium Polski to nie studium przedmiotu martwego, jakieś łaciny, którą wszyscy szanują trzymając się jednocześnie od niej na milowy dystans. Zauważamy teraz, że kontakt z polskością to nie tylko zajęcie intelektualnych pięknoduchów. Może on dać wiele emocjonalnej satysfakcji nawet zwyklemu śmiertelnikowi, co więcej może on też mieć skutki głębsze i donioślejsze, prowadzące do zmniejszenia istniejących w świecie napięć i konfliktów. Doceniając doniosłość tego zagadnienia i chcąc jak gdyby nadrobić stracone lata, różne instytucje, organizacje, kluby, partie i pojedyncze jednostki rzuciły się badać rzeczywistość krajową. W roku 1956 panuje moda na kraj. Widzimy to już w poniższym zestawieniu wydawnictw na tematy ekonomiczne. Zauważmy, że szereg z nich powstało z inicjatywy stowarzyszeń nie mających najmniejszego związku z badaniami naukowymi w ogóle, a ekonomicznymi w szczególności.

Zołnierz-karpatczyk (jak głosi przedmowa), napisał broszurę o polskich Ziemiach Odzyskanych (Z. Fallenbuchl — „Zagadnienia Gospodarcze Ziemi Odzyskanych”, stron 40, wydana przez Związek Karpatczyków, Londyn, 1956). Celem broszury jest dostarczenie kontr-argumentów przeciwko propagandzie niemieckiej. Autor komasuje w jedną całość szereg dość powszechnie znanych faktów i danych statystycznych. Wnioski autora żywo przypominają tezy znanego w Londynie federalisty środkowo-europejskiego, inż. Z. Sławińskiego. Oceniając zaś bardzo entuzjastycznie obecną sytuację na Ziemiach Odzyskanych, autor wpada w konflikt ze swym towarzyszem partyjnym, min. S. Sopickim. Ten ostatni opublikował niedawno w „Wiadomościach” artykuł, w którym głosi że reżym zaniedbuje Ziemię Odzyskaną, nie rozbudowuje tam przemysłu, lokuje nowe obiekty na ziemiach „starych”, a to wszystko dlatego, że ciągle liczy się z możliwością oddania tych ziem Niemcom.

Związek Lekarzy Polskich na Wychodźstwie wydał broszurę pt.: „Służba zdrowia w Polsce 1945-1954, Uwagi i Spostrzeżenia” (Londyn 1955, 44 strony). Składa się ona z dwóch części: pierwsza daje opis organizacji służby zdrowia. Niestety, jest to tylko opis schematu określonego ustawą. Nie ma natomiast danych faktycznych. Dowiadujemy się więc, kto i w jakim stopniu mógłby podlegać ubezpieczeniu, jakie są rodzaje przychodni

i jakie typy szpitali, nie wiemy zaś ilu ludzi naprawdę jest ubezpieczonych, ile jest i jakich szpitali, ile udzielono porad. Broszura nie podaje nawet liczby lekarzy. W części drugiej znajduje się próba zaopiniowania systemu ludowo-demokratycznego lecznictwa. Oto główne wnioski (charakterystyka podstawowych cech służby zdrowia w Polsce): 1. Kastowość dzieląca społeczeństwo na grupy względnego uprzywilejowania (z tym, że najwyższa grupa otrzymuje zaledwie minimum świadczeń jakie należą się obywatelowi w kraju cywilizowanym); 2. Biurokracja; 3. Upolitycznienie; 4. Przesunięcie celu służby zdrowia z opieki nad chorymi na dbałość o interes pracodawcy (państwa).

Pewną namiastką rocznika statystycznego dla krajów za żelazną kurtyną są publikacje Niemieckiego Instytutu Badań Gospodarczych (Deutsches Institut f. Wirtschaftsforschung) w serii „Statystyki Gospodarki Europy Wschodnio-Południowej” (Statistiken z. Wirtschaft Ost-u. Sud Europas). Autorem opracowań jest Bruno Kiesewitter. Całość pomyślana jest na pięć zeszytów: 1. Przemysł; 2. Rolnictwo; 3. Handel i Komunikacja; 4. Dochód Społeczny, Finanse, Pieniądz, Ceny i Zarobki; 5. Ludność i Obszar. Do tej pory ukazał się zeszyt 1-szy (48 stron, data wydania 31. 1. 55) i 2-gi (44 strony, 31. 10. 55). Obie broszury zawierają sporo interesujących tabel sumujących dane statystyczne dla Rosji i krajów satelickich oraz Jugosławii. Niestety aktualność pozostawia wiele do życzenia: dla Polski tabele nie wychodzą poza rok 1953, a wiele kończy się na roku 1948 (ostatni rok planu trzydzielnego). Sądząc po dotychczasowym tempie seria zostanie skompletowana w 1958 roku.

American Slavic and East European Review (Vol. XV, Nr 1) zamieścił artykuł V.H. Winstona o polskim przemyśle węglowym (The Polish Bituminous Coal Mining Industry). Artykuł ten ukazał się obecnie w formie samodzielnej 30-stronicowej broszury, wydanej dla nowojorskiego Mid-European Studies Center. Praca zawiera wiele cennego materiału, zwłaszcza dla studiów historyczno-porównawczych, daje bowiem przegląd polskiego górnictwa węglowego (to znaczy górnictwa na obecnym terenie Polski) w przeciągu dwóch stuleci. Jeśli chodzi o najnowszą historię, to szczególnie wartościowe jest źródłowe i szczegółowe opracowanie zagadnienia darmowego eksportu polskiego węgla do Rosji poczynając od roku 1946. Autor powtarza oficjalną wersję sowiecką o odkryciu przez Rosjan w 1948 roku węgla na Wołyniu. Wyniki polskich badań geologicznych z lat 1938-1939 są mu widocznie nieznane.

Od października 1955 do czerwca 1956 prowadzony był w londyńskiej Szkole Nauk Politycznych i Społecznych kurs wykładów o współczesnej gospodarce polskiej. W porównaniu z poprzednio omówionymi przedsięwzięciami badawczymi jest to inicjatywa na wielką skalę, ma ona bowiem dać obraz nie jednego odcinka życia gospodarczego, a jego całości. Zadanie to powierzone zostało zespołowi, składającemu się z piętnastu osób. W zespole tym, poza ekonomistami, znalazło się sześciu autentycznych inżynierów — kurs miał bowiem między innymi udzielić odpowiedzi na pytania: Jak polski urbanista, planujący Londyn, widzi obecną Warszawę? Jak polski che-

mik z ICI ocenia przemysł chemiczny w kraju? Takie wypowiedzi, poza nowością podejścia, miałyby niesłyszana wartość praktyczną. Od razu trzeba powiedzieć, że nie wszystkie wykłady naszych techników stały na tym poziomie. Nie ma jeszcze widocznie Polaków na dyrektorskich stanowiskach u Forda i Vickersa, stąd większość wykładowców technicznych nie dysponowała wystarczającą szerokością horyzontu, aby dać krytyczną ocenę przemysłu w skali państwowej. W większości były to opisy — niekiedy niezmiennie wypracowane, i na pewno z wielu względów wartościowe, ale jednak tylko opisy. Ta część, techniczna, kursu składała się z następujących działów: Planowanie regionalne, Budownictwo przemysłowe, Budownictwo mieszkaniowe, Budowa Warszawy, Budowa miast i osiedli, Górnictwo, Hutnictwo, Energetyka, Przemysł chemiczny, Przemysł maszynowy.

Kurs dał słuchaczowi podbudowę faktyczną w formie wykładów o 1) Zasobach naturalnych i warunkach geograficznych; 2) Sytuacji demograficznej, oraz podbudowę teoretyczną w formie wykładów dających opis modelu państwa komunistycznego à la ZSSR. Do tej części należy zaliczyć wykłady: Ustrój gospodarczy komunizmu i jego historia; Organizacja i technika planowania; Funkcja pieniądza i cen w obecnym ustroju; Ekonomia uprzedmiotowienia. Te wykłady wygłoszone były przez ekonomistów, znanych czytelnikom „Kultury” z zeszłorocznej ankiety krajowej. Ekonomiści również omawiali pozostałe gałęzie gospodarki narodowej: Rolnictwo, Transport, Handel, Budżet i podatki, Dochód społeczny, Wykonanie planów i ocena polityki gospodarczej reżymu.

Ilość materiału i idee, jaką wykładowcy przedstawili słuchaczom w czasie kursu jest zdumiewająca. Również godna podkreślenia jest aktualność opracowań, doprowadzonych wszędzie do 1955 roku. Praca włożona w przygotowanie kursu zostanie utrwalaona, przynajmniej w pewnej mierze. Szkoła pracująca głównie systemem korespondencyjnym, przygotowuje skrypty z wykładów. Nasuwa się pytanie, czy nie należałoby iść dalej wydać całość kursu w postaci książki. Byłoby to niewątpliwie najpełniejsze opracowanie zagadnień ekonomicznych Polski ze wszystkich jakie znamy. Trudność polegałaby, poza tradycyjnym na emigracji brakiem funduszy, na skoordynowaniu poszczególnych opracowań tak, aby stanowiły one bardziej jednolitą całość o przejrzystym układzie, wspólnych przesłankach i logicznie się zbiegających wnioskach.

B. BRODZINSKI

Slavistica

Jaroslav Rudnykij, profesor uniwersytetu w Winnipegu, jest niestrużonym redaktorem serii publikacji sławistycznych wydawanych przez ukraińską Akademię Nauk w Ameryce. Wśród ostatnich jego wydawnictw, które do nas dotarły, warto wyróżnić studia (I) nad folklorem onomastycznym w Kanadzie, których autorem jest sam prof. Rudnykij. Z tym co autor

(I) Jar. Rudnykij, *Studiji z nazvoznastva*, UVAN, Onomastica № 11, Winnipeg 1956, 32 str.

nazywa folklorem nazwoznawczym każdy z nas się stykał w tej czy innej formie. Legendy dotyczące nazw osób, a szczególnie nazw miejscowości, istnieją nie od dziś, a okresem ich szczególnie bujnego rozkwitu było średniowiecze. Legendy te opierają się przeważnie na tak zwanej etymologii ludowej: wychodząc z większego lub mniejszego podobieństwa nazwy miejscowości do nazwiska jakiejś postaci tworzy się legendę o związku postaci z danym miejscem. U kronikarzy średniowiecznych pełno jest takich asocjacji: przodkiem Brytyjczyków był Brutus (który miał przynajmniej tę zasługę, że naprawdę istniał), nazwa Lublina „powinna” brzmieć Julin, bo pochodzi od Juliusza Cezara, przodkami Polaków (Lachów), Czechów i Rusinów byli legendarni Lech, Czech i Rus, miasto Kraków założył Krak, któremu dorobiono całą legendę o smoku, itd., itd.

Legendy, które przekazali nam kronikarze, mają przeważnie charakter uczony, pedantyczny, jako że wychodzą od uczonych, których głównym tytułem do dumy była znajomość łaciny i autorów łacińskich. Takie nazwy łacińskie jak Rutheni dla Rusinów lub Galicja dla ziemi halickiej dowodzą wykształcenia łacińskiego autorów, którzy na podstawie przypadkowej zbieżności fonetycznej dorobili tysiącletnią genealogię dla swojej prowincji: Rutheni to plemię celtyckie w Galii za Juliusza Cezara, od którego pochodzi nawet nazwa miasta Riom (mieszkańcy Riom nazywają się do dziś po francusku *les Ruthénois*), a Galicja w związku z prawdziwą Galicją w Hiszpanii, ale byli też kronikarze co pisywali *Galacja* twierdząc, że są to ci sami Galaci, co w Azji Mniejszej, do których pisał święty Paweł.

Ale fantazja nie jest tylko przywilejem uczonych, podobne legendy nazwoznawcze można równie dobrze spotkać wśród niepiśmiennych górali, z tą może różnicą, że będą oni mieli więcej fantazji i więcej zmysłu poetyckiego. Nieodżałowanej pamięci pisarz huculski Petro Szekyryk stworzył takie poetyczne wyjaśnienia nazw Howerla i Pop Iwan (niby od śpiewania, popiwania), ale podobne legendy kwitną nadal i w Kanadzie. Prof. Rudnykij zadał sobie trud zebrania około szesnastu takich przekazów, wśród których są i cztery polskie. Niestety, większość tych przekazów nie ma charakteru legendy. Jeżeli polski mieszkaniec wsi czy miasteczka Wilno w Kanadzie twierdzi, że nazwę miasta wybrano w latach osiemdziesiątych w zeszłego stulecia by uczcić proboszcza, który pochodził z Wilna, to nie ma powodów mu nie wierzyć: jest to nie legenda, a przekaz. Natomiast do legend można zaliczyć takie opowiadanie jak to o nazwie miejscowości *Seven Persons*: Należeli siedem osób tam zabitych. Jak naśli, to nazwali „Siedem persons”. Albo takie o nazwie *Medicine Hat*: „Kiedyś wódca Indian handlował medycyną. I on tam sedł i go tam zabili. Został tylko kapelus. To podobno ma być prawda”. (Ale tylko „podobno”).

Niestety, prof. Rudnykij zadowolili się przekazaniem zebranych podań, nie zastanawiając się nad zbadaniem za każdym razem czy chodzi o prawdziwą legendę, a także skąd legenda się wzięła. Tak na przykład historia nazwy *Birds Hill* — ptasie wzgórze, wyjaśniona jest za pomocą legendy indiańskiej: Gdy Gicizmanitu stworzył niebo i ziemię, to na skutek corocznych potopów wszystkie ptaki osiedliły się na tej górze, po czym Indianie chodzili polować na tę górę, i widzieli, jak zbliżają się wrogowie, bo ptaki się rozlatywały. Ta legenda, podobnie jak szereg wyjaśnień nazw pochodzenia indiańskiego, pochodzi zapewne albo ze szkoły albo z książek. Byłoby jednak ciekawe wyjaśnić jej pochodzenie i dowiedzieć się jak dalece i jaką drogą nowi mieszkańcy odziedziczyli folklor po swoich indyjskich poprzednikach. A na przykład wyjaśnienie nazwy Kanada nie ma nic wspólnego z folklorem, a jest wyjaśnieniem czysto historycznym.

Praca byłaby ciekawsza, gdyby autor za każdym razem ocenił wartość historyczną przekazu, opierając się również, jako językoznawca, na kryte-

riach językowych. Tylko w ten sposób da się odróżnić legendę od zwykłego przekazu. Zbierając nazwy osobowe Huculczyzny natknąłem się na szereg legend onomastycznych, dotyczących również i nazw geograficznych. Jeden z informatorów wyjaśniał nazwę *Magura* w Żabiem jako „moja góra”, tak rzekomo powiedział pierwszy jej właściciel. Ale wystarczy wiedzieć, że *magura* jest słowem rumuńskim, aby zaliczyć to do legend. Podanie etymologii i historii nazw kanadyjskich pozwoliłoby na podobną ocenę i tutaj.

Inny ciekawy rozdział pracy Rudnyckiego to nazwy zukrainizowane lub spolonizowane. Tak więc z miasta *Regina* (wymawianego Redżajna) zrobiono *urodzajna* (urodzajna), z *Dalmeny* — *dav meni* (dał mnie), z *Cleark Lake* *Krilyk* (królik), z *Assiniboine* — *Szynobojnia* (świniobijnia). Polacy nazywają miejscowość *Beausejour* — Boże dziury, a zarówno jedni jak i drudzy odmieniają *Winnipeg*, *winnipku*.

Z wydanej w tejże samej serii bibliografii (2) slawistyki kanadyjskiej dowiadujemy się też o ciekawym polonicum: pracy V. Turka o pierwszych Polakach żołnierzach w jednym z kanadyjskich pułków, a potem osadnikach. Było to w roku 1817.

Warta zauważenia jest też wydana tamże broszurka (3) W. Rose'a na temat studiów slawistycznych w Kanadzie. Zasłużony slawista zauważa, że po pierwsze nie tylko szerokie koła ale nawet uniwersytety slawistyką nie interesują się i traktują ją jako ubogiego krewnego, po drugie, jeżeli już czymś się interesują, to Rosją. „Może nam się to podobać, lub nie — pisze autor — ale w świecie takim jaki jest, nie widzę żadnej alternatywy dla przeważającego stanowiska Rosji w dziedzinie slawistyki”.

Skoro już jesteśmy przy prof. Rudnyckim to warto zanotować jeszcze jedną jego książkę (4), tym razem z dziedziny literackiej: notatnik z podróży po Europie. W Paryżu uderzyło Rudnyckiego zwłaszcza to, że wszystko jest pozamykane wtedy, kiedy najniewygodniej. Biblioteki zamykają o szóstej (prof. Rudnycki przyjechał głównie dla korzystania ze znakomitych bibliotek Paryża), ale biblioteka *Institut Slave* zamknięta też jest od dwunastej do drugiej; gdy Rudnycki wybrał się do katolickiej *Bibliothèque Slave*, która posiada niezmiernie cenne zbiory z XIX wieku, przeczytał na drzwiach, że biblioteka otwarta jest tylko w poniedziałki, wtorki i środy. A był to piątek rano. Rekord jednak, jak pisze, bije ukraińska biblioteka imienia Petlury, która otwarta jest tylko w pierwszą sobotę miesiąca! Co gorzej, zauważa w bólem Rudnycki, i restauracje bywają zamknięte w ten czy inny dzień.

Na tym tle tym cenniejsza była uczynność dra Chowańca, który wpisał ukraińskiego uczonego do Biblioteki Polskiej w Paryżu „nielegalnie”, bo było jakieś święto, i pozwolił mu tak „nielegalnie” pracować przez całe popołudnie. Rudnycki podkreśla, że dr Chowańiec specjalnie interesuje się

(2) J.B. Rudnycki, *Slavica canadiana*, A.D. 1954, UVAN, Slavistica No 24, Winnipeg 1955, 30 str.

(3) W.J. Rose, *Cradle Days of Slavonic Studies — Some Reflections*, UVAN, Slavistica No 23, Winnipeg 1955, 13 str.

(4) Jar. Rudnycki, *Z podróży naokoło pioswitu*, 1955. I. Tyktor, Winnipeg-Toronto 1955, 128 str.

ukraińskim mapoznawstwem i posiada jeden z piękniejszych zbiorów map Ukrainy.

Jeszcze jedno polonicum w tej książce, tym razem dotyczące Polonii londyńskiej: „Londyńczycy nie lubią Polaków. Dlaczego, nie mogą zgadnąć. Nawet dziewczęta mówią o nich negatywnie... „Coś w tym musi być” ... Ale co?” Tyle prof. Rudnycki.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje, w powodzi brzydkich, pretensjonalnych czy po prostu niedbałych wydawnictw emigracyjnych, gustowna okładka, której autorem jest Myron Levycki.

(AV)

Daleka droga

Książka Sławomira Rawicza pod tytułem „The Long Walk” (*) — „Długa wędrówka”, która ukazała się w Londynie, oparta jest na doświadczeniach osobistych autora. Różni się ona jednak od poprzednich książek polskich, wydanych po angielsku, na tematy sowieckie. Przeżycia w Związku Sowieckim i przygody podczas ucieczki do wolnego świata stanowią surowy materiał, który został przez autora przetrawiony, z perspektywy lat poddany refleksji i ujęty kompozycyjnie w formę eposu, wspaniale napisanego, co — trzeba oddać sprawiedliwość — jest także zasługą publicysty angielskiego, Ronalda Downinga, który pomagał autorowi przy pisaniu książki po angielsku. Pomoc ta została stwierdzona w podziękowaniu autora.

Sławomir Rawicz (dodajmy tu, że jest to prawdopodobnie pseudonim) pochodzi z Pińska, brał udział w kampanii wrześniowej jako młody oficer kawalerii. Potem — jak opisuje — został aresztowany w październiku 1939 roku przez bolszewików pod znanym zarzutem „szpiegostwa”. Nikt, kto mieszkał niedaleko granicy polsko-sowieckiej i był oficerem nie mógł w pojęciach sowieckich nie być szpiegiem.

Po przejściu więzień w Mińsku, Charkowie i na Łubiance, w których poddawano go bezustannym przesłuchiwanom i torturom, został skazany na wiele lat łagru. Ten pierwszy etap epopei autora trwał przeszło rok. Z kolei następuje „podróż” do obozu pracy pod kołem podbiegunowym. Najpierw z Moskwy do Irkucka wagonami bydłecymi — w tragicznych warunkach, tak znanych z wielu opisów zesłańców polskich — a potem pieszo poprzez śniegi w okolicy Jakucka. Marsz ten, podczas którego więźniowie przykuci byli do łańcuchów trwał blisko dwa miesiące. Spośród pięciu tysięcy skaźniców, przeszło pięciuset nie przetrwało wędrówki.

Niemal od pierwszego dnia pobytu w obozie pracy przymusowej autor zaczyna myśleć o ucieczce i ją planować. Najpierw przystępuje do wybra-

(*) *The Long Walk* by Sławomir Rawicz, Constable, London 1956, stron 240, wraz z dwoma mapami. Cena 15 sh.

nia kilku towarzyszy, bo nikt sam nie może podjąć się takiej wyprawy. Muszą to być ludzie o odpowiednich warunkach fizycznych — silni i możliwie młodzi. Potem przygotowuje się najbardziej nieodzowny sprzęt i wyposażenie, a więc przede wszystkim suszoną żywność i skóry na dodatkową odzież i obuwie.

W kwietniu 1941 roku, kiedy zbliżała się wiosna na Syberii, pod osłoną nocy i padającego śniegu wykradło się z obozu siedmiu ludzi: trzech Polaków, jeden Jugosłowianin, jeden Łotysz, jeden Litwin i jeden Amerykanin. Ten ostatni był dość niespodziewanym towarzyszem. Był to inżynier, który pracował przy budowie metra moskiewskiego i który z niewiadomych powodów nagle został aresztowany i dostał się do łagru na parę lat przed wojną. Później, już podczas wędrówki, dołączył jeszcze do tej siódemki młoda dziewczyna polska, która zbiegła z kolchozu.

Sama ucieczka z obozu była stosunkowo łatwa. Najwidoczniej strażnicy sowieccy zupełnie nie liczyli się z możliwością, aby ktoś mógł odważyć się na taki szaleńczy krok, którego epilogiem prędzej czy później musiałaby być śmierć w śniegach z głodu i zimna.

Trudno w krótkim sprawozdaniu z książki zdać sprawę ze wszystkich szczegółów tej niezwyklej wyprawy, która potwierdza raz jeszcze fakt, że życie niejednokrotnie jest bogatsze, bardziej niecodzienne niż fikcja, czy fantazja pisarska. Powiedzmy więc tylko, że nie mając map, ani nie orientując się wielce w geografii, za kierunek ocalenia obrano południe. Trasa wiodła najpierw poprzez rzekę Lenę, wschodnią stronę Bajkału i kolej transsyberyjską do Mongolii. Potem poprzez pustynię Gobi, skrawek Chin do Tybetu, a następnie przez Himalaje do Indii i w końcu do Kalkuty. Już same te nazwy mówią wiele.

Wędrówka ta na przestrzeni przeszło sześciu tysięcy kilometrów trwała rok i przebyta została aż do granic Indii wyłącznie pieszo. Tych trudów i wysiłków nie wytrzymały cztery osoby.

Tak przedstawia się ogólnie epopeja Sławomira Rawicza i jego przyjaciół. Towarzyszyły jej dziesiątki epizodów opisanych barwnie, z wielkim kunsztem pisarskim. Wiele obrazów pozostanie czytelnikowi w pamięci na zawsze.

Także piękno i groza przyrody, jej wrogość i przychylność oddane zostały po mistrzowsku.

Dzieje tej wędrówki opisane z prostotą, powściągliwością i bez patosu — czyta się z wielkim zainteresowaniem. I chociaż są to dzieje udręki, cierpień i śmierci, których przyczyną stał się nieludzki system sowiecki i złość ludzka, to jednak książka Rawicza napawa optymizmem. Optymizmem zrodzonym z wiary w człowieka.

W. LEITGEBER

Wydawnictwa krajowe

NAUKA

HUME (David), *Eseje z dziedziny moralności i literatury*. Biblioteka Klasyków Filozofii. Przekład Teresy Tatarkiewicz. W opracowaniu i ze wstępem Władysława Tatarkiewicza (Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1955).

GRENIOWSKI (Henryk), *Elementy logiki indukcji*. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1955.

Bibliografia Filozofii Polskiej 1750-1830. Biblioteka Klasyków Filozofii. Bibliografia opracowana pod kierownictwem Komitetu Redakcyjnego Biblioteki Klasyków Filozofii w oparciu o materiały zebrane przez Adama Bara. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1955.

HERSCHEL (John Frederick William), *Wstęp do badań przyrodniczych*. Biblioteka Klasyków Filozofii. Przełożył Tadeusz Pawłowski. Przekład przejrzał, wstępem i przypisami opatrzył Mieczysław Wallis (Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1955).

CZARNOWSKI (Stefan), *Dzieła T. I-V*. Państwowe Wydawnictwo Naukowe 1956.

KUMANIECKI (Kazimierz), *Historia Kultury Starożytnej Grecji i Rzymu*. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1955.

PESTALOZZI (Johann Heinrich), *Jak Gertruda uczy swoje dzieci*. Opracowali Włodzimierz Szewczuk i Michał Szulkin. Zakład im. Ossolińskiego we Wrocławiu, 1955 (to Klasyczne dzieło, wydane pod auspicjami Polskiej Akademii Nauk, zostało ocenzone przez pominięcie listu XIV, ponieważ zawiera on „treść fideistyczną”).

LOCKE (John), *Rozważania dotyczące rozumu ludzkiego*. T. I i II. Biblioteka Klasyków Filozofii. Przekład Bolesława S. Gaweckiego. Przekład przejrzał Czesław Znamierowski (Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1955).

KSIĄŻKI DLA DZIECI

OR-OT, *Stoliczku nakryj się* (N.K. 1955, zł. 2,50).

LOFTING (H.) ilustr. Z. Lengren, *Dr Dolittle i jego zwierzęta* (N.K. 1955, zł. 4,30).

PORAZIŃSKA (J.), *Trzy gadulki* (N.K. 1955, zł. 5).

DELARUE (P.), *Miłość trzech pomańców* (N.K. 1955, zł. 5).

KIPLING (R.), *Rikki-tikki tavi* (N.K. 1955, zł. 1,20).

AGRILLI (M.), *Przygody gwoździ-ka* (N.K. 1955, zł. 3,40).

RYMKIEWICZ (A.), *Jak bóbr ukradkiem wędrował z niedźwiakiem* (Czyt. 1955, zł. 10).

MAKUSZYŃSKI (K.), *O dwóch takich co ukradli księżyc* (Iskry 1955, zł. 8,80).

JANUSZEWSKA (H.), *Złota jabłoń* (N.K. 1955, wyd. I, zł. 10, wyd. II zł. 17).

PORAZIŃSKA (J.), *Za trzydzięcią rzeką* (N.K. zł. 9).

MARKOWSKA (W.), MILSKA (A.), *Księga papugi* (Wyd. 2, N.K., zł. 12,50).

ANDERSEN (J. Ch.), *Królowa śniegu i inne baśnie*, il. J. Szancer (N.K. zł. 2,40).

ANDERSEN (J. Ch.), *Baśnie*, il. J. Szancer (N.K. 1955, z. 19).

ANDERSEN (J. Ch.), *Dzieci elfów* (N.K. 1955, zł. 3,50).

DOBROWOLSKI (St. R.), *Baśń o Janosiku* (Opowieść filmowa) (F.A.G., 1955, zł. 8,50).

LAGERLÖFF (S.), *Cudowna podróż* (N.K. 1955).

Listy do Redakcji

Do Redaktora „Kultury”.

Z prawdziwym zainteresowaniem przeczytałem artykuł p. Henryka Schoenfelda w ostatnim numerze „Kultury”. Jakaż odświeżająca zmiana po beznadziejnym deklinowaniu marksizmu na wszystkie przypadki czy też minoderyjnym pozowaniu na intelektualizm. Problem: nauka a raczej postęp techniczny versus polityka czysta jest rzeczywiście i nowy, i pasjonujący.

W swych rozważaniach p. Schoenfeld zechciał poświęcić parę słów listowi otwartemu, który wystosowałem do londyńskich „Wiadomości”. List ten (niestety groźnie skrócony przez dyktatora Grydzewskiego) był, jak to wybornie pamiętam, napisany przeze mnie w lutym 1950 roku. Nielada to zaszczyt, że po bitych sześciu latach p. Schoenfeld go jeszcze pamięta. W liście tym, wcale nie żartobliwie, sugerowałem, by atomowców wysłano na wyspę bezludną, z kokotami, szampanem, ale bez przyborów do pisania — tak by ich wiedza złowieszczą i złowrogą nie mogła się dalej rozwijać. Od tego czasu zmieniłem zdania. Pragnę tę zmianę pokrótce uzasadnić, bo sądzę, że moje rozumowanie jest wcale typowe dla milionów laików.

Politycznie miałem wówczas rację. Dr M. Grydzewski — jak zresztą wszyscy polscy działacze emigracyjni, którzy w swej absolutnej ślepotie politycznej są wyjątkowo już nie to zgodni ale jednomyślni — powitał wynalazek bomby wodorowej z uniesieniem. Trzeba jej tylko użyć, pisał „pro-roczo”. Ja natomiast przepowiadałem, że nikt jej nie użyje, i że samo istnienie tego potwora wszelką myśl o wojnie uniemożliwi. Miałem rację. Ale myliłem się co do kilku innych ważnych punktów.

Po pierwsze nie zdawałem sobie zupełnie sprawy — padając ofiarą blażeńskiej propagandy różnych łobuzów à la Mac Carthy i innych apostołów „polityki siły” — do jakiego stopnia wiara w istnienie sekretów atomowych czy wodorowych była już wówczas dziecinna i naiwna. Oczywiście takich sekretów — i to nie tylko w zakresie wiedzy teoretycznej, ale i tzw. Know-How, czyli techniki tych bomb — nie było już przed sześciu laty, a tym bardziej i dzisiaj ich nie ma. Szpiegostwo atomowe było od początku operetką i budzą, monopol atomowy zupełną fikcją. Skoro tajemnica atomowa jest fikcją, to jakż sens miałyby wysyłanie uczonych atomowców na bezludną wyspę? Przecie, by taka izolacja była skuteczna, trzeba by na tę bezludną wyspę wyekspediować już dzisiaj paręset tysięcy ludzi, jutro już miliony. To marzenie ściętej głowy.

Powtóre w ciągu ostatnich lat sześciu zmieniło się podejście laika do problemu atomu. Eisenhower wmówił w nas wszystkich, że atom jest kluczem do bogactwa na skalę, o której nie mamy wyobrażenia. Ludzkość w te zapewnienia uwierzyła, bo na podstawie doświadczeń ostatnich lat dziesięciu uwierzyła w nieograniczony postęp techniki i w nieograniczony wzrost stopy życiowej. Dodam, że poza tym dzisiejsza ludzkość w nic absolutnie

nie wierzy. Ani w chrześcijaństwo, ani w Boga, ani w Kościół, ani w diabła, ani w ideały, ani w sprawiedliwość, ani w wolność, ani w demokrację, ani w wielkich ludzi, ani w cnotę, ani w poświęcenia. Wierzymy natomiast i to głęboko, że coraz lepsze maszyny przyniosą nam coraz więcej komfortu, coraz więcej pieniędzy i w końcu coraz wyższą stopę życiową. A że w końcu w coś wierzyć trzeba, więc uczepiliśmy się tej ostatniej nadziei z fanatyzmem. Nawet Sowiety się tej nadziei coraz bardziej czepiają.

Dzisiejsza ludzkość idzie na każde ryzyko, jeżeli tylko służy ono sprawie wzrostu bogactwa. Ulice wielkich miast stały się równie niebezpieczne dla życia przechodniów, rowerzystów, motocyklistów i nawet samych samochodziarzy, co ongi okopy pod Douaumont. A jednak wszelkie próby ograniczenia choćby szybkości jazdy natrafiają na furję oporu. Póki ludzkość wierzy, że atom zastąpi węgiel, którego nikt już nie chce kopać pod ziemią, póty nie ma siły ludzkiej, która by uniemożliwiła dalsze eksperymenty atomowe. Dopiero jeżeli wodorowe doświadczenia zmaglują nam do reszty pogodę, lub wywołają epidemię raka, anemii złośliwej czy paraliżu dziecięcego — nastąpi może jakaś rewizja obecnych nastrojów — ale dopiero wtedy.

Więc kapituluję. Ryzykuję śmierć wodorową w nadziei, że na skutek postępu atomowego moje zarobki wzrosną o 10%, co mi pozwoli częściej podziwiać obfite kształty Sophii Loren i doczekać się atomizacji w lepszym zdrowiu, lepszym ubraniu, w lepszych butach, lepiej wyperfumowany, i z lepszą znajomością nocnych lokali całej Europy. Après tout, n'est-ce pas le bonheur?

W.A. ZBYSZEWSKI

Londyn.

Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniowym zeszycie „Kultury” W.A. Zbyszewski zamieścił ciekawą i szczerą wspomnienie o śp. Stanisławie Strońskim. Z zespołu wspomnień o Stanisławie Strońskim — wśród których przeważała, polskim obyczajem, ton uroczysty i namaszczone, tak obcy osobie Strońskiego — artykuł Zbyszewskiego wyróżnia się brakiem pompy, ożywczą szczerością i realistyczną oceną. Ponieważ należę do licznej gromady tych, co ze śp. Strońskim nieraz się za jego londyńskich czasów spierali i mieli do niego nieprzepartą słabość dla jego świetnego dowcipu i wielkiej kultury, tym bardziej oceniam wspomnienie Zbyszewskiego, który miał sporo przepraw z „profesorem” i był stale pod jego urokiem. Stroński był bowiem jedną z najbarwniejszych postaci życia polskiego; Zbyszewski nie wspominał dwóch jeszcze dziedzin, w których Stroński zabłysnął: był on świetnym mówcą, szybkim w riposie, jednym z najlepszych jakich znał Sejm. Był też za młodu wybitnym romanistą i być może, że stała się szkoda, że Stroński nie pozostał przy romanistyce albo do niej nie wrócił w dobie drugiej wojny: byłby lepszym wykładowcą aniżeli ministrem informacji. Ale tutaj zdecydował temperament: Stroński był z temperamentu dziennikarzem i polemistą i od dziennikarstwa nie potrafił odejść. Zbyszewski ma rację podając w wątpliwość „politykę” Strońskiego; jego istotnym polem działania było słowo, gazeta, łamy prasy i mównica.

Zalować należy, że wspomnienie Zbyszewskiego o śp. Strońskim skazywała bezczeremonialność w stosunku do faktów, jeżeli chodzi o pewien szcze-

gół przytoczony w artykule. Zbyszewski mówi mianowicie o swoim „artykule”, jaki nadał 12 maja 1940 roku, w rocznicę zgonu Piłsudskiego przez mikrofon BBC z Londynu w audycjach polskich. Powiada on, że zdobył się sam na ten gest, jakkolwiek otaczali go w sekcji polskiej Radia Brytyjskiego „eks-zawodowi piłsudczycy, eks-fagasy Becka”.

Stwierdzam, że jest to nieprawda. Sekcja polska BBC składała się w pierwszych tygodniach swojego istnienia (zaczęliśmy nadawać audycje polskie z Londynu 6 września 1939 roku) z następujących osób: Tadeusza Lutosławskiego, przez czas jakiś współpracownika „Gazety Polskiej”, przybyłego na krótko przed wybuchem wojny do Londynu do attachatu prasowego ambasady, objętego przez Lesława Bodeńskiego; Konrada Syropa, byłego korespondenta londyńskiego warszawskiego „Kurierza Polskiego” i mnie. Ponieważ BBC, z polecenia śp. Franciszka Bauer-Czarnomskiego, dziennikarza zamieszkałego w Londynie od 1914 i znającego wiele osób w BBC, przeprowadziło ze mną pierwszy, jeszcze pod koniec sierpnia 1939 r. rozmowy co do zmontowania sekcji polskiej, otrzymałem skromny tytuł „senior announcer and translator” i wiedziałem dokładnie co się w sekcji dzieje. W drugim rzucie do sekcji przyszli: Marek Żuławski, osiadły jeszcze przed wojną w Londynie malarz, dalej Wacław Zbyszewski, przed wojną korespondent „Słowa” wileńskiego z Londynu, Antoni Sobarski, autor odważnej antyhitlerowskiej książki „Cywil w Berlinie”, Michał Budny, przed wojną attaché prasowy ambasady R.P. w Waszyngtonie, potem w ambasadzie R.P. w Londynie. Nie wiem zatem kogo ma na myśli Zbyszewski używając swoich bezceremonialnych określeń. Nie taję i nie tailem nigdy swojej czi dla Piłsudskiego, jakkolwiek z perspektywy lat — jak sam Zbyszewski — widzę wiele ujemnych właściwości rządów Piłsudskiego i skutków jego rządów. Nie wstydzę się ani artykułu jaki napisałem w „IKC” w dzień pogrzebu Piłsudskiego w Krakowie ani szkicu napisanego w „Wiadomościach Polskich” w dobie wojny w Londynie (obok mnie figurował wtedy i Ksawery Pruszyński). Nigdy nie byłem zawodowym chwalcą żadnego męża stanu; nigdy nie zabiegałem o względy MSZ czy Becka. Artykuły moje w „IKC” z Berlina i Londynu (w dobie Monachium) były, jak wiem, krytycznie oceniane przez MSZ; wspominała mi o tym zarówno własna redakcja jak i ambasada R.P. w Berlinie. Nie wahałem się potępić akcji polskiej w odniesieniu do Zaolzia; uczyniłem to zarówno w prasie polskiej przed wojną jak w czasie wojny w prasie polskiej i angielskiej. Echa tej skromnej akcji dosięgły mnie w czasie wojny kiedy Związek Dziennikarzy Polskich w Londynie domagał się ode mnie odwołania moich tez (w komisji, która starała się mnie przekonać o szkodliwości moich poglądów zasiadał wtedy m. inn. Józef Winiewicz). Nigdy nie obawiałem się wypowiedzenia poglądów niepopularnych, ani wystąpienia przeciwko kursowi oficjalnej polityki polskiej (patrz moje uwagi w londyńskiej „Tribune” z roku 1944, dotyczące umiędzynarodowienia Prus wschodnich, co ściągnęło na mnie oburzenie kół polskich; wystąpienia z lata r. 1941 w „Wiadomościach” co do układu Majski-Sikorski).

Zdanie Zbyszewskiego o sekcji polskiej BBC z r. 1940 traktuję zatem jako nieprawdziwe i uwłaczające jego dawnym Kolegom. Co więcej, przedstawienie dziejów owego „artykułu” o Piłsudskim jest niezgodne z prawdą. Zbyszewski powiedział mi o swoim zamiarze; uznałem, że należy to zrobić; Zbyszewski napisał ręką wspomnienie, które przepisane na maszynie dało około 15 wierszy. Tekst ten dałem do cenzury dwum osobom, które czuwały nad naszymi audycjami: Michałowi Winchowi (po wojnie attaché prasowy ambasady brytyjskiej w Warszawie) i Duckworth Barkerowi (przed wojną sekretariat Ligi Nar., po wojnie biuro genewskie ONZ). Obaj uznali, że należy dać wspomnienie o Piłsudskim; skreślono połowę tekstu

i oto w audycji południowej poszedł ten „news” na 6 czy 7 wierszy. Wszyscy w sekcji pochwalili inicjatywę Zbyszewskiego, oceniając jego odwagę myślenia.

Szkoda, że Zbyszewski nie ograniczył się do podania samych faktów bez przeinaczania historii swojego „artykułu”, który był „newsem” i bez szkalowania swoich dawnych kolegów. I bez tego każdy uznałby szlachetność jego motywów i odwagę. Uważałem za swój obowiązek jako naoczny świadek tej sprawy i jako odpowiedzialny w tym czasie za pracę sekcji polskiej BBC, sprostować krzywdzącą i niesprawiedliwą wersję.

Zbigniew GRABOWSKI

16 kwietnia 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

W interesujących skądinąd spostrzeżeniach o młodych poetach na emigracji p. Zdzisław Broncel („Marginesy emigracji”, „Kultura” Nr 4/102) wyraził kilka uwag i przypuszczeń, które wydają mi się wymagać komentarza. Zjawisko młodych poetów na emigracji p. Broncel stara się zdefiniować już w samym tytule, który stawia retoryczne pytanie: „Czy polska w formie, angielska w treści?”. Z tego założenia mogłoby na przykład wynikać, że my używamy Mickiewiczowskiego trzynastozgłoskowca w opisywaniu koronacji Elżbiety II — ale z treści samego artykułu wynika, że mówiąc o formie p. Broncel ma na myśli język, a mówiąc o treści, przejawy wpływów poezji zagranicznej na nasze wiersze. Jeżeli taka była rzeczywista intencja p. Broncela, to słuszniejsze byłoby sformułowanie „Polska w treści, angielska w formie”; a w takim razie muszę przypomnieć p. Broncelowi, że poezja Kochanowskiego, polska w treści, była łacińska i włoska w formie, że poezja Krasickiego i Trembeckiego, polska w treści, była francuska w formie, że poezja Słowackiego, polska w treści, była angielska w formie, że poezja Młodej Polski, polska w treści, była francuska w formie — nasza poezja, wydaje mi się, podlega podobnemu schematowi. Wszystko to dowodzi, że w przeciwieństwie do Włoch, Francji, Anglii czy Ameryki, Polska nie jest krajem pierwszej klasy w dziedzinie kultury, bo nie wytworzyła (z drobnymi wyjątkami) swych własnych form artystycznego wyrazu.

Ten stan rzeczy wynika między innymi stąd, że Polacy na ogół nie interesują się sztuką jako taką, i może dlatego tak rzadko udaje im się ją samorzutnie stworzyć. Przykładem tej postawy jest właśnie stanowisko p. Broncela, który tak definiuje naszą poezję: „Brak akcentów ideologicznych jest charakterystyczny. W stosunku do poezji, jaką spotykamy na co dzień w pismach literackich emigracji sprawia niemal wrażenie ciszy nie spotykanej motywów patriotycznych, wygrywanie na strunach tęsknoty, zakładu, nieszczęścia”. A więc może rzeczywiście p. Broncel stawia znak równania między Patriotyzmem przez duże P a polskością i dlatego konkluduje że nasza poezja jest „nie-polska” (ale dlaczego *angielska*?) w treści? Dlaczego wiersze Balińskiego, Lechonia, Bohdanowiczowej czy Radzywińskiej mają stanowić kryterium polskości; coś łatwiejszego od powtarzania do znudzenia słowa „Ojczyzna”? W przeciwieństwie do naszej literatury, literatura angielska, francuska czy amerykańska (ta najlepsza) nie była i nie jest zaścianką polityką, propagandą, dewocją czy socrealizmem. W Eliocie można się doszukać cech angielskich a w Poundzie amerykańskich (i na

odwrót), ale spostrzeżenia te nie są tak istotne jak fakt, że obu wychowała ta sama cywilizacja zachodnio-europejska. Wydaje mi się, że poezja młodych emigrantów (mówię tu tylko we własnym imieniu, bo choć łączy wielu z nas przyjaźń i pokrewieństwo poglądów, nie jesteśmy jednolitą grupą, i dlatego nie mogę pisać za p. Broncl'em, o „postawie wewnętrznej, wspólnej całej grupie”) dąży do uzyskania tego charakteru europejskiego i przez to samo ogólnoludzkiego, a przez to samo, pisząc „polszczyznę czystą i nieubogą” jak stwierdza p. Broncel, *polskiego*. Reprezentatywne wiersze jak *Alegoria grotu* Ilnatowicza, *Człowiek to tylko szumiąca muszla* Czaykowskiego, *Włoski pastiche* Taborskiego czy *Koń na biegunach* Sito powstały w atmosferze zachodnio-europejskich kryteriów moralnych, estetycznych i kulturalnych i dlatego mogą się p. Bronclowi wydawać „nie-polskie”. Eliot jest poetą anglosaskim, nie dlatego, że w swej poezji głosi wizję imperium brytyjskiego, lecz dlatego, że pisze *po angielsku*, ale p. Broncel powinien pamiętać, że *Ash Wednesday* czy *Four Quartets* mogły być równie dobrze stworzone na gruncie francuskim — takie stwierdzenie nie odnosi się niestety do poważnej części naszej literatury ze względu na jej prowincjonalny charakter: tu także leży jeden z powodów jej nieprzetłumaczalności.

Mimo, że jak już podkreśliłem, p. Broncel stwierdza że piszemy „polszczyznę czystą i nieubogą”, zastanawia się on czy naturalniejszą formą wyrazu nie byłby dla nas np. język angielski. Uważam, że to pytanie jest niewłaściwe: pisanie po polsku nie wskazuje ani na naszą „siłę” ani na naszą „słabość” — *musimy* pisać po polsku, tak jak Conrad *musiał* pisać po angielsku a obecnie Beckett, Green i Pankowski *muszą* pisać po francusku. Pisarz wybiera sobie język w którym najlepiej może się wypowiedzieć — ukończenie anglistyki nie upoważnia ani zmusza pisarza do pisania po angielsku.

P. Broncel słusznie stwierdza, że krytykujemy zamroczenia emigracyjne, ale od razu domaga się od nas jakiejś „pozytywnej” ideologii. Żaden Polak nie może sobie wyobrazić, że poezja może po prostu *być*, bez żadnych przesłanek, hasel czy programów — nie propaguję estetyzmu ani sztuki dla sztuki, przeciwnie, uważam, że dzieło sztuki może zawierać moralną wypowiedź czy ideowy kierunek już przez sam fakt, że wyraża dążenie do prawdy i piękna, że jego kontemplacja wzrusza czytelnika, słuchacza czy widza, bez mówienia mu, by tęsknił do straconej ojczyzny lub „budował socjalizm”. Takie, wydaje mi się, niegłoszone zadanie postawiła sobie nasza poezja.

Choć nie zgadzam się z wielu tezami p. Broncla, uważam że poruszył on problemy dla nas bardzo istotne — nie powinien on jednakże myśleć że „rola debiutantów” chroni nas przed „oceną krytyczną”: przeciwnie potrzeba nam jak najbardziej inteligentnie sformułowanej krytyki.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

Adam CZERNIAWSKI

C.6 Albany, London, W.1., 30 kwietnia 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dowiedziałem się, że w wywiadzie drukowanym w Pańskim piśmie znalazło się twierdzenie, jakoby jedna z moich nowel ukazała się w „Dziś i Jutro” bez mojej zgody. Jestem pewien, że zaszła tu niechcący pomyłka

ze strony Pańskiego współpracownika. W rzeczywistości bowiem powiedziałem, że pod koniec mego pobytu w Polsce wydałem polecenia aby nie drukowano więcej moich nowel w „Dziś i Jutro” dopóki pismo to nie zostanie przez Watykan zdjęte z indeksu. Nowela o którą chodzi ukazała się przed wydaniem tych poleceń. Będę Panu bardzo wdzięczny za umieszczenie tej małej poprawki, gdyż pomyłka, o której mowa, wywołała pewne rozgoryczenie wśród mych przyjaciół w Warszawie.

Z poważaniem,

Graham GREENE

Drogi Panie Redaktorze,

Do poematu mego, „Hiszpania”, drukowanego w majowym numerze „Kultury”, wkradł się błąd, który niniejszym prostuję: na stronie 82, w wierszu dziesiątym od góry, zamiast „glicyna” powinno być „glicynia”. Dziękując za umieszczenie tych kilku słów, łączę serdeczne pozdrowienia.

M. PANKOWSKI

Spinkhill, Sheffield, 10 maj 1956.

Szanowny Panie Redaktorze

Henryk Schoenfeld tak upomina się („Scentyfika i polityka” Nr 4/102 „Kultury”) o mój „tradycyjny” list że nie mogę mu odmówić tej przyjemności. Nie mam zamiaru dyskutować z nim na temat nazw „scentyfika” i „scentysta”, uczynił to bowiem znacznie lepiej i niepomniernie bardziej fachowo ode mnie Stanisław Westfal w „Wiadomościach”.

Chciałbym tylko zwrócić uwagę na dwa ustępy. Otóż na str. 35 pisze Henryk Schoenfeld „Mechanistyczna filozofia Descartesa wywodząca się z kosmologii Newtona”. Poza drobną poprawką, że w języku polskim zwykliśmy mówić o „Kartezjuszu”, a nie „Descartesie”, dziwi mnie rzecz jedna: Kartezjusz umarł w 1650 roku, Newton urodził się w roku pańskim 1642. Nie wiadomo mi zaś o tym, jakoby 8-letni Newton parł się kosmologią.

Prócz tego drobnego poślizgnięcia, wynikłego niewątpliwie z impulsywności znakomitego pióra Henryka Schoenfelda, pragnąłbym wskazać na rzecz poważniejszą. Otóż w dwu miejscach, na stronie 34 i 35, pisze Henryk Schoenfeld „kościół i pospólstwo” wzgl. „religia i pospólstwo”. Otóż wydaje mi się, że tego rodzaju zwroty są stanowczo poniżej poziomu pisarza tej miary, co Henryk Schoenfeld. Można lubić, lub nienawidzić Kościoła (przez duże „K”, bo przez małe „k”, bez przymiotnika określającego, słowo to oznacza w języku polskim budynek, a nie instytucję), można uznawać, lub nie rozumieć religii, można wreszcie — do czego powrócę niedługo w artykule, który właśnie mam na warsztacie — tak czy inaczej interpre-

wać szkodliwy dla obu stron okres walki nauki z religią, ale pisarzowi tej klasy, co Henryk Schoenfeld, nie wolno obniżać swego pióra do podobnych zwrotów.

Gdyby Henryk Schoenfeld był przestudiował ostatnie wypowiedzi papieża Piusa XII na temat nauki, byłby się przekonał, jak wiele wysiłku myślowego i jak wiele realnej wiedzy w nich się mieści. Problem stosunku wiedzy do wiary jest dziś przedmiotem studiów licznych zastępów uczonych i teologów. W Anglii np. Philosophy of Sciences Group Newman Association grupuje ponad 300 katolickich „scientystów” (wedle wyrażenia Henryka Schoenfelda), w czym szereg wybitnych przedstawicieli poszczególnych nauk, którzy poświęcają wiele wysiłków dla wyjaśnienia tego zagadnienia.

W tych warunkach zbywać je niewybrednymi frazesami po prostu nie uchodzi. Zwłaszcza, że — dziś przynajmniej — zestawienie takie jest całkowicie nieuzasadnione. Dzisiejsze społeczeństwo bowiem uwielbia naukę, gwiazdy filmowe i... „scientystów”.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Tadeusz FELSZTYN

Londyn, dnia 11 maja 1956 roku.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę Pana Redaktora o zamieszczenie w „Kulturze” następującego wyjaśnienia:

Artykuł Jana Klonowicza „Ostatnie Ostrzeżenie” w Nr 4/102 „Kultury”, omawiający nasze sprawy wewnętrzno-polityczne i działalność Skarbu Narodowego, ma nieco niedomówień i nieścisłości. Zakradły się one zapewne z braku posiadania przez autora źródłowych informacji. Czytelnik uzyskuje wskutek tego wypaczony obraz rzeczywistości. Słuszne więc wydaje się, by obraz ten uzupełnić tam, gdzie wykazuje luki, jak również poprawić tam, gdzie zawiera nieścisłości. Wyjaśnienia niniejsze dotyczą jedynie działalności Skarbu Narodowego. W niewielu, zaledwie w 9 wypadkach na str. 84-86 twierdzenia autora wymagają sprostowań względnie uzupełnień. Mianowicie:

1. Sformułowanie autora że:

„Aby nie dopuścić do zupełnego zaniku wpłat Komisja Kanadyjska np. od czerwca 1954 przekazuje sumy zebrane na jej terenie tylko na cele bezsporne” robi na czytelniku wrażenie, że taką formę przekazywania wpływów Skarbu Narodowego przyjęło z inicjatywy Komisji Terytorialnej a w szczególności Kanady, a jak następna uwaga autora sugeruje — dzieje się to wbrew woli i z pominięciem Głównej Komisji w Londynie.

Tymczasem rzeczywistość jest inna, mianowicie:

Powodując się troską o wykonanie zadań powierzonych Skarbowi Narodowemu, zagrożonemu skutkami kryzysu wewnętrzno-politycznego, Główna Komisja Skarbu Narodowego powzięła uchwały 29 czerwca 1954 i 1 sierpnia 1954, że będzie dokonywać wypłat na cele bezsporne w wysokości ustalonej budżetem. Cele te wymieniała w swych uchwałach podanych do publicznej wiadomości w Komunikatach Nr 15 z 1. 7. 1954 i Nr 16 z 1. 8. 1954. W wyniku tych uchwał Główna Komisja zwróciła się z własnej ini-

cyjatywy pismem z 4 sierpnia 1954 r. do Terytorialnych Komisji Skarbu Narodowego mających poważniejsze wpływy, a m. in. również i do Komisji Kanadyjskiej, z następującą propozycją:

„... W odezwie naszej wskazaliśmy cele i potrzeby, których zaspokojenia jest w pierwszym rzędzie obowiązkiem Skarbu Narodowego. Zdając sobie sprawę, że płatnik i ofiarodawca niechętnie łoży na cele bliżej mu nieznane, proponujemy by każda z Komisji wzięła na swe barki obowiązek łożenia na znane mu potrzeby, których celowość nie może być kwestionowana”...

Wspomniane pismo Głównej Komisji i pisma następne wyszczególniały cele zgodnie z ich wymienieniem przez autora.

Ta forma przekazywania wpływów Skarbu Narodowego, zainicjowana przez Główną Komisję w Londynie, była wynikiem troski wspólnej wszystkim, którym dobro Skarbu Narodowego leży na sercu. Forma ta zresztą uległa później zmianie w wielu Komisjach.

2) Sformułowania autora że:

„Sumy te przekazywane są z pominięciem Centrali londyńskiej wprost do rąk odbiorców”

zawiera niedomówienie bardzo istotne, wymagające wyjaśnienia. Komisje Skarbu Narodowego w całym wolnym świecie wraz z Kanadą przekazują swe wpływy wyłącznie i tylko na zlecenia wydawane przez Główną Komisję w Londynie. Jeżeli chodzi o Kanadę to daje temu wyraz sprawozdanie Komisji Skarbu Narodowego na Kanadę za 1955 r. ma str. 7 pkt. 11 w następującym stwierdzeniu:

„Wypłaty były dokonywane na zlecenie Głównej Komisji Skarbu Narodowego w Londynie, jednak wyłącznie na określone cele i instytucje ogólnonarodowe, które zostały wymienione w jednogłośnie uchwale Komisji na Kanadę z dnia 19. 6. 1955 r.”

Należy dodać tutaj, że wszystkie cele wymienione w powyższej uchwale Komisji Kanadyjskiej były bądź zaproponowane przez Główną Komisję, bądź z nią uzgodnione.

Przekazywanie przez Terytorialne Komisje wpływów Skarbu Narodowego „wprost do rąk odbiorców” nie jest jak to sugeruje autor zapoczątkowane od czerwca 1954 r., lecz stosowane było od początku istnienia Skarbu Narodowego — oczywiście tylko do odbiorców poza Wielką Brytanią. Jest to spowodowane ograniczeniami dewizowymi i trudnościami późniejszego rozprowadzania funduszy do odbiorców w różnych punktach wolnego świata, gdyby były gromadzone li tylko w Wielkiej Brytanii.

3) Następujące twierdzenie autora wymaga również wyjaśnienia:

„Dzięki faktycznemu wyłamaniu się spod Głównej Komisji Skarbu Narodowego w Londynie, Kanada potrafiła utrzymać wpływy w 1955 r. niewiele poniżej cyfry poprzedniego (\$4.667 wobec \$4.871).

Jak widzimy z wyjaśnienia pod 2) Kanada nie „wyłamała się spod Głównej Komisji” lecz wykonuje jej zlecenia. Dla uspokojenia autora, że bez naruszenia istniejącego obecnie porządku prawnego nie zachodzi obawa wyłamania się Kanady, trzeba stwierdzić dodatkowo, że Kanada jest związana z Londynem podwójnymi więzami. Nie tylko wspólną przynależnością do Skarbu Narodowego, ale wspólnym aktem spółki „Danina Polska Ltd.” Skarb Narodowy w Kanadzie jest bowiem Oddziałem Spółki „Danina Polska Ltd.” z centralą w Londynie, która jest z punktu widzenia obowiązującego prawa instancją nadzorczą dla Kanady.

4) Nieścisłe jest twierdzenie autora, że:

„Żadna inna Komisja nie miała tak małych strat w roku zeszłym”.

Przeciwnie, są Komisje, a jest ich kilkanaście, które wpływy swe w 1955 roku znacznie poprawiły w stosunku do roku 1954.

Oto one:

	wpływy w 1954		wpływy w 1955
Wielka Brytania	£5.343.18.07	—	£6.016.03.02
Belgia	£ 27.00.00	—	£ 158.06.00
Grecja	£ 7.13.03	—	£ 31.12.01
Hiszpania	£ 33.12.08	—	£ 36.03.07
Luksemburg	£ 1.03.07	—	£ 3.01.04
Portugalia	£ 9.00.04	—	£ 12.00.10
Szwajcaria	£ 231.11.11	—	£ 309.04.03
Włochy	£ 73.09.07	—	£ 210.00.05
Peru	£ 81.06.02	—	£ 247.00.07
Urugwaj	£ 87.03.04	—	£ 313.10.08
Brazylia	£ 8.15.04	—	£ 47.00.00
Persja	£ 17.06.06	—	£ 29.10.00

Ponadto 7 innych Komisji utrzymało swe wpływy za 1955 r. podobnie jak Kanada na poziomie zbliżonym do 1954 roku.

5) Wymaga oświadczenia twierdzenie, że:

„nieproporcjonalnie wysoki, w stosunku do liczebności uchodźstwa, udział Kanady w wynikach zbiórki ogólnej także w latach poprzednich tłumaczy się niewątpliwie oparciem od początku organizacji na wyborach i uwzględnieniem potrzeb kulturalno-oświatowych własnego terenu”.

Zasada wyborów władz terytorialnych Skarbu Narodowego przez płatników, chociaż do 14. 12. 1955 r. nie była przewidziana statutem Skarbu Narodowego, była jednak stosowana we wszystkich krajach. Poza Kanadą i Wielką Brytanią, które to Komisje mają formalne, własne statuty z ustalonymi postanowieniami co do przeprowadzania wyborów, odbywają się one za aprobatą Głównej Komisji — *via facti* — we wszystkich innych Komisjach.

Uchwała Głównej Komisji Skarbu Narodowego z 14. 12. 1955 usankcjonowała ten system przez wprowadzenie do Statutu Skarbu Narodowego postanowienia, że wybory płatników są właściwą formą wyłaniania władz terytorialnych.

Obecnie wszystkie Komisje opracowują swe regulaminy wewnętrzne, które będą zawierały postanowienia odnośnie przeprowadzania wyborów do terytorialnych władz Skarbu Narodowego.

6) Podobnie ma się sprawa z „uwzględnieniem potrzeb kulturalno-oświatowych własnego terenu”.

Zgodnie z odpowiednimi postanowieniami każdy teren jest uprawniony do korzystania z 20% zebranych wpływów na cele miejscowe kulturalno-oświatowe lub społeczne wskazane przez dany teren. Nie tylko więc Kanada, ale te wszystkie tereny, które postanowiły korzystać z tego przepisu — otrzymały należne im dotacje. Poniższe zestawienia wskazują w jakich ramach Skarb Narodowy łożył na te cele:

Na cele lokalne kulturalno-oświatowe w latach 1950-1955 przyznano z funduszy Skarbu Narodowego, w wyniku preliminarzy przedstawianych przez teren, kwotę £11.073.13.04 dla następujących krajów: Belgia, Francja, Hiszpania, Irlandia, Luksemburg, Niemcy, Szwajcaria, Szwecja, Wielka Brytania, Australia, Nowa Zelandia, Argentyna, Paragwaj, Kanada.

Na lokalne cele społeczne w latach 1950-1955 przyznano z funduszy Skarbu Narodowego, również zgodnie z preliminarzem terenu, kwotę

£12.251.10.01 dla następujących krajów: Belgia, Francja, Grecja, Holandia, Niemcy, Szwajcaria, Wielka Brytania, Włochy, Australia, Jerozolima, Kanada, Argentyna.

7) Powołując się na przykład uchwał w Toronto i Montrealu, domagających się przeprowadzenia wyborów do władz Skarbu Narodowego na wszystkich terenach, autor stwierdza:

„podobne uchwały powzięte zostały na wielu innych terenach”.

Trzeba zapewnić autora, że poza przytoczoną przez niego uchwałą Zjazdu Działaczy Skarbu Narodowego w Wielkiej Brytanii oraz uchwałami kanadyjskimi nie jest znana Głównej Komisji Skarbu Narodowego, żadna inna uchwała w tej sprawie powzięta przez płatników czy też przez władze terytorialne Skarbu Narodowego.

Natomiast w odpowiedzi na ankietę skierowaną przez Główną Komisję na ten temat w sierpniu 1955 r. do wszystkich placówek terytorialnych Skarbu Narodowego — jedynie Komisja Skarbu Narodowego na Szwajcarię opowiedziała się za tym postulatem. Wszystkie inne odpowiedzi, do tej pory otrzymane przez Główną Komisję, wypowiadają się za utrzymaniem obecnego stanu rzeczy, to jest form dotąd na poszczególnych terenach stosowanych.

Mimo takiego stosunku Komisji Terytorialnych do tej sprawy, nowela wprowadzona do Statutu Skarbu Narodowego uchwałą Głównej Komisji z 14. 12. 55 r. postanawia, że wyłanianie terytorialnych władz Skarbu Narodowego odbywać się będzie drogą wyborów. Jest to zresztą tylko potwierdzeniem form od lat stosowanych.

8) Sugestia autora, by Główna Komisja Skarbu Narodowego oparła się na wyborach płatników, a więc by samą własną uchwałą zmieniła podstawę prawną swej struktury, wkracza w dziedzinę zagadnień zarówno prawnokonstytucyjnych jak i politycznych, toteż najbardziej kompetentne będą na ten temat opinie prawników.

9) Wyjaśnienie na wątpliwość wysuniętą przez autora: „nie wiem skąd członkowie Głównej Komisji Skarbu Narodowego czerpią moralne prawo do dysponowania funduszami publicznymi” jest bardzo proste.

Główna Komisja Skarbu Narodowego nie dysponuje funduszami Skarbu Narodowego. Dekret o Skarbie Narodowym postanawia, że podstawą wydatkowania funduszy Skarbu Narodowego jest budżet uchwalany przez reprezentację polityczną, dawniej Radę Narodową, a obecnie T.R.J.N.

Kontrola prawidłowości wydatków jest wykonywana przez dwa organy kontrolne, mianowicie: Główną Komisję Rewizyjną Skarbu Narodowego, oraz przez T.R.J.N.

Nie chcąc nadużywać gościnnych ław „Kultury” trzeba się ograniczyć do wyjaśnienia tylko najważniejszych nieścisłości autora, ale i tych kilka uwag przyczyni się zapewne do wyrobienia sobie przez czytelnika jaśniejszego obrazu działalności Skarbu Narodowego.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

K. IRANEK-OSMECKI

18 maja 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

Oto punkt po punkcie odpowiedź na list Głównej Komisji Skarbu Narodowego z 11 maja 1956 roku:

1. Sprawozdanie Komisji Skarbu Narodowego na Kanadę za rok 1954

przytacza uchwały zebrania Komisji z 4 lipca 1954: „1. zwrócić się do Głównej Komisji Skarbu Narodowego w Londynie z nagłym wnioskiem o upoważnienie do publicznego zapewnienia ogółu płatników, że do czasu zakończenia obecnego kryzysu państwowego, fundusze zebrane na Skarb Narodowy w Kanadzie pozostaną w tym kraju i nie będą przeznaczone na żaden cel, z wyjątkiem konserwacji historycznych zabytków polskich i potrzeb oświatowych i kulturalnych polskich w Kanadzie; 2. Zawiesić, na wypadek niemożności uzyskania takiego zapewnienia, swoją działalność na okres trwania obecnego kryzysu państwowego”. Sprawozdanie to podaje dalej: „Postanowienia powyższe wyprzedziły o kilka dni uchwały Głównej Komisji Skarbu Narodowego, która — w obliczu wciąż malejących wpływów i rosnącego zniechęcenia płatników w całym świecie — uznała za konieczne dać rodzaj publicznego zapewnienia (ostatecznie sformułowanego w odezwie z dnia 1. 8. 54), że do czasu zakończenia kryzysu wewnątrzpolitycznego fundusze zebrane przez Skarb Narodowy będą wydatkowane tylko na pokrywanie najważniejszych i najbardziej pilnych wydatków o charakterze bezspornym.”

Jak z powyższego wynika — wbrew twierdzeniom zawartym w liście Głównej Komisji — inicjatywa zbierania na cele bezsporne wyszła z Kanady. Wspomniane w tymże liście uchwały z 29 czerwca 1954 były tak sformułowane, że nie dawały dostatecznej gwarancji i dopiero 1 sierpnia 1954 zajęła Główna Komisja wyraźne stanowisko o przekazywaniu pieniędzy na cele bezsporne.

2. Do czerwca 1954 roku Główna Komisja Skarbu Narodowego dysponowała sumami zebranymi w Kanadzie stosownie do swego uznania polecając przekazywać pieniądze sobie, względnie do rąk odbiorców poza terenem W. Brytanii. I tak np. w pierwszej połowie 1954 r. otrzymała Główna Komisja z Kanady \$3.512 czyli prawie dwie trzecie sum wypłaconych przez cały rok. Natomiast na podstawie uchwał powziętych w Kanadzie pieniądze są obecnie przekazywane wyłącznie na cele bezsporne, na które Komisja Kanadyjska wyraziła zgodę i tylko wprost do rąk odbiorcy. Tak np. nawet pomoc Kanady Wyższemu Uczeloniom w Londynie może być wypłacana tylko tym instytucjom bezpośrednio z pominięciem nawet pośrednictwa Głównej Komisji.

Jak z powyższego wynika, a wbrew sugestiom listu Głównej Komisji, istnieje zasadnicza różnica pomiędzy stanem obecnym a stosunkami sprzed 1954 roku.

3. Fakt, że Komisja Kanadyjska: 1) wpłaca pieniądze jedynie na cele, które uznała za bezsporne, 2) wypłaca je z pominięciem Głównej Komisji nazywam „faktycznym wyłamaniem się spod Głównej Komisji Skarbu Narodowego”.

List Głównej Komisji twierdzi, że tak nie jest. Wyobraźmy sobie zatem, że wszystkie placówki terenowe postąpiłyby tak jak Kanada. W takim wypadku Główna Komisja nie tylko nie miałaby grosza na pokrycie wydatków spornych jak np. wydatków centralnych urzędów Egzekutywy, ale z braku jakichkolwiek wpływów nie miałaby z czego pokrywać własnych wydatków administracyjnych i musiałaby zlikwidować swoją działalność.

4. Wpływy na Skarb Narodowy w 1955 roku wyniosły £14.294 czyli wykazują dalszą katastrofalną zniżkę o 33% w porównaniu z kwotą £21.459 zebraną w 1954. Jeżeli nawet dodać do sumy wpływów na Skarb Narodowy £2.756 zebranych na zorganizowany ad hoc „Fundusz Obrony Sprawy Polskiej” to spadek ofiarności wynosi przeszło 20%. Na tym tle wyniki Kanady, która żadnej zbiórki specjalnej nie organizowała wychodząc widocznie z założenia, że pieniądze zebrane na Skarb Narodowy służą obronie sprawy polskiej, zasługują na specjalne wyjaśnienie.

List Głównej Komisji stara się udowodnić, że dwanaście Komisji poparło swoje wpływy w stosunku do 1954. Na pierwszym miejscu figuruje w tym zestawieniu Wielka Brytania. Główna Komisja nie uważała jednak za stosowne wyjaśnić, że w kwocie tej umieszcza również dary na Fundusz Obrony Sprawy Polskiej pochodzące z wpłat indywidualnych, zbiorów przeprowadzonych przez organizacje społeczne i kombatanckie i zbiorów puszkowych na zebraniach publicznych, przed kościołami itd. Zbiórka ta o charakterze dorywczym, jednorazowa na niektórych terenach, nie wchodzi w zakres normalnej działalności Skarbu Narodowego. Według exposé przewodniczącego egzekutywy z 22 marca 1956 na ten Fundusz zebrano w Wielkiej Brytanii do tej daty £2.016 z czego wynika, że wpływy na Skarb Narodowy na terenie W. Brytanii wykazały w 1955 — wbrew próbom ukrycia prawdy w liście Komisji Głównej — bardzo poważny spadek. Nie dysponując szczegółowym sprawozdaniem Skarbu Narodowego za rok 1955 możemy tylko przypuszczać, że podobny chwyt zastosowany został także do innych cyfr zestawienia, aby przez dodanie darów na Fundusz Obrony do wpływów na Skarb Narodowy wywołać wrażenie, że wpływy na Skarb Narodowy wzrosły. Zresztą załamanie się wpływów ogólnych, a szczególności na najważniejszych terenach Stanów Zjednoczonych, Niemiec i W. Brytanii o kilka tysięcy funtów ma znacznie większą wymowę, niż np. wzrost wpływów Luksemburga z £1 na £3, lub Portugalii z £9 na funtów 12.

5. Oświadczenie Głównej Komisji Skarbu Narodowego, że zasada wyboru władz terytorialnych przez płatników była stosowana we wszystkich krajach stoi w sprzeczności z jej własnym komunikatem. I tak „Wiadomości Skarbu Narodowego” Nr 4(24) zawierają informację („W sprawie wyborów”), że „odpowiedzi na ankietę rozpisaną przez Główną Komisję „pozwała” nie tylko na rozpowszechnienie we wszystkich komisjach Skarbu Narodowego zasady „władz z wyboru”, a także...”.

Na podstawie art. 9(2) Dekretu o Skarbie Narodowym „Komisje Skarbu Narodowego składają się z członków wybranych przez Główną Komisję Sk. Nar. spośród osób przebywających na danym obszarze”. Wbrew tym postanowieniom płatnicy kanadyjscy od szeregu lat wybierają członków swej Komisji, których jedynie ex post zatwierdza Komisja Główna.

6. Każdy teren ma na podstawie dekretu prawo do 20% wpływów na własne potrzeby kulturalno-oświatowe. Pomimo to uzyskanie zgody na te wydatki na terenie Kanady natrafiało na trudności ze strony Głównej Komisji.

7. W tym punkcie Główna Komisja twierdzi, że za upowszechnieniem wyborów nikt się nie wypowiada poza Kanadą, W. Brytanią i Szwajcarią. Twierdzenie to stoi w wyraźnej sprzeczności z jej własnym oświadczeniem kwestionowanym przeze mnie (vide punkt 5), że zasada wyborów stosowana była we wszystkich krajach. Należało zdecydować się na jedną z następujących alternatyw: a) wybory były wszędzie od dawna przeprowadzane; b) wyborów nie było i dopiero zostaną wprowadzone na zasadzie noweli do Statutu Skarbu Narodowego z 14 grudnia 1955. Główna Komisja wikała się jednak w sprzecznościach w swoim liście twierdząc „równocześnie, że wybory były wszędzie, że ich nikt poza trzema krajami nie chce, i że ona je dopiero wprowadza.”

Na specjalną uwagę zasługuje stosowanie przez Główną Komisję „zasad demokratycznych” przy obliczaniu woli płatników. Tak więc głosy reprezentujące obszary o wielu tysiącach płatników wpłacających sumy najpoważniejsze (W. Brytania, Kanada) są zestawiane z głosami terenów gdzie nikt nie wpłaca (kilka lub kilkadziesiąt funtów na rok) świadczy o znikomej ilości płatników.

8. Pismo Głównej Komisji pozostawia opinii prawników czy Gł. Komisja Skarbu Narodowego może własną uchwałą zmienić podstawy prawne swej struktury i oprzeć się na wyborze płatników. Okazuje się w praktyce, że przy odpowiednim nacisku opinii Komisja Główna potrafi zmienić przepisy Dekretu o Skarbie Narodowym. I tak wbrew wyraźnemu brzmieniu art. 9(2) dekretu (vide punkt 5) wprowadziła nowelę do Statutu Skarbu Narodowego i oparła Komisję Terytorialne na wyborach. Istnieją zatem prawnicy, którzy potrafili rozwiązać ten problem.

Czyż nie lepiej by było, zamiast zasłaniać się prawem konstytucyjnym i polityką, otwarcie napisać, że Główna Komisja nie chce wyborów?

9. Główna Komisja twierdzi w tym punkcie, że nie dysponuje funduszami publicznymi i zasłania się budżetem. Jak to twierdzenie godzi się z tym, że w 1954 zadysponowała ona całym majątkiem Skarbu Narodowego na rzecz „Zjednoczenia”, że ma stały wpływ na dysponowanie funduszami i że szereg jej członków nie tylko zasiada w Tymczasowej Radzie Jedności Narodowej, która budżet uchwała, ale co ważniejsza jest czołowymi członkami administracji, która te fundusze wydaje (gen. Anders, p. Ciołkosz, i gen. Odzierżyński)?

Jan KLONOWICZ

Z POLSKIEJ INICJATYWY — ZA POLSKIE PIE-
NIĄDZE — DLA POLSKICH CELÓW — JUŻ UKA-
ZAŁA SIĘ PIERWSZA CZĘŚĆ ZIEMIA I CZŁOWIEK
W Y D A W N I C T W A :

POLSKA i JEJ DOROBK DZIEJOWY

W CIĄGU 1000 LAT DZIEJÓW.

ZARYS I ENCYKLOPEDIA SPRAW POLSKICH.

Opracowanie zbiorowe 56 najwybitniejszych polskich uczonych i specjalistów przebywających w wolnym świecie — pod redakcją prof. dr H. PASZKIEWICZA. 12 zeszytów, 1.200 stron dużego formatu, liczne ilustracje, tablice, mapy. Dodatki na osobnych tablicach na papierze kredowym. Raclawice (J. Chelmoński) 10×15 cali, Poczta Królów Polskich wg rys. J. Matejki, Stroje ludowe, Piękno krajobrazu polskiego, A. Mickiewicz w/g fotografii M. Szwaycera z r. 1855.

Cena zeszytu w ulgowej sprzedaży subskrypcyjnej:
sh. 12/6, dol. 1,85, fr. 650.

Nazwiska Subskrybentów (o ile sobie tego życzą) wydru-
kowane zostaną w książce.

KSIEGARNIA POLSKA ORBIS POLONIA

38, Knightsbridge, London, S.W.1.

ŻĄDĄCIE PROSPEKTÓW



POMOC RODZINIE W KRAJU
I ZA LINIĄ CURZONA

Przodująca polska firma wysyłkowa

LAMPERT & POLIMEX Co

45, Cromwell Rd., London, S.W.7, England

PREUVES

revue mensuelle

publie sous la direction de F.G. Bondy
dans son numéro de juin :

Czesław MIŁOŚ : Lettre à Picasso. — L'U.R.S.S. demain :
textes de Ignazio SILONE, François FEJTO, Georges Izard,
Grégoire GAFENCO. — James BALDWIN : Ce monde
n'est plus blanc. — Roger CAILLOIS : La corruption des
jeux. — Claude MAURIAU : Georges Bataille.

Le numéro de 104 pages, dessins et hors-texte : 180 fr.

PREUVES : 23, rue de la Pépinière, Paris (8°).
C.C.P. 178-00 Paris.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec
UKAZUJE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Korespondenci: we Francji, Holandii, Wielkiej Brytanii,
Hiszpanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych,
Argentynie, Brazylii, Australii i Afryce.

Redakcja, administracja, drukarnia :
MANNHEIM-SCHCENAU, Gendarmerie Kaserne

O B R A Z Y

J. KOSSAKA, L. WYCZÓLKOWSKIEGO, J. FAŁATA i in.

Z PRYWATNYCH RĄK PO NIEZWYKLE
OKAZYJNEJ CENIE

Mrs. Olga Czerwińska,
82, East Seventh St.
New York 3, N.Y. USA.

Wysyłając paczki przez Londyn
skracasz drogę do Kraju.

MATERIAŁY — LEKARSTWA — ŻYWNOŚĆ
PLASTYKI — NYLONY I INNE ARTYKUŁY
idą szybko do Polski przez

WHITE EAGLE STORES

(SKŁADY „POD BIAŁYM ORŁEM”)

8A, Thurloe Place, LONDON S.W.7, England
Telefon : KEN 4281

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo :
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l'Île, Paris 4°

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI



2 HOGARTH ROAD,
LONDON S. W. 5,
ENGLAND

POMOC DO POLSKI LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Katalog

100 POPULARNYCH PACZEK

oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)
na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze
wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

CHIMERA BOOKSELLERS

Księgarnia i antykwariat J. Nowackiego
366 Fulham Road, London S.W.10, England

SPECJALNOŚĆ : wyszukiwanie rzadkich książek — naukowych,
pierwodruków, inkunabułów, starych map, poloniców, itp. Na składzie
głównym SŁOWO O BITWIE Janusza Jasięńczyka, OFIARA
S. Zahorskiej, wydawnictwa Społeczności Akademickiej U.S.B.

LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

NAJSZYBCIEJ, NAJKORZYSTNIEJ, NAJTANIEJ
wyslesz przez

P. C. STORES

STEFAN BREWKA

18, Queens Gate Terrace, London S.W.7, England
Cennik nasz, dostosowany do przepisów celnych w Polsce
jest naszą najlepszą reklamą.

Zapowiedzi wydawnicze

TOM XV - Biblioteki "Kultury"

GRAHAM GREENE

MOC I CHWAŁA

w przekładzie Bolesława Taborskiego

Największa powieść Graham Greene'a rozgrywa się w Meksyku, w okresie prześladowań religijnych. Na tle konfliktu polityczno-religijnego autor ukazuje prawdziwe oblicze świętości, kontrastując słabość człowieka z wielkością jego powołania.

Książka Graham Greene'a poruszając najważniejszą problematykę naszych czasów — walkę komunizmu z chrześcijaństwem — nabiera specjalnej aktualności dla czytelnika polskiego. Znajdzie on w niej odpowiedź na szereg problemów które mu stawia rzeczywistość krajowa i pozwoli mu przede wszystkim ocenić i osądzić tych, którzy mu próbują wytłumaczyć możliwość współzycia marksizmu z katolicyzmem.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH11swick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt-légal: 2^e Trimestre 1956.



KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (S. & O.)
Telefon: Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires	17 peso	102 peso	204 peso
AUSTRALIA: „Vistula” (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Saintelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta poczt. 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba. Paraná; Hanna Lekszycka, r. Guará 139, vila, Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella”, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4 ^e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HOLANDIA: T. Szpileczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z., Tel.: 716080	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; St. L. Lemanski, 472 Aikins St., Winnipeg/Man.; H. B. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; St. Zybala, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec”, 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanislawski, Apartado Postal 294, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomości”, Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/I.	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A.: Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bieńkowski, „Gryf Publ.”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 3216 W. 15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziełanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. Tel. SW-1-2040; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. S. Dobczyński, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y. The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf” Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

Jerzy GIEDROYC. 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Biblioteka "Kultury"

TOM XIII

STEFAN KORBOŃSKI

W IMIENIU KREMLA

„W imieniu Kremla” jest dalszym ciągiem wspomnień autora „W imieniu Rzeczypospolitej” obejmującym okres bezpośrednio powojenny w kraju.

Cena egz.: 1.000 fr. (£1.; \$3,00).

TOM XIV

RAYMOND ARON

KONIEC WIEKU IDEOLOGII

Tytuł oryginału: *L'OPIUM DES INTELLECTUELS*

Z przedmową autora dla czytelnika polskiego.

*Czy ewolucja świata komunistycznego idzie w kierunku pragmatyzmu
oddalając się od ideologii?*

*Czym jest wyzwolenie „rzeczywiste” proletariatu a czym wyzwolenie
ideowe?*

*Jakie realia społeczne i historyczne wpływają na ideologie inteligencji
w różnych krajach?*

Raymond Aron, profesor Sorbony i publicysta, który w szeregu dzieł analizował mity świata współczesnego, stara się w swej ostatniej książce odpowiedzieć na te pytania.

Cena egzemplarza 750 fr. (15 sh., \$2,25)